www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 9 (999)
25.02-3.03.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. KRZYSZTOF KICIŃSKI
NIE MIESZAĆ W NAUCE!

RODZICIELSKIE KLAPSY,
CZYLI UŚWIĘCONA PRZEMOC

ANNA WRÓBLEWSKA: POLSKIE KINO
– JESZCZE SZTUKA CZY JUŻ BIZNES

ZAKOPANE
I DEWELOPERZY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311904 09

Ogień, Łupaszka, Bury

BANDYCI, A NIE ŚWIĘCI

„Wyklęci" zabili ponad 5 tysięcy cywilów, w tym 187 dzieci

eprasa.pl 3127a0922e

STODOLA more than live music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY

LAO CHE

15 marca | Klub Stodoła | Warszawa
16 marca | Klub Stodoła | Warszawa

O.S.T.R. &DJ HAEM

22 marca | Klub Stodoła | Warszawa
23 marca | Klub Stodoła | Warszawa

VOO VOO

14 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa

MELA KOTELUK

26 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa

JAROMIR NOHAVICA

31 maja | Klub Stodoła | Warszawa
1 czerwca | Klub Stodoła | Warszawa

THE MYSTERY OF THE BULGARIAN VOICES FEATURING LISA GERRARD

10 czerwca | Klub Stodoła | Warszawa

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL
ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA (ul. Batorego 10, Warszawa)

CYTATY

PAWEŁ PAWLIKOWSKI,
reżyser
W Stanach im większe pieniądze dostaniesz na film, tym mniejszą masz nad nim kontrolę.
„Rzeczpospolita"

STANISŁAW TYM,
satyryk, reżyser
Biały Dom i Nowogrodzka, te dwa giganty dźwigają teraz solidarnie odpowiedzialność za losy świata.
„Polityka"

PROF. ŁUKASZ TURSKI,
fizyk
Wpuściliśmy do środowiska naukowego oszustów. To, co oni mówią, to w większości przypadków kompletny bełkot.
„Polska The Times"

DANUTA STENKA,
aktorka
Sporo energii zmarnowałam na maskowanie w sobie dziewczyny ze wsi.
„Gala"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

SLD na trampolinie

Za niespełna trzy miesiące poznamy wyniki pierwszej rundy tegorocznych wyborów. Bardzo są niepewne. A przecież tylu rozmaitych mądrali jeszcze przed rokiem zapowiadało długie i niezagrożone rządy PiS. A tu, proszę, ta niemrawa, zużyta kadrowo i praktycznie bezprogramowa opozycja bliska jest przysporzenia zwartym oddziałom PiS dużych kłopotów. Jeśli chodzi o PiS, to oczywiście zwartość tej formacji ocenimy dopiero po jej pierwszych porażkach. Czyli niedługo.

Łatwiej ocenić zasoby i zwartość Koalicji Obywatelskiej. Czyli tych polityków, którym – jak głoszą – zależy na przyszłości kraju i naszych dzieci. I oczywiście na demokracji i praworządności. Wiemy, jak to było za rządów PO-PSL. Za SLD, niestety, też. Ówczesną troskę o dzieci pamiętają rodzice i dziadkowie. Dlatego tak wielu głosuje na PiS. Bo choć wiele im się w dzisiejszych rządach nie podoba, to 500+, 300 zł wyprawki szkolnej i inne elementy polityki socjalnej i płacowej są pierwszymi od dawna realnymi działaniami. A nie obiecankami przedwyborczymi.

Opozycji nie wystarczyły cztery lata, by to pojąć. By zrozumieć, dlaczego kilka milionów Polaków opowiada się za programem będącym w kontrze do tego, co im serwowano wcześniej. To, że takiego rachunku sumienia nie zrobiła PO, nie może dziwić. Przecież ci sami politycy, którzy rządzili przez osiem lat, szykują się do powrotu. Tak jakby w Polsce nic się nie zmieniło. Tak jakby cztery lata temu nie dostali czerwonej kartki.

Zadziwia natomiast postawa SLD. Partii, która miała szansę realnego powrotu do władzy. Miała. Ale czegoś zabrakło. Tego, co odróżnia polityka zmian i reform od aparatczyka, który chce wygodnie i bogato żyć.

Zabrakło wiarygodnej idei i celu, którym powinna być poprawa warunków życia tych środowisk, dla których III RP jest macochą. To na tym polu SLD powinien walczyć z PiS. Z szansami na sukces, bo kretyńsko kłamliwa polityka historyczna PiS mało komu odpowiada. Podobnie jak karykaturalny brak kompetencji u bardzo wielu nominatów „dobrej zmiany". Ale reprezentanci SLD, średniomłodzi działacze, nie szukają w polityce wartości. Szukają miejsca dla siebie. Politykę widzą jako trampolinę. Do osobistych sukcesów i godnego życia. Swojego życia. Dlatego tak łatwo dogadują się z politykami PO. Mentalnie są prawie identyczni. Gotowi do zmiany sztandaru partyjnego, który traktują jak rekwizyt, a nie wartość.

FAUL

Sikorski i wataha brukselska

Za chwilę wybory europejskie, a lista Koalicji Obywatelskiej niezamknięta. Chętnych mrowie. Wielki apetyt ma Radosław Sikorski. Eksminister, a politycznie ekspisowiec. Jako neofita był w PO pierwszym chętnym do dorzynania pisowskiej watahy. Znamy efekty tej myśliwskiej bufonady. Jeśli Sikorskiego wybiorą, to w Brukseli będzie mógł dalej polować na pisowską watahę. Bo do europarlamentu wybierają się Anna Fotyga, najbardziej komiczna po 1918 r. szefowa MSZ, i Witold Waszczykowski, tylko ciut od niej lepszy.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 3127a0922e

W NUMERZE

HISTORIA

8 **Bandyci, a nie święci**
„Wyklęci" zabili ponad 5 tys. cywilów

56 **Brzydź się grzechem jak wężem**
Służące do wszystkiego

KRAJ

14 **Przemoc uświęcona**
Połowa rodziców przyznaje się do klapsów

17 **Nie mieszać w nauce!**
– rozmowa z prof. Krzysztofem Kicińskim

20 **Drogi widok na Tatry**
Deweloperka rządzi w Zakopanem

32 **Emerytura dla tenora**
Artyści walczą o godne życie

48 **Szpieg, który podsłuchuje każdego z nas**
– rozmowa z Brunonem Kowalskim

ZAGRANICA

24 **Dzieci różnych światów**
Kosztowne adopcje międzynarodowe

26 **Bunt prawiczków**
Uwięzieni w celibacie

KULTURA

30 **Jazydki to bojowniczki**
– rozmowa z Golshifteh Farahani

36 **Media publiczne wylansowały „Kler"**
– rozmowa z dr Anną Wróblewską

40 **Qulturalia**

66 **Andrzej Biernacki. Anatomia dla plastyków**

OPINIE

42 **Rafał Bakalarczyk**
Państwo opiekuńcze, ale jakie

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

46 **Drenowanie funduszy celowych**

SPORT

52 **Miliony na boisku**
Kulisy transferów

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
SLD na trampolinie

13 **Bronisław Łagowski**
Wyłazi szydło z worka

23 **Jan Widacki**
Sukcesy

35 **Roman Kurkiewicz**
Prałat Jankowski padł

45 **Tomasz Jastrun**
Dwa słonie

47 **Ludwik Stomma**
Kresy

55 **Edward Mikołajczyk**
Nowe znaki sprzeciwu

14
KRAJ

PRZEMOC UŚWIĘCONA
Połowa rodziców przyznaje się do klapsów

24
ZAGRANICA

DZIECI RÓŻNYCH ŚWIATÓW
Kosztowne adopcje międzynarodowe

32
KRAJ

EMERYTURA DLA TENORA
Artyści walczą o godne życie

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. IPN (2), WWW.ZOLNIERZEPRZEKLECI.COM

eprasa.pl 3127a0922e

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

PROF. ANDRZEJ CHWALBA
Alternatywne historie Polski

JAGODA SZELC, REŻYSERKA
Lęk przed drugim filmem zatłukłam kijem

WIESŁAW KOT
Idy, Barbie i viagra – marzec w dziejach Polski i świata

Dostają, co chcą

MÓJ PRZEGLĄD
Jerzy Domański
Dostają, co chcą

Mieliśmy wstawać z kolan. Niektórzy grozili zabraniem koncesji TVN. Ba, chcieli nawet usunięcia niekompetentnej, ich zdaniem, pani ambasador. I co? To, co się teraz dzieje, wygląda tak, jakby nasi rządzący zostali nagle wezwani do spłaty zobowiązań za kasę otrzymaną w ramach pomocy od amerykańskich „związków zawodowych" przez elitę Solidarności w czasie stanu wojennego.

Jerzy Szubert

Represje wyceniane na milion

RESJE WYCENIANE NA MILION

Bardzo dobry wyrok wydała sędzia Anna Pater z Sądu Okręgowego w Nowym Sączu. Nie można nazwać bohaterem kogoś, kto swoje cele próbował osiągnąć w tak drastyczny sposób. Ciekawe, jak gwałty miały pomóc w oswobodzeniu naszego kraju…

Izabela Magdalena Poczatko

Wegetarianie z konieczności

Tzw. demokratyczna opozycja z lat 80., opętana nienawiścią do „komuny", „ruskich", RWPG itd., po objęciu władzy zrobiła wszystko, żeby popsuć relacje Polski z Rosją i innymi krajami dawnego bloku socjalistycznego. Tam, skąd zostały wyparte polskie firmy, z radością zainstalowały się zachodnioeuropejskie. Wiele polskich produktów cieszyło się w dawnym bloku wschodnim bardzo dobrą renomą. Można było i należało podtrzymać te kontakty po 1989 r. Ale po co? Dlatego upadł przemysł stoczniowy, elektroniczny, włókienniczy. A od paru lat obrywa także rolnictwo. Najważniejsze są amerykańskie bazy. Jeszcze więcej baz, koniecznie! Jak zwykle – boso i z szabelką na sznurku!

MÓJ PRZEGLĄD
Jerzy Domański
Wegetarianie z konieczności

Radosław

Co może pani Barbara?

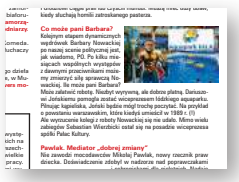
Co może pani Barbara?

Myślę, że osoba o lewicowych poglądach, która kuma się z PO lub inną prawicową partią, byle tylko nie zniknąć z politycznej sceny, traci wiarygodność.

Ewa Ch-a

•

Panią Nowacką wiele łączy z panią Ogórek. Mogłyby stworzyć brakującą w Polsce, lewicowo-prawicową partię Wahadło, coś na podobieństwo rolniczo-wiejskiego-z-miasta PSL.

Piotr Januszek

ZDJĘCIE TYGODNIA

Jeśli zdjęcie nie wyjdzie – można zjeść aparat. Kreacja cukierników zaprezentowana na VI Targach Czekolady w Brukseli.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3127a0922e

Dr Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich, pozwany przez telewizję zarządzaną przez Jacka Kurskiego, **dostał wsparcie Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy**, które uznało, że jest to próba uciszenia niezależnego organu państwowego.

Stanisław Zabłocki, prezes Izby Karnej Sądu Najwyższego, **podjął decyzję o przejściu w stan spoczynku**, ponieważ nie zgadza się ze zmianami w regulaminie SN, które wprowadza rozporządzenie prezydenta Dudy. Uważa, że doprowadzą one do głębokiej destrukcji pracy izby, chaosu i narastania zaległości.

Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy, **podpisał Deklarację LGBT+**, bo – jak oświadczył – chce, by stolica była miastem otwartym i tolerancyjnym. To pierwszy taki dokument w polskim samorządzie.

Zenon Procyk, były prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Pojezierze" w Olsztynie, po 18 latach dochodzeń, procesów i dziewięciu miesiącach spędzonych w areszcie został **uniewinniony ze wszystkich zarzutów** dotyczących niegospodarności i narażenia spółdzielni na straty. Sąd apelacyjny przyznał mu 1,8 mln zł zadośćuczynienia.

Mgr Julia Przyłębska, prezes Trybunału Konstytucyjnego, **ma bardzo słabe wyniki pracy**. Znacznie spadła liczba spraw, jakie wpłynęły do Trybunału. W 2015 r. były to 623 wnioski, a w 2017 r. było ich 285. Marne są wyniki orzecznicze. W 2015 r. TK wydał 173 orzeczenia, a w 2018 r. – 89.

W dolnośląskim oddziale Polskiego Czerwonego Krzyża dochodziło do wyprowadzania pieniędzy, odzieży i żywności przeznaczonej dla ubogich. W czasie gdy organizacją kierowali ludzie blisko związani z PiS, okradziono ją na ponad 2 mln zł.

Zbigniew Rau (PiS), wojewoda łódzki, z absurdalną konsekwencją **zmienia nazwy ulic i placów**. Ale nie tylko. Za cel obrał Zespół Tańca Ludowego „Harnam" im. Jadwigi Hryniewieckiej. Zespół powstał w 1947 r. i jest najstarszym zespołem tego typu w Polsce, a wojewodzie nie podoba się jego nazwa.

Agata Wojtyszek (PiS), wojewoda świętokrzyska, **lubi uroczyste święcenie sprzętu pożarniczego**. Potrafi się kobieta pokazać. By zadowolić funkcjonariuszkę partii, zwieziono do Kielc używany sprzęt, by mogła go uroczyście przekazać. Państwo z dykty, to i wojewoda z filmów Barei.

Grzegorz Tobiszowski (PiS), pełnomocnik rządu ds. restrukturyzacji górnictwa, obiecuje górnikom nowe kopalnie, a sam szykuje się do Brukseli. Nie będzie musiał wdychać tego syfu, który produkuje.

PRZEBŁYSKI

W poszukiwaniu prestiżu Glapińskiego

Nareszcie wiemy, co łączyło Adama Glapińskiego, prezesa NBP, z wypuszczonym z aresztu Markiem Chrzanowskim, eksszefem Komisji Nadzoru Finansowego. Nic zdrożnego. Takie sobie pogaduszki. Jak to między kolegami, wykładowcami akademickimi. Nauczycielami młodzieży, którzy są też autorami książek. A co? Czy pisarze nie mogą się kumplować? A czy bracia Karnowscy nie mogą w „Sieciach" robić dobrze „dobrej zmianie"? Mogą. Więc robią. Są z tego plusy dodatnie. Po opisie finansowego zamachu stanu na Glapińskiego, o którym opowiedział sam Glapiński, nie spaliśmy całą noc. Glapiński widzi ten zamach jako próbę podważenia jego autorytetu i prestiżu. Mimo długich poszukiwań nie udało nam się znaleźć tego czegoś u prezesa NBP.

Loża pechowców

Kiedyś mówiło się, że pośpiech jest potrzebny przy łapaniu pcheł. I choć poziom higieny bardzo się podniósł, to z pośpiechem nadal trzeba uważać. Dedykujemy to zwłaszcza czworgu pechowcom z programu „Loża

prasowa" (TVN 24). W niedzielę, 17 lutego, w południe zapewniali telewidzów, że premier Morawiecki poleci do Izraela na szczyt V4. Poleci, poleci – mówili zgodnie Renata Grochal, Michał Kolanko, Łukasz Warzecha i Paweł Wroński. Gazet pechowców nie wymieniamy, bo cóż one winne. O godz. 13.00 było wiadomo, że Morawiecki nigdzie się nie wybiera. I że w loży zamiast ekspertów usiedli trochę pechowcy, trochę ignoranci, a na pewno w dużej mierze pyszałki.

Ekspert dużej wartości

Bezinteresowna miłość starszego pana czy spłacanie starych zobowiązań? Takie myśli burzą nam spokój, gdy głos zabiera prof. Zbigniew Lewicki. Amerykanista, któremu jest wszystko jedno, kto w USA rządzi, Obama czy Trump. Zawsze znajdzie dla nich dobre słowo. A o Trumpie nawet bardzo dobre. I to wtedy, gdy w trakcie konferencji o Iranie Amerykanie, ci od Trumpa, zrobili z nas kaczkę dziwaczkę. Wedle Lewickiego ta konferencja miała dużą wartość dla świata. Strat dla Polski Lewicki nie widzi. A my mamy też coś z oczami, bo widzimy Lewickiego, a słyszymy Pence'a i Pompeo.

Gawrony dyplomacji

Znikąd nadziei. Wystarczy posłuchać, co mówi wiceminister Szymon Szynkowski vel Sęk. Z łaski PiS reprezentant „dobrej zmiany" w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. I gwarant tego, że nic tam nie będzie mądrze zrobione. Uczeń Ryszarda Czarneckiego! Pracował u niego jako dyrektor biura. I kolega Jana Dziedziczaka, którego nawet w PiS uznano za merytoryczną niemotę. Czaputowicz ma w MSZ takich Szynkowskich vel Sęków na pęczki. Co widać po licznych gafach. I słychać. Jak butnie dowalają całemu światu… w TVP Info.

FOT. YOUTUBE.COM (2), PACZAIZM.PL

eprasa.pl 3127a0922e

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie są przyczyny kiepskich wyników nauczania matematyki?

DR KRYSTYNA ŁYBACKA,
była minister edukacji, matematyczka

Żadnego przedmiotu nie da się nauczyć tylko dlatego, że jest on na egzaminie. Po pierwsze, uczyć się należy dla samego przedmiotu i korzyści z jego opanowania, a egzamin jest przekraczalną barierą do pokonania. Wszystkim chyba się wydawało, że kiedy matematyka stanie się obowiązkowa na maturze, uczniowie będą jej się uczyć, ale to błędny pogląd. Po drugie, matematyka jest piękna, ale tylko wtedy, gdy jej piękno zostanie odpowiednio pokazane. Nie ma uczniów niezdolnych do matematyki, są tylko źle do niej przekonani przez nauczycieli. I wreszcie po trzecie, trzeba pamiętać, że w oświacie wszelkie decyzje wpływają na nie zawsze trafne decyzje partnerów. Sama swego czasu powiedziałam, że skoro są egzaminy wstępne, niech uczelnie decydują, czy chcą na nich matematyki, czy nie. Do głowy mi nie przyszło, że jedna z politechnik z niej zrezygnuje.

MARCIN KARPIŃSKI,
redaktor naczelny czasopisma „Matematyka w Szkole"

Nie ma pewności, czy wyniki nauczania matematyki w Polsce są kiepskie, czy bardzo dobre. Z międzynarodowych badań wiadomo jedynie, że w przypadku dzieci do 15. roku życia efekty nauczania tego przedmiotu są u nas nieco lepsze niż średnia w krajach OECD. Nie sprawdzono niestety, jak wyglądają umiejętności starszych uczniów. Przyjrzano się za to metodom nauczania i okazało się, że w naszym kraju jest w tej sferze wiele do zrobienia. Bardzo niebezpieczne jest natomiast traktowanie egzaminów krajowych, np. średnich wyników osiąganych na maturze, jako wyznacznika poziomu umiejętności matematycznych uczniów. Zestawy egzaminacyjne są bowiem z definicji układane tak, by zróżnicować zdających pod względem wyników. Twierdzenie, że dany rocznik słabo zna matematykę, bo przeciętnie uzyskał w teście np. 50% punktów, jest błędem logicznym. Jeszcze większym błędem jest mówienie, że polscy uczniowie są z matematyki gorsi lub lepsi niż np. z polskiego. Nie sposób bowiem porównać umiejętności z obu tych przedmiotów.

BOŻENA JAGIEŁŁO,
była nauczycielka matematyki

Sprawdzam matury i obserwuję, że z roku na rok jest coraz gorzej – nawet nie na poziomie podstawowym, ale rozszerzonym. Myślę, że młodzież po prostu mniej czasu poświęca na naukę. Nie jest przyzwyczajona do tego, żeby rozwiązywać zadania przed pracą klasową, nie odrabia także prac domowych. W związku z tym wiedza nie jest ćwiczona i utrwalana. Mam do czynienia z uczniami i widzę, że nie wystarczy im podpowiedzieć, by przypomnieli sobie to, o czym niedawno się dowiedzieli. Teraz np. przygotowując uczniów do matury, trzeba ich wielu rzeczy uczyć ciągle od nowa, bo reagują, jakby nigdy dotąd z nimi się nie spotkali.

KRZYSZTOF RATAJEK,
czytelnik PRZEGLĄDU

Próbujemy matematyki uczyć na pamięć, a nie tłumaczymy, skąd co się wzięło. Większość wzorów można wyprowadzić przy podstawowej znajomości matematyki. Nie wiem, dlaczego podstaw całek i różniczek nie uczymy na początku. Odpada zakuwanie np. wzorów funkcji kwadratowej. Matematyka staje się prosta i przestaje być pamięciowa. Okazuje się, że wystarczy logicznie myśleć. Choć właśnie, myśleć...

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 3127a0922e

„Ogień", „Łupaszka", „Bury"

BANDYCI, A NIE ŚWIĘCI

W społeczeństwie nie było poparcia dla powrotu do II RP i to było jedną z przyczyn porażki powojennego podziemia zbrojnego

Bohdan Piętka

Kluczowym elementem tzw. polityki historycznej szeroko rozumianej prawicy w Polsce jest niemal sakralny kult powojennego zbrojnego podziemia antykomunistycznego, dla którego stworzono nazwę Żołnierze Wyklęci lub Niezłomni, pisaną obowiązkowo wielką literą. Ja pozwolę sobie pisać ją małą literą i w cudzysłowie. Nazwę tę wymyśliła w 1993 r. Liga Republikańska – zapomniana już dzisiaj organizacja radykalnej młodzieży prawicowej, wywodząca się z NZS Uniwersytetu Warszawskiego – a spopularyzował ją w 1996 r. Jerzy Ślaski w książce pod takim tytułem. Większość tej organizacji wraz z liderem Mariuszem Kamińskim zasiliła potem szeregi Prawa i Sprawiedliwości. Właśnie w 1993 r. Liga Republikańska zorganizowała wystawę poświęconą antykomunistycznemu podziemiu zbrojnemu po 1944 r. Nadała jej tytuł „Żołnierze wyklęci".

W tym czasie zapanowała też wśród młodych historyków moda na badanie historii powojennego zbrojnego podziemia. Z tekstów, jakie pisali wtedy znani w późniejszych latach historycy – m.in. Rafał Wnuk, Kazimierz Krajewski czy Grzegorz Motyka – wyłaniała się wyraźna sympatia do podziemia antykomunistycznego. Jednak autorzy ci nie unikali wówczas kwestii drażliwych – wyciszanych przez obecną politykę historyczną – takich jak stosunek do mniejszości narodowych, zbrodnie na osobach cywilnych, demoralizacja ludzi pozostających w podziemiu albo konflikty między różnymi odłamami podziemia. Młodzi historycy lat 90. XX w. – jak to ujął później prof. Rafał Wnuk – „starali się pisać historię krytyczną i nie wchodzili w rolę kreatorów polityki pamięci czy polityki historycznej". Tę rolę zarezerwowała sobie Liga Republikańska, a od lat dwutysięcznych Prawo i Sprawiedliwość.

Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" (nz. w środku) odpowiada za mord dokonany przez jego podkomendnych na cywilach w Dubinkach i okolicy w czerwcu 1944 r. Szacuje się, że zabili nie mniej niż 66 osób.

PISOWSKI KULT PAŃSTWOWY

Mit „wyklętych" – przyswojony potem przez większość polskiej prawicy, także tej z Platformy Obywatelskiej – miał spełniać różne funkcje polityczne. Wspierał prawicową demagogię deprecjonującą porozumienie Okrągłego Stołu, stał się dodatkowym paliwem do podtrzymywania świętego ognia antykomunizmu i rusofobii, a przede wszystkim ważnym kodem kulturowym szeroko rozumianej prawicy.

Gen. August Emil Fieldorf „Nil" nie poparł powojennego podziemia zbrojnego.

Na falsyfikację pojęcia „żołnierze wyklęci" zwrócił uwagę m.in. prof. Wnuk: „Pojęcie to fałszywie sugeruje, iż antykomunistycznych konspiratorów łączyła jakaś więź organizacyjna lub wspólnota celów. Propagujący to określenie ludzie przekonują, iż w warunkach reżimu komunistycznego podziemna walka zbrojna była jedyną honorową, a jednocześnie racjonalną strategią działania. Deprecjonują opór stawiany komunistom przez Polskie Stronnictwo Ludowe i inne działające wówczas legalnie środowiska polityczne i społeczne. Wielu z nich twierdzi, jakoby w latach 1944-1953 (w innej wersji 1944-1963) żołnierze zwani wyklętymi walczyli w najdłuższym w historii Polski narodowym, antykomunistycznym powstaniu. Mówią tak, choć żaden konspirator czy partyzant nie nazywał siebie żołnierzem wyklętym, żaden z nich nie określił swej ówczesnej aktywności powstaniem. Pojęcia te kreują uproszczony,

eprasa.pl 3127a0922e

infantylny, w dużym stopniu fałszywy obraz powojennego podziemia. Duma z przeszłości winna opierać się na niewyimaginowanej, możliwie zobiektywizowanej historii, a nie być produktem zideologizowanej polityki historycznej", pisał w „Pomocniku Historycznym" wydanym przez „Politykę" (nr 5/2018).

Szerzącą się na prawicy modę na „wyklętych" podchwyciło Prawo i Sprawiedliwość, kiedy w 2005 r. po raz pierwszy doszło do władzy.

Za początek tego procesu można uznać 13 sierpnia 2006 r., kiedy w Zakopanem odbyło się huczne – z udziałem prezydenta Lecha Kaczyńskiego – odsłonięcie pomnika Józefa Kurasia „Ognia" i jego żołnierzy. Notabene „ogniowcy" w Zakopanem ani w okolicach nigdy nie działali. Pomnik odsłonięto tam, ponieważ nie chcieli go u siebie mieszkańcy Nowego Targu, Waksmundu ani Ostrowska, gdzie wciąż żywa jest pamięć o zbrodniach samozwańczego majora. Natomiast pomnik odsłonięty sześć lat później w Gorcach został postawiony na prywatnym terenie należącym do rodziny Kurasiów.

Mit „wyklętych" stał się paliwem do podtrzymywania świętego ognia antykomunizmu i rusofobii.

PiS potrzebowało własnego mitu założycielskiego, by odciąć się od okrągłostołowych „lumpenelit". Zanim pojawił się mit „zbrodni smoleńskiej", funkcję mitu założycielskiego pełnił i nadal pełni mit „żołnierzy wyklętych", których politycznym kontynuatorem ma być właśnie ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego. Mitologię „wyklętych" zaczęto więc intensywnie krzewić wśród młodzieży – w pierwszej kolejności prawicowej i nacjonalistycznej – oraz w tzw. środowiskach kibicowskich.

Tak o tym napisał na Facebooku znany mi prawicowy dziennikarz: „Za czasów mojej przynależności do Młodzieży Wszechpolskiej właściwie temat gloryfikacji Wyklętych nie istniał, nie robiło się o tym referatów na zebrania i nie brało udziału w uroczystościach. Owszem, ktoś nałożył koszulkę z krzyżem NSZ i to było tyle. (…) Z czasem do głosu doszło pokolenie, które obraz PRL znało już tylko z przekazu innych. Ta generacja szukała ideologicznego paliwa. Nasłuchali się opowieści o tej złej komunie i znaleźli sobie paliwo. (…) Zaczęli propagować Wyklętych jeszcze przed PiS, ale to PiS zrobiło z nich kult państwowy, angażując w to wojsko i cały aparat państwowy. Bez PiS inicjatywa ta byłaby dalej marginalna. PiS wykorzystało tych Wyklętych nie z powodu uważania ich za szczególnych bohaterów. Po prostu wpisują się oni doskonale w chore romantyczne tradycje powstańcze, po drugie są kontrą dla Solidarności przejętej przez złych ludzi, po trzecie można było dzięki Wyklętym złapać trochę punktów poparcia wśród młodych ludzi w popkulturze".

Wyniesiono na piedestał całe powojenne podziemie zbrojne, nie wnikając w kwestie zbrodni popełnionych przez część „wyklętych", ich demoralizacji, kolaboracji z UPA itp. Największym kultem otoczono najbardziej kontrowersyjnych dowódców powojennego podziemia, odpowiedzialnych za ewidentne zbrodnie na ludności cywilnej, takich jak Józef Kuraś „Ogień", Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" czy Romuald Rajs „Bury". Nie zwracano przy tym uwagi np. na protesty mniejszości białoruskiej przeciw czczeniu „Burego" czy mniejszości słowackiej przeciw heroizowaniu „Ognia". Każdy, kto wyrażał jakiekolwiek wątpliwości wobec sakralizacji „wyklętych", był od razu identyfikowany jako wróg narodu i polityczny spadkobierca UB. Parareligijny kult „wyklętych" nie przewidywał i nie przewiduje tolerancji dla innowierców i niewierzących. Krytyka – nawet naukowa i udokumentowana źródłowo – była i jest niedopuszczalna. Kult „żołnierzy wyklętych" otrzymał tym samym jeszcze jedną ważną, może najważniejszą, funkcję polityczną. Stał się wygodnym narzędziem zabijania demokratycznej debaty publicznej oraz terroryzowania przeciwników politycznych prawicy.

Żołnierze Romualda Rajsa „Burego (nz. trzeci od prawej) na przełomie stycznia i lutego 1946 r. dokonali pacyfikacji białoruskich wsi. Zginęło w nich 49 osób.

eprasa.pl 3127a0922e

W celu osłabienia wymowy heroizacji osób odpowiedzialnych za zbrodnie posunięto się do manipulacji, która polegała na włączeniu do panteonu „wyklętych" ofiar represji stalinowskich, takich jak August Emil Fieldorf „Nil", Jan Rzepecki czy Witold Pilecki. Dla animatorów kultu „wyklętych" nie ma przy tym znaczenia, że np. gen. Fieldorf był zdecydowanym przeciwnikiem powojennej walki zbrojnej. Prawda historyczna ma bowiem w tej mitologii najmniejsze znaczenie.

Udaną akcję trzeba było opić. Nz. żołnierze ze Zgrupowania Oddziałów AK-DSZ-WiN Hieronima Dekutowskiego „Zapory", 1945 r.

MIT WIELKIEGO POWSTANIA ANTYKOMUNISTYCZNEGO

Jako pseudohistoryczną podbudowę kultu „wyklętych" stworzono dwa wielkie mity. Pierwszy to mit powstania antykomunistycznego, które miało trwać w latach 1944-1963. Datę końcową wyznacza śmierć Józefa Franczaka „Lalka" z oddziału Zdzisława Brońskiego „Uskoka", który zginął w obławie 21 października 1963 r. Od lutego 1953 r. Franczak nie prowadził jednak żadnej walki zbrojnej, tylko się ukrywał, a jego ostatnią akcją była „akcja ekspropriacyjna", czyli napad rabunkowy na kasę Gminnej Spółdzielni w Piaskach w powiecie świdnickim.

Drugim mitem jest liczba uczestników rzekomego powstania antykomunistycznego. Zaczęto od 80 tys., potem pojawiła się liczba 120-180 tys. osób, aż wreszcie Antoni Macierewicz ogłosił 1 marca 2018 r. w Radiu Maryja i TV Trwam, że „wyklętych" było podobno 300 tys. „Po roku 1945 w walce zbrojnej co najmniej do końca lat 50. na terenach Rzeczypospolitej Polskiej walczyło co najmniej 300 tys. ludzi, walczyło o niepodległość naszego kraju. 300 tys. – to jest tyle samo, ile walczyło, ile brało udział w walce z niemiecką, hitlerowską okupacją w latach 1939-1945", powiedział wówczas Macierewicz.

Amnestia z 22 lutego 1947 r. objęła 76 774 osoby, które ujawniły swoją działalność podziemną. Jednak 23 257 osób z tej liczby przebywało wówczas w więzieniach. Spośród pozostałych 53 517 osób, które wtedy się ujawniły, też nie wszystkie prowadziły walkę zbrojną. Po amnestii w podziemiu pozostało kilkaset osób, których działalność wygasła na początku lat 50. Tymczasem dowiadujemy się od czołowego polityka PiS, że do końca lat 50. z ówczesną władzą walczyło zbrojnie 300 tys. ludzi… Przypuszczam, że to nie jest ostatnie słowo animatorów mitologii „wyklętych" i prędzej czy później dowiemy się, że w zbrojnej walce z „komuną" brały udział miliony. Taka manipulacja liczbami deprecjonuje wysiłek zbrojny Armii Krajowej, stawiając go w cieniu walki powojennego podziemia antykomunistycznego. A w wypowiedzi Antoniego Macierewicza jest jeszcze jeden nieprawdziwy i niebezpieczny wątek – zrównanie okupacji hitlerowskiej i rzeczywistości politycznej Polski powojennej.

Te dwa kluczowe mity – powstania antykomunistycznego z lat 1944-1963 oraz domniemanej liczby jego uczestników – kreują najbardziej fałszywą tezę historyczną, jaka wynika z mitologii „wyklętych". Tezę, że ich wybór polityczny był jedynym możliwym wyborem dla Polaków po 1945 r. i zarazem postawą większości narodu polskiego, a nie jego niewielkiego marginesu, jakim byli w rzeczywistości „wyklęci".

Należy zadać pytanie, dlaczego wśród dowódców powojennego zbrojnego podziemia nie było ani jednego generała, nawet wysokiego stopniem oficera. Dlaczego wśród dowódców „wyklętych" mamy oficerów niższych stopni albo takich, którzy sami mianowali się oficerami.

TRAGEDIA „NILA"

Żaden będący wtedy w kraju generał czy wyższy rangą oficer wojska II RP, AK ani Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie nie poparł powojennego podziemia zbrojnego. Wspomniałem już, że jedną ze sztandarowych postaci dla animatorów kultu „żołnierzy wyklętych" stał się gen. August Emil Fieldorf „Nil" (1895-1953) – twórca i organizator Kedywu Armii Krajowej oraz zastępca komendanta głównego AK, ofiara haniebnego stalinowskiego mordu sądowego.

W 1944 r. „Nil", jeszcze jako pułkownik, przeciwstawiał się pomysłowi wszczęcia powstania w Warszawie. Wysłał nawet list do komendanta głównego AK gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Prawdopodobnie stało się to przyczyną odsunięcia go wówczas od spraw bieżących – „Nil" podzielił los tych oficerów KG AK, którzy sprzeciwiali się szaleńczym planom Leopolda Okulickiego i Tadeusza Pełczyńskiego. Przewidywania „Nila" się sprawdziły – powstanie zakończyło się niewyobrażalną klęską. On sam w ogóle nie brał w nim udziału, oddelegowa-

Żaden konspirator czy partyzant nie nazywał siebie żołnierzem wyklętym.

eprasa.pl 3127a0922e

ny do tworzenia kadrowej organizacji „NIE", której zadaniem było kontynuowanie konspiracji po wkroczeniu Armii Czerwonej. W opinii animatorów kultu „wyklętych" ma to świadczyć o tym, że był prekursorem powojennego podziemia, a nawet jego uczestnikiem. Jednakże nie tylko nim nie był, ale wręcz należał do ostrych krytyków powojennej irredenty.

Aresztowany przypadkowo, wywieziony w głąb ZSRR, wrócił do Polski w 1947 r. Dzięki zachowanym meldunkom informatorów UB znamy jego poglądy na ówczesną sytuację polityczną. Uważał, że akcja ujawnienia AK, przeprowadzona przez płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława" latem i jesienią 1945 r., powinna się odbyć wiosną 1945 r., kiedy były inne warunki polityczne. Jedno ze źródeł agenturalnych odnotowało, że Fieldorf „wyraził się, że potępia każdą działalność podziemia i uważa, że najwyższy czas pozytywnie pracować dla kraju". Ponadto uważał, że w obliczu ewentualnego konfliktu ZSRR z USA Polska „powinna stać na uboczu". Odrzucał też jakąkolwiek myśl o powstaniu ogólnonarodowym. W ocenie „Nila" pacyfikacja takiego powstania przez ZSRR oznaczałaby uszczuplenie potencjału biologicznego Polski o 25%. Był zatem „Nil" zwolennikiem przetrwania aktywnego – bez angażowania się po stronie PPR/PZPR, ale i bez popierania Zachodu. Jego tragedia polegała na tym, że padł ofiarą terroru stalinowskiego, mimo że nie stanowił żadnego zagrożenia dla Polski Ludowej. Był najwyższym stopniem oficerem AK skazanym na śmierć i straconym w Polsce stalinowskiej.

Czy los, jaki go spotkał, dowodzi, że jednak nie był realistą, że rację mieli ci, którzy pozostali po wojnie w podziemiu? Nie, ponieważ „Nilowi" chodziło nie o siebie, ale o naród polski – wyniszczony straszną wojną i okupacją, pragnący żyć i pracować nawet dla takiej Polski, jaka wyłoniła się w 1945 r. Na inną w tamtych realiach geopolitycznych nie było zresztą szans. „Polska niepodległa", czyli Polska w amerykańsko-zachodniej strefie wpływów, o jaką walczyli „wyklęci", byłaby w istocie nowym Księstwem Warszawskim, bez Ziem Zachodnich, wcale nie bardziej suwerennym niż Polska w radzieckiej strefie wpływów. Nadzieje „wyklętych" na powstanie takiej Polski w wyniku III wojny światowej były ponadto całkowicie irracjonalne, ponieważ taka wojna – z użyciem broni atomowej – przyniosłaby Polsce tylko ostateczną zagładę.

Punkt widzenia gen. „Nila" podzielało wielu przedwojennych wyższych oficerów. Otwartego poparcia władzom Polski pojałtańskiej udzielił w 1945 r. m.in. gen. Juliusz Rómmel (1881-1967). Po powrocie z niewoli niemieckiej został w sierpniu 1945 r. na własną prośbę przyjęty przez Bolesława Bieruta, a następnie wstąpił do „ludowego" wojska, w którym w latach 1945-1947 zajmował stanowisko doradcy ds. szkolenia Naczelnego Dowódcy WP. Krzewiciele kultu „wyklętych" nazywają go dzisiaj zdrajcą i twierdzą, że „oddał duszę Bierutowi".

Drogą podobnej „zdrady" poszli też tacy generałowie wywodzący się z wojska II RP jak Franciszek Herman (1904-1952), Stefan Mossor (1896-1957), Bruno Olbrycht (1895-1951), Gustaw Paszkiewicz (1892-1955), Mikołaj Prus-Więckowski (1889-1961), Bolesław Szarecki (1874-1960) i Stanisław Tatar (1896-1980). Dla nich nie był to łatwy wybór polityczny. Bolesław Szarecki po dostaniu się do niewoli radzieckiej w 1939 r. był więźniem m.in. obozu w Kozielsku i cudem uniknął egzekucji w Katyniu. Mimo to pod koniec 1945 r. jako pierwszy generał Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie powrócił do kraju i podjął służbę w „ludowym" wojsku. Organizował w nim nowoczesną służbę zdrowia. Bruno Olbrycht musiał walczyć z powojennym podziemiem, czyli z dawnymi towarzyszami broni – kierował m.in. największą akcją pacyfikacyjną na obszarze województw warszawskiego, białostockiego i lubelskiego, przeprowadzoną w lutym 1946 r. Nie był to również wybór bezpieczny. Generałowie Franciszek Herman, Stefan Mossor i Stanisław Tatar stali się ofiarami terroru stalinowskiego. W ich przekonaniu był to jednak wybór najbardziej realny. Chcieli służyć takiemu państwu polskiemu, jakie mogło istnieć w tamtych realiach geopolitycznych.

Największym kultem otoczono dowódców odpowiedzialnych za zbrodnie na cywilach, takich jak „Ogień", „Łupaszka" czy „Bury".

Mieszkańcy Hajnówki co roku protestują przeciwko marszowi ku czczi Romualda Rajsa „Burego".

PAMIĘĆ SPOŁECZNA KONTRA INDOKTRYNACJA

Większość Polaków nie była entuzjastami ani ideologii komunistycznej, ani metod sprawowania

FOT. IPN (2), NAC, MICHAŁ KOŚĆ/AGENCJA WSCHOD/REPORTER

eprasa.pl 3127a0922e

władzy przez komunistów, ale popierała wprowadzone przez nich w latach 1944-1946 reformy społeczne. Zwłaszcza reformę rolną, której nie potrafiła przeprowadzić II Rzeczpospolita. W społeczeństwie nie było poparcia dla powrotu rzeczywistości społeczno-politycznej II RP i to była jedna z przyczyn izolacji politycznej oraz porażki powojennego podziemia zbrojnego.

Powstanie antykomunistyczne miało trwać do 1963 r.

Setki tysięcy Polaków nie walczyło do końca lat 50. w lasach, ale odbudowywało Warszawę, a miliony – cały kraj. W odbudowie tej uczestniczył m.in. przedwojenny wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski (1888-1974), bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego. Mimo krytyki ze strony emigracji i opozycji w kraju wrócił do Polski 8 lipca 1945 r. W latach 1945-1948 kierował odbudową gospodarki morskiej jako delegat rządu dla spraw wybrzeża, a w latach 1947-1952 był posłem na Sejm Ustawodawczy. W przemówieniu z 1945 r. stwierdził: „Tu, nad bałtyckim wybrzeżem, ofiarowuje nam historia szanse, jakich nie mieliśmy prawie od pięciu wieków. Musimy więc skupić wszystkie siły i wszystkie uzdolnienia tkwiące w naszym narodzie, by te możliwości wyzyskać w pełni".

To był najbardziej dojrzały niezależny polski program polityczny, jaki wówczas sformułowano. Program pracy dla Polski w takich warunkach politycznych, jakie wtedy były. Nie po to, by tworzyć komunizm, ale po to, by budować polską siłę gospodarczą, naukową czy sportową. Kadra techniczno-zarządzająca – złożona przecież z przedwojennych inżynierów – chciała wtedy odbudowy zakładów pracy i rozpoczęcia w nich produkcji. Tak samo myśleli robotnicy i ogromna większość młodzieży wiejskiej, której nowy ustrój stworzył nieznane dotąd szanse kształcenia się i awansu społecznego. Tak myślała też większość pokolenia Kolumbów – czyli akowskiej młodzieży inteligenckiej. Wielu z nich nie uniknęło represji stalinowskich, ale także wśród tej młodzieży panowało przekonanie, że przede wszystkim należy się kształcić, a przedwojenna kadra naukowa, która przystąpiła do odbudowy szkolnictwa wyższego, chciała jej to ułatwić.

Nie tylko ludzie PPR i PPS bądź części Mikołajczykowskiego PSL byli przeciwnikami powojennego podziemia zbrojnego. Postawa tych, którzy tę walkę prowadzili, nie znalazła zrozumienia ani poparcia u większości Polaków, również nastawionych antykomunistycznie. Dzisiaj niektórzy przedstawiciele szeroko rozumianego obozu prawicy zaczynają rozumieć, jaką fikcją historyczną jest mitologia „wyklętych". Pojawiły się ostrożne głosy krytykujące powojenne podziemie (Piotr Zychowicz, Paweł Kukiz). Zrozumiano bowiem, że istnieje coś takiego jak pamięć społeczna, która potrafi być odporna na indoktrynację.

Mimo to mit „wyklętych" pozostaje fundamentem prawicowej polityki historycznej, a inna po 1989 r. w Polsce nie powstała. Nie może być inaczej, ponieważ jednym z jej celów jest zwalczanie realizmu politycznego oraz gloryfikowanie polskiego szaleństwa politycznego, poczynając od XVIII- i XIX-wiecznych powstań, poprzez powstanie warszawskie, a na „wyklętych" kończąc.

Bohdan Piętka

PRAWO DO PRAWDY

KTO ROBI Z BANDYTÓW ŚWIĘTYCH?

Mordowali z zimną krwią. Kobiety zakopali w pobliskim lesie. Wieś znała zabójców, ale ci przez lata byli bezkarni. Dziś uchodzą za bohaterów AK. Za „żołnierzy wyklętych".

45 zł

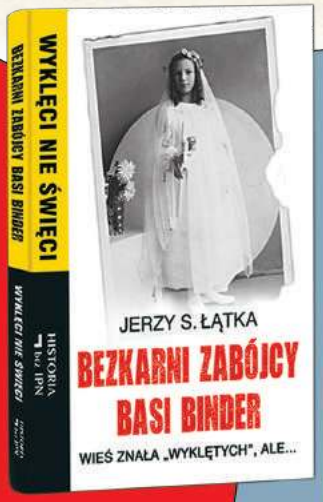

Gwałcili. Mordowali kobiety i dzieci. „Ogień" i jego banda zabijali Polaków, Żydów i Słowaków.

46 zł

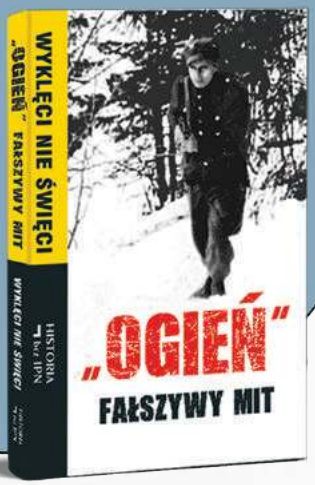

CZYTELNIKU,

kupując nasze książki, wspierasz PRZEGLĄD

Można je kupić, wpłacając odpowiednią kwotę oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy PRZEGLĄDU 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wybierz sposób dostawy:
- GRATIS wysyłka polecona Pocztą Polską
- dostawa kurierem FedEx 14,90 zł
- darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

eprasa.pl 3127a0922e

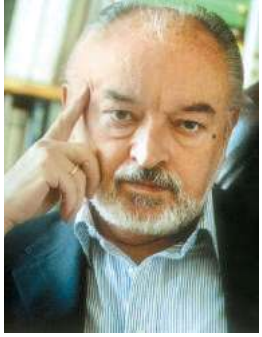

Bez uprzedzeń

Bronisław Łagowski

WYŁAZI SZYDŁO Z WORKA

Polska ma swoją politykę historyczną, ale polskiemu premierowi nie przyszło do głowy, że Izrael także może mieć swoją politykę historyczną. Dobrze mu zrobi, że zderzył się z rzeczywistością, ale zdaje się, że na krótko. Jest to taki człowiek, który myśli, zamiast się dowiadywać, i w rezultacie mało wie. Oburzył się, że politycy izraelscy, jeden po drugim, powiedzieli coś, co należy do ich polityki historycznej i o czym polski premier mógł był wiedzieć, gdyby tak dużo nie myślał.

Polska polityka historyczna, pełna bzdur, została podniesiona do podniebnych wysokości religii narodowej i w tym charakterze chce czy to współzawodniczyć, czy się przyjaźnić – to na jedno wychodzi – z żydowską już nie tylko polityką, ale religią historyczną. Trzeba mieć głowę pełną kłębiących się myśli, żeby nie zdawać sobie sprawy, że żydowska religia jest najstarsza i najżarliwsza na świecie, że żadna inna z nią nie wygra, a już najmniej na to szans mają polskie ciepłe kluchy.

Morawiecki to taki człowiek, który myśli, zamiast się dowiadywać, i w rezultacie mało wie.

Co miał zrobić polski premier, gdy odrobina izraelskiej polityki historycznej do niego dotarła? Nic nie robić, bo wszystko, co by potrafił, byłoby nadaremne. Skorzystać z okazji do milczenia.

POPiS-owcy zamienili politykę historyczną w pole walki, gdzie występują wrogowie i sojusznicy. Polscy politycy umyślili sobie, że zaprzyjaźnią się z Izraelem i daj Bóg z Żydami amerykańskimi na gruncie polityki historycznej, bo to nic nie kosztuje, a przyniesie, jak im się zdawało, wymierne korzyści. Właśnie robią rachunki korzyści, co idzie niełatwo, bo są to rzeczy nieważkie, a ważkimi stają się z pewnym opóźnieniem.

Główna różnica, jaka zachodzi między izraelską i polską polityką historyczną, dotyczy poglądów na II wojnę światową. Polacy, w tym także polscy Żydzi wyznania antykomunistycznego, jednym tchem wypowiadają: Holokaust i Katyń. Można to przeczytać także w „Gazecie Wyborczej". Jeśli to nie jest relatywizacja Holokaustu, to co nią jest? Polak wyedukowany historycznie przez IPN nie zrozumie, czego ja się czepiam.

Żydzi mają wystarczająco dobrą pamięć, by wiedzieć, że gdyby armia radziecka nie pokonała Niemców, dziś zwanych nazistami, wszyscy europejscy Żydzi zostaliby wymordowani. Premierzy izraelscy uczestniczą w moskiewskich uroczystościach Dnia Zwycięstwa i okazują Rosjanom wyrazy wdzięczności. Także w Izraelu 9 Maja jest świętowany. Ordery radzieckie z dumą się nosi. W Polsce pomniki i inne symbole ku czci armii radzieckiej są niszczone, groby profanowane, wizerunki bohaterów sowieckich obalane, jak pomnik gen. Czerniachowskiego, Polaka po matce, nawiasem mówiąc. Według polskiej polityki historycznej, na straży której stoi IPN, w czasie wojny Polacy znajdowali się po innej stronie frontu niż Żydzi. Czemu więc, do cholery, oburzają się, gdy z kręgów establishmentu amerykańskiego słyszą, że Żydzi walczyli z nazistami i polskim reżimem faszystowskim? Kto tę „prawdę" objawił światu, jak nie rządy polskie, pisowskie i platformerskie? Polski rewizjonizm dotyczący II wojny światowej zaszedł bardzo daleko i należy się obawiać konsekwencji poważniejszych niż powiedzonko o wyssanym mleku. Tak głupiego rządu Polska jeszcze nie miała. W czasach gdy miała jakiś rząd.

Sekretarz stanu Pompeo, który czuje się w Polsce jak u siebie w domu, przypomniał polskiemu rządowi postanowienie amerykańskiego parlamentu o konieczności przekazania przedwojennego, wojennego i powojennego mienia żydowskiego organizacji (czy instytucji) działającej na terenie USA, która tego żąda. Tym razem polski rząd skorzystał z okazji do milczenia. W Polsce uważa się, że na mocy umowy polsko-amerykańskiej wszelkie roszczenia obywateli amerykańskich mają być kierowane do rządu USA, a już nie do Polski. Polacy, czy to zwykli przechodnie, czy figury rządowe, żyją sobie spokojnie, pewni, że ta umowa przed czymś chroni. Nie wytrwają jednak w tym błogim przekonaniu, gdy się dowiedzą, że ze strony polskiej umowę podpisał Józef Cyrankiewicz. Jeżeli za milczącą zgodą całego narodu dekrety Bieruta uznano za nieważne, to dlaczego umowa Cyrankiewicza miałaby być ważna? Jak nas poinformował premier Morawiecki, a przed nim hurma innych polityków rządzącego duopolu, państwa polskiego w czasach Bieruta i Cyrankiewicza nie było. Według Tuska i jego muzealników nastało dopiero wraz z rządami Solidarności, a według Macierewicza i Kaczyńskiego z kolan się zerwało dzięki prawu i sprawiedliwości pisanym dużą i małą literą.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3127a0922e

Mimo obowiązującego w Polsce od 2010 r. zakazu stosowania kar fizycznych prawie połowa rodziców przyznaje się do wymierzania dzieciom klapsów

PRZEMOC UŚWIĘCONA

Katarzyna Wierzbicka

„Sensem rodzicielstwa jest wspieranie dziecka na jego drodze dorastania ku odpowiedzialnej wolności. Symbolem takich właśnie rodzicielskich działań jest przysłowiowy klaps, który nie jest żadnym biciem, nie jest nawet czymś szkodliwym, lecz – przeciwnie – jest czynem o wysokiej wartości wychowawczej i dlatego zasługuje wręcz na pochwałę", zaczyna się pewien tekst na temat „lekkich" kar cielesnych wobec dzieci. Dalej autor przekonuje: „Od samego początku swej opieki rodzice mogą i wręcz muszą używać przemocy, by właściwie wykonywać swoje zadania. (...) Jako ważny element dobrze rozumianego procesu wychowania, polegającego na wprowadzaniu do świadomości dziecka prostych reguł dotyczących tego, co właściwe i słuszne, pojawia się tutaj kwestia stosowania subiektywnie dotkliwych dla dziecka fizycznych form przemocy".

Ten fragment pochodzi nie z XVIII-wiecznego traktatu o wychowaniu, tylko z artykułu opublikowanego w „Rzeczpospolitej" w 2016 r. Jego autor, filozof polityki prof. Zbigniew Stawrowski – powołując się m.in. na Kanta i używając łacińskich terminów – głosi, że kary cielesne, „odpowiednio stosowane", są moralnym obowiązkiem rodziców, wyrazem poczucia odpowiedzialności, a nawet metodą socjalizacji.

Tekst prof. Stawrowskiego niepokoi nie tylko samą treścią. Jego publikacja i następująca po niej dyskusja pokazały również, że tzw. klapsy – mimo obowiązującego od 2010 r. zakazu stosowania kar cielesnych – wciąż cieszą się w Polsce sporym przyzwoleniem.

Wyrażona w tekście opinia odzwierciedla ogólne tendencje. Według badań urzędu Rzecznika Praw Dziecka z zeszłego roku aż 43% respondentów akceptuje stosowanie klapsów, a aż jedna czwarta uważa, że „lanie jeszcze nikomu nie zaszkodziło". Zaledwie 23% pytanych odniosło się do takich działań ze zdecydowaną dezaprobatą. Z kolei badania Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę z roku 2017 pokazały, że klapsy akceptowane są przez 49% badanych, a 82% przynajmniej raz było świadkiem wymierzania dziecku kary fizycznej.

Zdaniem dr Aleksandry Piotrowskiej, psycholożki, wykładowczyni na Wydziale Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego i współautorki książki „Szczęśliwe dziecko, czyli jak uniknąć najczęstszych błędów wychowawczych", dane te są jednak zaniżone.

Jedna czwarta rodziców uważa, że „lanie jeszcze nikomu nie zaszkodziło".

– Kiedy psycholodzy i pedagodzy zaczynali krytykować klapsy, paradoksalnie łatwiej było przekonać stosujących je rodziców do szkodliwości takich działań. Natomiast od kilku lat obserwujemy odwrót od tej tendencji – komentuje badaczka. – Przyznanie się do stosowania klapsów wiąże się z coraz mniejszym wstydem i jest coraz bardziej racjonalizowane, czego przykładem jest artykuł prof. Stawrowskiego. Obawiam się, że kolejne badania będą pokazywać

eprasa.pl 3127a0922e

częstsze stosowanie klapsów – nie dlatego, że więcej rodziców tak postępuje, ale dlatego, że więcej będzie się do tego przyznawać.

Opublikowany w „Rzeczpospolitej" tekst świadczy o tym, że nawet dla szkodliwych i przestarzałych „metod wychowawczych" można znaleźć przekonujące i trudne do zwalczenia argumenty, często uznawane przez tzw. dobrych rodziców.

TO ZUPEŁNIE CO INNEGO

– Nie wiem, o co ta cała afera wokół klapsa – irytuje się Iwona, policjantka wychowująca sześcioletnią córkę. – Dawniej nie było problemu, a teraz nagle, że przemoc. Córka nie obrywa często, ale wie, że może. Nie mam z nią żadnych problemów.

– Powiedzmy sobie jasno: jestem absolutnym przeciwnikiem bicia. Ale jakoś nie wierzę, że lekka kara cielesna od czasu do czasu czyni wielką szkodę. Nie można wrzucać do jednego worka umyślnego znęcania się i egzekwowania zasad – twierdzi Krzysztof, 28-letni historyk, bezdzietny.

Dr Aleksandra Piotrowska: – 90% stosujących kary cielesne rodziców nie utożsamia klapsa z biciem. Mówią: jestem generalnie bardzo spokojnym człowiekiem, przeciwnikiem bicia, ale… Tylko że jeśli raz uciekamy się do takiej praktyki, otwieramy pewną furtkę, którą później trudno zamknąć. Sytuacje „ostateczne" i „wyjątkowe" zaczynają się mnożyć, a klapsy wymierzane są z coraz większą siłą i łatwością. Matki, które do mnie przychodzą, mówią, że są przerażone, jak łatwo wymierzają kolejne razy. Tymczasem wszystkie badania pokazują, że zmiany zachodzące w mózgu dziecka na skutek regularnie doświadczanego stresu nie różnicują ciężkiego bicia, przemocy psychicznej czy klapsów „od czasu do czasu". Mózg dzieci regularnie doświadczających jakiejkolwiek formy przemocy przypomina mózg weterana wojennego. To nie jest przesada, te dzieci mają zwyczajnie zmiany anatomiczne mózgu i to wyraźnie widać na zdjęciach.

Jedną z widocznych zmian w mózgu dzieci doświadczających przemocy jest zanik substancji szarej i zmiany w zakrętach skroniowych – części odpowiedzialnych m.in. za koncentrację uwagi, inteligencję i panowanie nad impulsami. Jest to dobitny przykład wzmacniania niepożądanego zachowania karą, która ma je wyeliminować – wyjaśnia specjalistka. – Dziecko zachowuje się źle, dostaje klapsa, co w efekcie może mu tylko utrudnić zapanowanie nad tym samym impulsem w przyszłości – więc dostaje znowu, zwykle mocniej. Koło się zamyka.

Choć argument o incydentalności klapsa jest jednym z najczęstszych, z niektórych wypowiedzi rodziców wynika, że granica między „ostatecznością" a regułą jest dość płynna. Z jednej strony, dyskutujący na forach internetowych rodzice mnożą przykłady mające służyć uzasadnieniu tego rodzaju działań, tj. wsadzenie przez dziecko palców do gniazdka, wychylanie się przez okno czy wybiegnięcie na ulicę. Z drugiej, mieszają się one z sytuacjami, z którymi każdy opiekun małego dziecka styka się częściej niż „od czasu do czasu". „Moja córka dostała kilka razy: kiedy wsadziła palce do kontaktu, kiedy mnie wyzwała i kiedy dostała histerii", pisze jeden z ojców na forum Kafeteria.pl. „Klapsom jestem generalnie przeciwny, ale kiedy syn nie reaguje na polecenia, nie pozostaje mi nic innego", komentuje inny.

Płynność tej granicy widać również w badaniach RPD: choć najwięcej (41%) aprobujących klapsy rodziców za wystarczające uzasadnienie tej praktyki uważa zachowanie bezpośrednio zagrażające życiu lub zdrowiu, prawie 60% podaje też inne uzasadnienia, np. kłamstwo (14%), złe oceny lub wagary (14%) czy nieposłuszeństwo (16%)

Znamienne, że rodzice, którym zdarza się uderzyć dziecko, podają najczęściej powód zewnętrzny – jego zachowanie. Ci, którzy mówią o własnej bezradności i porażce wychowawczej, zwykle nie bronią klapsów. – Tak, zdarzyło mi się uderzyć syna – opowiada 35-letnia Marianna, matka szóstoklasisty. – To było straszne. Ja sama byłam bita jako dziecko i kojarzy mi się to jak najgorzej. Po tym wszystkim syn płakał w jednym pokoju, a ja w drugim. To był pierwszy i ostatni raz.

– Zdecydowana większość rodziców stosujących jakiekolwiek kary fizyczne robi to z bezradności i złości – twierdzi dr Piotrowska. – A jak to sobie potem uzasadniamy, jest efektem dysonansu poznawczego. Chcemy zachować nienaruszony obraz samych siebie, więc nasza psychika produkuje złudne przekonania mające uzasadnić dokonany wybór albo „wyjątkowością" sytuacji, albo nieszkodliwym charakterem środka, albo wręcz jego rzekomą słusznością.

90% stosujących kary cielesne rodziców nie utożsamia klapsa z biciem.

BO TRADYCJA

Tam, gdzie mowa wprost o słuszności „lekkich" kar cielesnych, zwykle padają słowa o szacunku dla tradycji, autorytecie i porządku. Najczęściej tego rodzaju argumentacja przybiera formę pochwały „przedwojennego wychowania" i własnych doświadczeń. – Chciałbym, żeby moje dzieci, kiedy już będę je miał, były nauczone szacunku dla starszych i dyscypliny – wyznaje Krzysztof. – Ja sam dostawałem klapsy i nie mam żadnej traumy z tym związanej.

Dr Aleksandra Piotrowska: Matki, które do mnie przychodzą, mówią, że są przerażone tym, jak łatwo wymierzają kolejne razy.

Internet również dostarcza licznych przykładów: „Dziecko jest trochę jak kiepski telewizor, trzeba stuknąć od czasu do czasu, żeby działał", „Jeśli córka nie reaguje na polecenia, to moim obowiązkiem jest pokazać jej, kto tu rządzi", „Ja tam jestem za tradycyjnym wychowaniem. Sama jestem wdzięczna, że rodzice wpoili mi dyscyplinę".

Dr Aleksandra Piotrowska: – Proszę zwrócić uwagę, w jaki sposób myśli się o odpowiedzialności w naszym kręgu kulturowym. Mówimy o władzy rodzicielskiej,

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 3127a0922e

a od dziecka oczekujemy przede wszystkim posłuszeństwa. Rodzic „dobry" to rodzic skuteczny, a jego obowiązkiem jest wymuszenie na dziecku określonych zachowań. Widać to chociażby po szkolnych uwagach, które mają służyć temu, żeby rodzic „coś zrobił". Rodzic, który nie jest w stanie tych zachowań wyegzekwować, „nie ma autorytetu". Przy czym autorytet polega tu wyłącznie na władzy. Tylko że jeśli właśnie skuteczność staje się kryterium wydolności wychowawczej, to do przemocy już blisko.

Mózg dzieci regularnie doświadczających jakiejkolwiek formy przemocy przypomina mózg weterana wojennego.

Zastanawiające, że zdeklarowani zwolennicy „delikatnego karcenia" „przedwojenne wychowanie" traktują jako jedyną alternatywę bezstresowego wychowania, moralnego rozprzężenia i upadku obyczajów. Jeszcze bardziej zastanawia przeciwstawienie człowieka zadowolonego z siebie człowiekowi respektującemu zasady. „Tak się składa, że do cnót (a naszym celem jako rodziców jest wychowanie ludzi cnotliwych, a nie tylko zadowolonych z siebie) wychowywano o wiele skuteczniej kiedyś niż teraz – czytamy na stronie Telewizji Republika. – (…) Środki są uzależnione od celu. Jeśli celem jest wychowanie człowieka, który będzie zadowolony z siebie, to zastosujemy inne środki niż wtedy, gdy chodzi o wychowanie człowieka mężnego i dzielnego, pełnego cnót".

Prof. Stawrowski w przytoczonym tekście przekonuje, że dobór środków do osiągnięcia celu jest „prawem naturalnie przysługującym rodzicom", które nie powinno być naruszane przez „urzędników". Iwona przytakuje: – To ja jestem odpowiedzialna za to, na jakiego człowieka wyrośnie moja córka. Jeśli uznaję za słuszne ukaranie jej, to chyba mam swoje powody, prawda?

W tym kontekście piętnowanie klapsów staje się niemal zamachem na nienaruszalny autorytet opiekunów i rodzinę. Echem tej logiki jest pokazany w badaniach RPD stosunek do wprowadzenia zakazu stosowania kar cielesnych wobec dzieci: jedna trzecia respondentów uważa to prawo za niesłuszne, 20% nie zdaje sobie sprawy z tego, że używanie klapsów jest wykroczeniem.

Niezależnie od powszechności przekonania o rzekomo zbawiennym wpływie klapsa na charakter młodego człowieka nie znajduje ono żadnego potwierdzenia w badaniach.

– Mówienie, że jedyną alternatywą dla klapsów jest bezstresowe wychowanie, to zwykła demagogia – stwierdza Aleksandra Piotrowska. – Z metaanalizy przeprowadzonej niedawno przez dwóch amerykańskich naukowców, obejmującej ponad 70 badań z ostatnich 50 lat na 161 tys. dzieci, wynika, że stosowanie klapsów nie tylko nie pomaga w wychowaniu, ale wręcz ma negatywne skutki wychowawcze. Okazało się, że dzieci doświadczające kar fizycznych m.in. mniej wierzyły w siebie, gorzej się uczyły, miały mniej przyjaciół i gorsze relacje z rówieśnikami. Badania znów pokazały, że „niegroźne" klapsy miały skutki podobne do bicia paskiem czy kablem.

KULTURA PRZEMOCY

Biorąc pod uwagę brak naukowych podstaw przekonania o korzyściach z klapsów, można odnieść wrażenie, że polskie przywiązanie do tej „metody" wpisuje się w nasze ogólne tendencje i przekonania: o tym, że dawniej było lepiej, że cel uświęca środki, uległość jest cnotą, a pewność siebie – arogancją.

– Cała nasza kultura przejawia bardzo wysoką tolerancję dla przemocy. Proszę spojrzeć chociażby na język debaty publicznej. My również jesteśmy nią skażeni, co wychodzi najdobitniej w relacjach zależności: nauczyciel-uczeń, nauczyciel-rodzic, szef-podwładny czy między instytucjami a obywatelami. Dlaczego więc relacje między rodzicami a dziećmi miałyby być od tego wolne? Kto nie gra w tę grę, jest uznawany za przegranego. Dziecko pewne siebie albo takie, które dyskutuje z nauczycielem, często jest postrzegane jako bezczelne, a jego rodzice – nieudolni. Kraje skandynawskie, które startowały 100 lat temu z pozycji zacofanych społeczeństw rolniczych, teraz są przykładem dla wszystkich – zwraca uwagę Aleksandra Piotrowska. – Tylko że tam rodzicielstwa i równości uczą się już czteroletnie dzieci. A nas nikt nie uczy nawet tego, jak radzić sobie z gniewem. To prawda, że np. w Norwegii rodzic, który dopuszcza się przemocy wobec dziecka, ryzykuje utratę praw rodzicielskich. Zarazem jednak państwo wspiera go na wszystkich etapach wychowania, a zaufanie do instytucji państwowych jest nieporównywalnie większe niż u nas.

Wśród przekonań zwykle towarzyszących przemocy wobec dzieci, w których refrenem jest rodzicielska odpowiedzialność, uderza coś jeszcze – wiara w absolutną sprawczość rodzica w kształtowaniu osobowości i losów dziecka. Wiarę tę żywią zarówno sami rodzice, jak i społeczeństwo. Oznacza to, że frustracja polskich rodziców jest podwójna. Z jednej strony, wywołują ją naturalnie występujące problemy wychowawcze, z którymi nie mogą sobie poradzić. Z drugiej – przekonanie, że dziecko jest ich przedłużeniem i „wizytówką".

Dr Aleksandra Piotrowska: – Daliśmy się uwieść mitowi o decydującym wpływie środowiska na to, jacy jesteśmy, a więc i na to, jakie są nasze dzieci. A przecież wiadomo już, że niektóre cechy są wyraźnie determinowane genetycznie. Nawet przy tych, o których decyduje środowisko, rodzice są tylko jednym z czynników.. Przekonanie więc, że ten jeden z czynników może zyskać 100% kontroli, jest niebezpieczną megalomanią. Warto pamiętać, że nie na wszystko mamy wpływ, i pogodzić się z tym, czego, mimo prób, nie udało nam się zmienić.

Jedna trzecia Polaków uważa zakaz stosowania kar cielesnych wobec dzieci za niesłuszny.

Katarzyna Wierzbicka

eprasa.pl 3127a0922e

NIE MIESZAĆ W NAUCE!

Naukowcy żyją dziś jak na ruchomych piaskach. Nie wiedzą, czy będą istniały instytuty, czy zostaną zachowane katedry

Rozmawia Barbara Jagas

PROF. KRZYSZTOF KICIŃSKI
– socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego, były dyrektor Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych

Panie profesorze, mamy kolejne akty wykonawcze do ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce. Jak pan ocenia kierunek zmian wprowadzanych przez reformę ministra Gowina?

– Dyskutowano na ten temat na Nadzwyczajnym Kongresie Humanistyki Polskiej, omawiano tam płynące z tych rozporządzeń zagrożenia dla polskiej nauki. Warto tylko przypomnieć, że wprowadzenie całej reformy uzasadniano istnieniem w Polsce przepaści między rozwojem nauki a jej wykorzystaniem w praktyce, w gospodarce: na świecie jest lepszy system wdrażania myśli naukowej i trzeba coś z tym zrobić.

Zgadza się pan z taką diagnozą?

– Sądzę, że została postawiona przez ludzi, którzy słabo znają realia polskiej nauki i jej problemy. Wprawdzie konsultowano to wszystko np. z niektórymi rektorami, ale nie z wybitnymi naukowcami, którzy naukę tworzą.

Diagnoza była więc zbyt pochopna?

– Tak. Autorzy reformy chyba nie zdają sobie sprawy z tego, że aby nauka mogła służyć gospodarce, musi reprezentować wysoki poziom teoretyczny. Weźmy przykład z fizyki. Bombę atomową stworzyli głównie fizycy teoretycy, a nie ktoś, kto postanowił skonstruować produkt „bomba atomowa". Bomba była „produktem ubocznym" myśli naukowej, a nie na odwrót. Wymyślili ją wybitni naukowcy, którzy analizując problemy fizyki, doszli do stworzenia bomby czy też – posługując się mniej drastycznym przykładem – reaktora atomowego, który jest wykorzystywany w warunkach pokojowych. To wszystko zasługa teoretyków. Żaden inżynier bez współpracy z nimi by tego nie dokonał.

Bo inżynier, owszem, jest potrzebny, ale to jedynie praktyk, ktoś w rodzaju rzemieślnika.

– Chociaż z drugiej strony istnieją wynalazcy w rodzaju Edisona, którzy są konstruktorami i praktykami, a jednocześnie mają talent do wdrażania osiągnięć nauki, czyli są po prostu zdolnymi wynalazcami. I zawdzięczamy im nie tylko żarówkę.

Minister Gowin stara się zmienić wszystko, co można zmienić.

Tyle że Edison nie był „zwykłym inżynierem". Samodzielnie zdobywał wiedzę, był takim naukowcem amatorem, a dopiero potem eksperymentował, by w końcu stać się autorem paru wynalazków.

– To prawda. Jednak w wielu instytutach naukowych myśli się głównie o rozwoju wiedzy o charakterze teoretycznym. Co wcale nie znaczy, że ta wiedza nie będzie miała zastosowania praktycznego, czego dowodzić mogą fizyka, genetyka, socjologia, psychologia społeczna itd. Dobrym przykładem jest też astronomia, której wiedzę można wykorzystywać do wielu celów praktycznych, choćby w astronautyce. Na marginesie warto przypomnieć, że astronomia, w której nasz dorobek jest ceniony w świecie, miała być według projektu reformy zlikwidowana jako osobna dyscyplina naukowa. Daje to niezłe pojęcie o poziomie rozumienia nauki przez autorów projektu.

Przecież w medycynie nie byłoby nowych metod leczniczych, gdyby nie badania z dziedziny genetyki.

– Tak jest również w naukach społecznych, gdzie właśnie np. teorie socjologiczne stanowią dobry punkt wyjścia do proponowania rozwiązań praktycznych. Autorzy reformy prezentują niezwykle uproszczoną wizję zależności między uprawianiem nauki a potrzebami gospodarki.

O reformie ministra Jarosława Gowina mówi się: Konstytucja dla Nauki. Są jakieś założenia filozoficzne tego przedsięwzięcia?

– Ministrowi prawdopodobnie chodziło o to, by zrobić coś spektakularnego, przewrót kopernikański.

eprasa.pl 3127a0922e

Może stąd w założeniach reformy wzięła się taka pompatyczna nazwa.

A czy w kręgach naukowych zbliżonych do PiS cały ten przewrót kopernikański znalazł samych adoratorów? Jednym słowem, czy wszyscy go poparli?

– Z kręgów decyzyjnych PiS, a także od profesury skupionej wokół partii rządzącej, dochodziły głosy, że pomysł ministra Gowina im się nie podoba. Dlatego sądziliśmy do pewnego momentu, że on nie przejdzie. Aż tu nastąpiło jakieś przesilenie i prezes Kaczyński oświadczył, że jednak poprze reformę. I to był jego polityczny *deal* – zawarty chyba z zaciśniętymi zębami.

?

– Bo Jarosław Gowin zapowiedział wcześniej, że jak reforma nie przejdzie, to poda się do dymisji.

Taki szantaż?

– Rządzącym bardziej zależało na Gowinie i utrzymaniu go w koalicji niż na ustawie. A przecież powinno być inaczej – Jarosław Gowin, zamiast szantażować ich dymisją, powinien skierować reformę do ponownych konsultacji. Obóz rządzący przełknął jednak tę pigułkę i poparł ministra. Ale to pokazuje, jakie mechanizmy zadecydowały o wprowadzeniu reformy. Ona nie ma masowego poparcia uczonych, opowiadają się za nią tylko nieliczni, np. niektórzy sprawujący funkcje kierownicze w uczelniach. Konsultacje w tej sprawie odbyły się bardzo wybiórczo – w kręgach, które od początku ją popierały. Tymczasem minister Gowin wielokrotnie podkreślał, że odbyło się mnóstwo konsultacji. Nie wiem, co miał na myśli. My wiemy swoje. Jeśli zgłaszaliśmy uwagi krytyczne, było to jak rzucanie grochem o ścianę.

A czy warto za coś pochwalić ministra Gowina?

– Może za to, że wyższe mają być wynagrodzenia pracowników naukowych. Bo rzeczywiście obecnie są skandalicznie niskie.

Reforma na pewno spowoduje długi okres zamieszania i niepewności.

Czyli minister inwestuje w naukowców.

– Tak, ale to listek figowy zasłaniający prawdziwe problemy. Bo prawda jest taka, że polska nauka od lat cierpi z powodu niedoinwestowania. W wielu państwach nakłady na naukę są znacznie wyższe niż u nas. Dopóki nie dojdzie w Polsce do zmian w tym zakresie, dopóty można w tej szklance herbaty bez cukru mieszać w nieskończoność.

Reforma proponuje większe powiązanie nauki z biznesem. Może tutaj minister Gowin chce zacząć od potrzeb.

– Ale przecież w dużych firmach pracują ludzie lepiej zorientowani w możliwościach wykorzystania nauki niż ci w ministerstwie. Jeśli ktoś wie, że jest w Polsce jakieś odkrycie, po prostu nawiązuje kontakty, aby przełożyć to na praktykę i pieniądze. Państwo w tej kwestii nie musi wychodzić przed szereg.

Przykładem jest medycyna, której rozwój bez firm farmaceutycznych byłby w polskich warunkach wątpliwy.

– Nie chciałbym, aby państwo rozdawało granty na badania naukowe głównie według tego, co ma być wykorzystywane w jakimś biznesie. To droga donikąd, to regres nauki. Wie pani, co to jest punktoza?

Brzmi jak choroba.

– Tak, to choroba nauki. Zaczęła się już jakiś czas temu, ale obecna władza i nowy minister tylko ją zaostrzyli. Punktoza polega na mierzeniu osiągnięć naukowych w sposób ścisły i wymierny – za pomocą punktów. Uczony dostaje określoną ich liczbę za publikację naukową w czasopiśmie, za udział w wydaniu pracy zbiorowej, a także za publikacje w wydawnictwach zagranicznych. Buduje się bardzo sformalizowany i skomplikowany system. Założeniem punktozy jest zobiektywizowanie kryteriów oceny naukowca. Zakłada ona, że jak się zsumuje wszystkie sformalizowane wskaźniki, wyskoczy z tego „obiektywny" indeks czyichś osiągnięć naukowych. Ale tego nie da się zrobić w ten sposób. Przecież są uczeni, którzy potrzebują czasem nawet pięciu lat spokoju, aby napisać dobrą książkę. I przez ten czas niczego, albo prawie niczego, nie publikują.

Uważam, że przy obecnym natłoku informacji badacz powinien dobrze się zastanowić, czy przygotowana przez niego publikacja naprawdę wnosi coś cennego do nauki. A jeśli nie jest pewien, lepiej niech nie posyła jej do druku. Obecny system oceny działa dokładnie w przeciwnym kierunku.

Trudno zrozumieć, dlaczego tak postanowiono.

– No właśnie. Jeśli ktoś opublikuje książkę jedynie po polsku, z jakiejś bardzo wąskiej dziedziny, dostanie niewiele punktów, gdyż temat – choć dla polskiej nauki może być bardzo ważny – z perspektywy nauki światowej jest

eprasa.pl 3127a0922e

Protest poznańskich środowisk akademickich przeciw reformie ministra Gowina, czerwiec 2018 r.

niszowy, bo dotyczy np. naszej historii. Nie dostanie też punktów za publikację w zagranicznym wydawnictwie, bo ono nie będzie zainteresowane takim tematem. I nie będzie cytowany w zagranicznym piśmiennictwie, za co jest wysoka punktacja. I co wtedy? Przecież nie każdy chce być Fukuyamą, który jest mistrzem w budowaniu zainteresowania swoją twórczością, co przekłada się m.in. na liczbę cytowań. Dzieje się tak, mimo że merytoryczna wartość jego koncepcji pozostaje często w dysproporcji do towarzyszącego im rozgłosu. Podsumowując, przecież dobrze wiadomo, że czyjaś popularność, również w nauce, owa liczba cytowań, niekoniecznie świadczy o rzeczywistej wartości dokonań naukowych. Ilu mamy teoretyków, choćby z fizyki czy matematyki, o których nikt nie wie, oprócz wąskiego grona, a bez których nie byłby możliwy rozwój nauki.

Jak chronić takie osoby?

– Oceniając ich pracę w zespołach, którymi kierują prawdziwi naukowcy. W takiej ocenie bierze się pod uwagę całokształt dokonań pracownika naukowego, stosuje kryteria uwzględniające różne aspekty jego działalności, unika „pomiaru" za pomocą uproszczonych i sformalizowanych skal, uwzględnia ocenę środowiska naukowego itd. Wymaga to oczywiście dobrej woli, kompetencji i uczciwości. Tego rodzaju ewaluacja sprawdza się w najlepszych ośrodkach naukowych i dlatego to ona powinna stanowić punkt wyjścia ewentualnych ulepszeń, a nie obawy wywołane zdarzającymi się mało rzetelnymi ocenami. Nie należy niszczyć tego, co przez lata się sprawdziło. Już Arystoteles powiedział, że „jest cechą człowieka wykształconego żądać w każdej dziedzinie ścisłości w tej mierze, w jakiej na to pozwala natura przedmiotu". Ale nie bardziej. Pewnych rzeczy nie da się ściśle zdefiniować. Na przykład sztuki czy moralności, a także osiągnięć naukowych.

Był pan przez wiele lat dyrektorem Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych, czterokrotnie wybranym w wolnych wyborach…

– Na szczęście od zeszłego roku jestem wolny. Nie muszę się poddawać np. punktozie.

Animatorem reformy nie powinien być polityk, bo będzie ją wiązał ze swoją karierą polityczną.

Co, pana zdaniem, szkodzi dziś polskiej nauce?

– Reorganizacja na siłę. A także upolitycznienie decyzji dotyczących reformowania nauki. To wprowadza sytuację, która niestety znana jest w naszym kraju – życie na ruchomych piaskach. Polega ona na tym, że ludzie nie wiedzą, na czym stoją – czy będą np. istniały instytuty, czy zostaną zachowane katedry...

Nawet tego nie wiadomo?

– No nie.

A jak by pan określił model, do którego zmierza reforma Gowina?

– Można tylko powiedzieć, że stara się on zmienić wszystko, co można zmienić. Neguje również to, co dotychczas było dobre. A to przecież nie tak! Wiadomo, że zespoły naukowe, instytuty, różne instytucje kształtują się przez lata, czasem pokolenia. I ważna jest ich ciągłość – by przekazywać tradycje, umiejętności. Zobaczmy, jak rozwiniętą naukę mają Stany Zjednoczone.

Tam nauka jest doinwestowana.

– Ale nie tylko w tym rzecz. Właśnie tam są ważne tradycje czołowych ośrodków naukowych, których nic nie jest w stanie ruszyć. Są to potęgi, do których naprawdę żaden polityk się nie wtrąca, żaden rządzący nie miałby zamiaru ich reformować.

Co jeszcze pana niepokoi jako socjologa, jeśli chodzi o reformę?

– Zaproponowany podział na nauki humanistyczne i społeczne, gdzie socjologia, skoro jest nauką społeczną, nie jest już nauką humanistyczną. Przecież to absurd, to nie są kategorie wyłączające się. Rzeczywistość naukowa jest bardzo specyficzna i skomplikowana. Dlatego należy stosować wobec niej bardzo delikatne narzędzia. Przecież nie wchodzimy z bagnetem, gdy chcemy przeprowadzić operację chirurgiczną... Państwo powinno umieć samoograniczać się w tym zakresie. Koncentrować się jedynie na tym, co może zrobić pozytywnego. Przede wszystkim chodzi o dobre podstawy funkcjonowania uczelni: stabilność, finansowanie i maksymalną ich autonomię... A tutaj, niestety, widzę postępujący proces polityzacji wszystkiego, co się da. Pewnie, że to w Polsce żadna nowość. Ale zsuwamy się w tej materii po równi pochyłej.

Jakieś podsumowanie?

– Reforma na pewno spowoduje długi okres zamieszania i niepewności. I to czasem można do pewnego stopnia usprawiedliwiać... ale pod warunkiem, że model, do którego się zmierza, jest bezspornie dobry. Tymczasem najpoważniejsze autorytety i instytucje wskazują, że nie jest. Przeciwnie – budzi on ogromne obawy. Poza tym animatorem reformy nie powinien być polityk, nawet jeżeli ma pewne pojęcie o nauce, bo będzie wiązał jej przeprowadzenie ze swoją karierą polityczną.

Barbara Jagas

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, JĘDRZEJ NOWICKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 3127a0922e

DROGI WIDOK NA TATRY

Deweloperskie zakusy na zakopiańską Równię Krupową

Leszek Konarski

Równia Krupowa, choć zakopiańczycy mówią częściej Rówień Krupowa, wielka łąka w samym centrum miasta, pomiędzy aleją 3 Maja i ulicami Henryka Sienkiewicza, Stanisława Witkiewicza i Nowotarską, przecięta tylko ulicą Tadeusza Kościuszki, to miejsce, gdzie można się położyć na kocu i podziwiać panoramę Tatr, szczyt Giewontu, a nawet znajdującą się po przeciwnej stronie Gubałówkę. Właśnie na terenie tego zakopiańskiego Central Parku, porównywalnego chyba tylko do krakowskich Błoń, odbywają się wielkie imprezy plenerowe z Sylwestrami Marzeń TVP włącznie, choć po kilku nieprzespanych noworocznych nocach nie wszystkim miejscowym i wczasowiczom, nie wspominając o zwierzętach w Tatrzańskim Parku Narodowym, udziela się entuzjazm prezesa Kurskiego.

Na należącym do gminy 24-hektarowym obszarze parkowo-łąkowym Równi Krupowej, będącym parkiem krajobrazowym objętym ochroną konserwatorską i przyrodniczą, nikt niczego nie zbuduje, nawet dwie wieże „K-Tower" tu nie staną. Od końca XIX w. ten teren, będący dla górali miejscem niemal świętym, uniknął zabudowy. Potwierdził to na sesji rady miasta 31 lipca 2017 r. wiceprzewodniczący Rady Ochrony Zabytków prof. Zbigniew Myczkowski z Politechniki Krakowskiej, który stwierdził, że „Rówień Krupowa została dana góralom przez Boga", i dodał: „Można zafałszować raporty, sprawozdania, można zafałszować różne inne dokumenty, krajobrazu zafałszować się nie da, on zawsze powie prawdę o nas i o naszym gospodarowaniu". Jego słowa radni przyjęli oklaskami.

Ale Równia Krupowa to nie tylko 24 ha łąki, ale także zabudowania na jej obrzeżach, które w 2017 r. zostały w całości wpisane do gminnej ewidencji zabytków, a kilkanaście budynków znalazło się w państwowym rejestrze zabytków. Równi Krupowej nie powinno nic grozić. Niestety, to teoria.

HOTEL NIE HOTEL

Z całej Polski pod Tatry ciągną inwestorzy i wszyscy szukają działek budowlanych z widokiem na Tatry. Apartamenty z górami za szybą, choć bardzo drogie, sprzedają się błyskawicznie. Właściciele prywatnych kwater w ogłoszeniach też zawsze piszą, że pokój ma widok na góry, i odpowiednio podnoszą cenę. W hotelach pokój z widokiem na Tatry jest droższy niż ten, z którego widać miasto lub las.

W 2018 r. za nowe mieszkanie z widokiem na Tatry trzeba było zapłacić 13-19 tys. zł za metr kwadratowy, choć sprzedawano również mieszkania kosztujące powyżej 20 tys. W rezydencji Grand Nosalowy Dwór 30-metrowy lokal sprzedano za 680 tys. zł. W budynku przy ulicy Do Tadziaków 50-metrowy lokal kupiono za 1,5 mln zł, a 100-metrowy apartament za 2 mln. Mieszkania, z których nie widać Tatr, lub te położone dalej od centrum miasta można było nabyć znacznie taniej, za 9-13 tys. zł za metr kwadratowy. Według raportu opracowanego przez instytut Monitor Rynku Nieruchomości średnia cena nowego mieszkania w Zakopanem w pierwszym kwartale 2018 r. wyniosła 13,9 tys. zł.

W Zakopanem apartamentowce udają hotele, pensjonaty, condohotele i aparthotele.

Apartamentowiec zbudowany w rejonie Równi Krupowej, gdzie właściciel mieszkania ma widok na góry i może pospacerować po wielkiej łące, kilka kroków od Krupówek, to dla inwestorów prawdziwa żyła złota. Przeszkodą w budowaniu tu bloków mieszkalnych jest miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego, dopuszczający jedynie obiekty pensjonatowo-hotelowe. Trzeba więc tak nazwać inwestycję, aby dom z mieszkaniami na sprzedaż wyglądał na pensjonat, hotel, aparthotel, hotel apartamentowy, czyli condohotel. Tych ostatnich, luksusowych apartamentów typu *condo*, których właściciele podpisują umowę z właścicielem budynku i mogą w nich mieszkać lub je wynajmować, z każdym rokiem w Zakopanem przybywa. Zlokalizowane są najczęściej w rezydencjach dysponujących własnym SPA, basenem, jacuzzi. Średnia cena za taki apartament w ubiegłym roku przekraczała 19 tys. zł za metr kwadratowy.

Naczelnik wydziału budownictwa i architektury Zakopanego Jerzy Chlebiński zapytany, czy miasto nie widzi problemu w tym, że niektóre hotele to nie hotele, pensjonaty to nie pensjonaty, odpowiedział, że prawo nie zabrania, by wybudowany obiekt miał wielu właścicieli, i nie można twierdzić, że jest to naruszenie przepisów.

JAK ZABLOKOWAĆ BLOKI

To, że samo wpisanie całego terenu Równi Krupowej do gminnej ewidencji zabytków niczego nie załatwia, jako pierwsi zauważyli członkowie zakopiańskiego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Oddział Podhalański. Skierowali w tej sprawie petycję do wojewódzkiego konserwatora zabytków w Krakowie z postulatem wpisania całego tego obszaru do rejestru państwowego. Gdy apele nie przyniosły żadnego skutku i właściciele domów zlokalizowanych na obrzeżach Równi Krupowej dowiedzieli się, że są już gotowe plany zbudowania w rejonie ulic Sienkiewicza i Witkiewicza czte-

eprasa.pl 3127a0922e

Rozbiórka Chaty została wstrzymana. Tylko czy ktoś nie podpali starej willi?

Michał Furmanek: – Nie możemy dopuścić do budowania bloków mieszkalnych pomiędzy perełkami architektury drewnianej.

rech wielkich apartamentowców udających pensjonaty lub hotele, postanowili założyć stowarzyszenie Lepsze Zakopane. Jego siedziba mieści się w zabytkowym drewnianym Domu Doktora przy ul. Witkiewicza, w galerii sztuki współczesnej prowadzonej przez malarkę Magdę Kraszewską. W tym domu mieszkał jej dziadek dr Wacław Kraszewski (1872-1931), lekarz i społecznik, bardzo zasłużony dla Zakopanego.

Prezesem stowarzyszenia został Michał Furmanek, wieloletni kierownik Stacji Hydrologiczno-Meteorologicznej IMGW-PIB na zakopiańskiej Równi Krupowej, instruktor narciarski. – Powołaliśmy Lepsze Zakopane – mówi – bo nie możemy dłużej biernie się przyglądać zakusom deweloperów, którzy chcą budować apartamentowce na obrzeżach Równi Krupowej. Wiemy, że na jej środku nikt nie postawi wieżowca, ale na obrzeżach tego terenu, wpisanego do gminnej ewidencji zabytków jako Krajobraz Kulturowy Równia Krupowa, u zbiegu ulic Sienkiewicza i Witkiewicza, planowana jest budowa czterech apartamentowców o wysokości od 13 do 16 m, z kilkudziesięcioma mieszkaniami i podziemnymi garażami. My chcemy zachować dla przyszłych pokoleń dotychczasowy charakter Równi Krupowej. Nikt z nas nie zabrania nikomu postawić tu pięknego domu w stylu zakopiańskim czy góralskim. Tylko nie wielkie, betonowe bloki nazywane przez inwestorów dla zmylenia władz pensjonatami. To tędy, ulicami Sienkiewicza i Witkiewicza, przebiega szlak architektury drewnianej. Tymi ulicami spacerowali Karol Szymanowski, Stanisław Moniuszko, Władysław Orkan, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Julian Fałat, Leon Wyczółkowski oraz wielu innych wspaniałych twórców i zachwycali się pięknymi zakopiańskimi drewnianymi domami. Nie możemy dopuścić do budowania pomiędzy perełkami architektury drewnianej bloków mieszkalnych, które na zawsze zmienią oblicze tej okolicy.

Członkowie Lepszego Zakopanego zebrali już 800 podpisów pod petycją do władz przeciwko barbarzyńcom, bo tak nazywają inwestorów chcących zabetonować Równię Krupową. Piszą do miejskiego i wojewódzkiego konserwatora zabytków, do ministra kultury.

NA PRZYKŁAD CHATA

Członkiem stowarzyszenia jest Jerzy Wybieralski, instruktor narciarstwa alpejskiego, mający drewniany dom przy ulicy Henryka Sienkiewicza. Co roku jeździ do francuskiego Chamonix i doskonale wie, jak tam wygląda ochrona alpejskiego krajobrazu. Tuż za jego domem stoi niegdyś piękna willa Chata, dawno temu siedziba straży granicznej, dzisiaj opuszczona i zrujnowana; podobno nie nadaje się do remontu, ma zapadnięte fundamenty, grzyb na ścianach i walący się dach.

– Nie jest to budynek o jakichś wielkich wartościach historycznych, niemniej jednak ma bardzo zakopiański charakter – mówi Wybieralski. – Kiedyś inwestor z Krakowa chciał kupić działkę, na której znajduje się Chata, rozebrać ten dom i postawić w tym miejscu ładny budynek w stylu zakopiańskim. My jako sąsiedzi tę propozycję zaakceptowaliśmy. Było to zgodne z planem zagospodarowania przestrzennego, zatwierdzonym dla tego terenu w 2010 r., który nakazuje ratować budynek wpisany do gminnego rejestru zabytków, a gdy to niemożliwe, można go rozebrać i na jego miejscu wybudować obiekt o podobnej kubaturze. Dwa lata temu działkę kupiła spółka TOP-Tatry i deweloper złożył projekt budynku trzy razy większego niż Chata. Już wystąpił o zgodę na rozbiórkę i choć nie dostał jeszcze pozwolenia na budowę, miejski konserwator zabytków zezwolił na rozbiórkę Chaty. Po naszej interwencji wojewódzki konserwator wstrzymał tę decyzję. Nie jesteśmy przeciwni budowaniu nowych domów w rejonie Równi Krupowej, sprzeciwiamy się tylko wznoszeniu betonowych kolosów, które oficjalnie noszą nazwę pensjonatów. Jeszcze kilka lat temu deweloperzy nie byli tak agresywni jak teraz.

Działka, na której stoi Chata, była za mała na potężny budynek mieszkalny, więc inwestor kupił od gminy sąsiednie 17 arów za ponad 2 mln zł. Nabywcą była spółka córka firmy TOP-Tatry o nazwie TOP-Tatry „Projekt Sienkiewicza", zarejestrowana 10 dni przed gminnym przetargiem. Jerzy Wybieralski widział już projekt tego wielkiego apartamentowca pensjonatowo-hotelowego.

Nieco dalej, w pobliżu Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej, projektowana jest budowa innego bloku mieszkalnego, też udającego hotel, bo inwestor kupił działkę o po-

FOT. LESZEK KONARSKI

eprasa.pl 3127a0922e

wierzchni 2 tys. m kw. przy bardzo wąskiej uliczce – mającej 4 m szerokości, a w najwęższym miejscu zaledwie 3,20 m.

– Przy tej uliczce – opowiada Wybieralski – gdzie ma powstać apartamentowiec z 35 lokalami i wielkim garażem podziemnym, stoi kilkanaście domów. Już teraz śmieciarka musi wjeżdżać tyłem, bo nie ma możliwości zawrócenia. Gdy budowa będzie trwała, tą wąską dróżką będą musiały przejechać setki ciężarówek, wywożąc ziemię i przywożąc materiały budowlane. A tędy chodzą dzieci do szkoły, turyści, jeżdżą samochody.

Mieszkańcy domów na obrzeżach Równi Krupowej bardzo się boją również pożarów zabytkowych budynków i mają nadzieję, że Chaty nikt nie odważy się podpalić. Przed tym najszybszym sposobem pozbywania się zabytków i pozyskiwania terenów budowlanych ostrzegli władze Zakopanego inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli, którzy w zeszłym roku badali stan zabezpieczenia zabytków. W raporcie napisali: „Wysokie ceny oraz potencjał inwestycyjny nieruchomości w Zakopanem skutkowały podpaleniami, zaniedbaniami oraz celowym niszczeniem obiektów. W latach 2014-2017 odnotowano 28 pożarów budynków drewnianych, z czego połowa była w gminnej ewidencji zabytków. Przyczyną pożarów w sześciu przypadkach było podpalenie, w siedmiu zaprószenie ognia przez nieznanego sprawcę, a w ośmiu nie ustalono przyczyny pożaru”.

W latach 2014-2017 w rejonie Zakopanego spłonęło 28 drewnianych budynków.

APARTAMENTOZA

Członkowie stowarzyszenia Lepsze Zakopane używają takich określeń jak „zakopiańska deweloperoza” lub „apartamentoza”, mówią o „obgryzaniu Równi Krupowej” przez inwestorów. Wiedzą, że miasto musi się rozwijać i nowe budynki są potrzebne. Tylko nie należy niszczyć krajobrazu. – Często rozmawiam z turystami, którzy pamiętają to stare, drewniane Zakopane, z niepowtarzalną atmosferą góralskiej architektury, i oni mówią, że teraz nie poznają tego zabetonowanego miasta – podkreśla Michał Furmanek. – A wszystko przez wielkie pieniądze, które tu można zarobić na sprzedaży mieszkań z widokiem na Tatry.

Leszek Konarski

Z ostatniej chwili: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego podtrzymało decyzję wojewódzkiego konserwatora zabytków w Krakowie i nie wyraziło zgody na rozbiórkę Chaty i postawienie w tym miejscu wielorodzinnego budynku mieszkalnego z podziemnym garażem.

W bieżącym numerze także:

René Raphaël, Ling Xi
Rating obywateli w Chinach

Gérard Prunier
Kulisy pojednania

Łukasz Ługowski
Jak skutecznie walczyć ze smogiem?

Ewa Jasiewicz
Miłość, władza i polityka przetrwania

Jarosław Pietrzak
Antykomunizm dla estetów

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (12 numerów): 82 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Kredyt Bank IV Oddział w Warszawie
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 3127a0922e

Z Galicji

Jan Widacki

SUKCESY

Zorganizowaliśmy Amerykanom konferencję „w sprawie bliskowschodniej". Europa Zachodnia od tego się zdystansowała. Iran się wściekł. Jaka z tego dla nas korzyść? Przyjechał na konferencję premier Izraela Beniamin Netanjahu. Taki izraelski Kaczyński, realizujący – zwłaszcza w czasie swojej kampanii wyborczej – „izraelską politykę historyczną". Przyjechał do Warszawy i powiedział, co powiedział. Właściwie nic nowego. Powiedział, że Polacy kolaborowali z Niemcami w Holokauście. Nie powiedział, że współpracował „naród polski" ani że „wszyscy Polacy". Ale dla dumnego narodu „powstającego z kolan" i tak było to za dużo. Oburzyło się PiS i oburzyła się opozycja. Kontrargument był jeden: wielu Polaków ratowało Żydów i zostało uznanych przez Izrael za sprawiedliwych wśród narodów świata. To prawda. Było wielu takich Polaków. Ale chyba szmalcowników było, niestety, więcej. Zaczęliśmy się domagać przeprosin. W odpowiedzi na to izraelski p.o. minister spraw zagranicznych Israel Katz dołożył mocniej. Powiedział, że „Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki". To krzywdzące i niesprawiedliwe. Nie wszyscy Polacy byli (tym bardziej nie wszyscy są!) antysemitami. Była to wypowiedź bezpodstawna i niedopuszczalna. Takich obraźliwych uogólnień nie wolno robić nikomu, a w szczególności szefowi dyplomacji. Wywołało to u nas jeszcze większe oburzenie. I nie ma znaczenia, że minister zacytował tylko nieżyjącego już byłego premiera Icchaka Szamira. Przy okazji przypomniano, że ojciec Szamira, który uciekł hitlerowcom z transportu do obozu zagłady, został zatłuczony przez polskich chłopów łopatami. Niechęć Szamira do Polaków można więc zrozumieć przez pryzmat jego osobistych doświadczeń. Miał prawo przesadzić. Israel Katz takiego prawa już nie miał.

W odwecie na szczyt wyszehradzki do Jerozolimy nie pojechał nikt z Polski. Ale pojechali najwyżsi przedstawiciele Węgier, Czech i Słowacji. Nawiasem mówiąc, Węgry i Słowacja były w czasie wojny sojusznikami Hitlera i ich udział w Holokauście był instytucjonalny. Solidarność Grupy Wyszehradzkiej okazała się nader wątpliwa. Zawiódł po raz kolejny podstawowy sojusznik pisowskiego rządu Viktor Orbán.

W cieniu tych wydarzeń pozostaje wypowiedź wiceprezydenta USA Mike'a Pompeo, który na warszawskiej konferencji upomniał się o restytucję żydowskiego mienia. Na Amerykę obrazić się nie mieliśmy już odwagi. Tak czy owak – jak widać, konferencja warszawska zaowocowała sukcesami.

Pokazuje to nędzę pisowskiej polityki zagranicznej. Rusofobiczni, skonfliktowani z Unią Europejską, staliśmy się w pełni zależni od Ameryki i kapryśnego, nieprzewidywalnego prezydenta Trumpa, którego pani ambasador zachowuje się w Polsce jak gubernator. W dodatku skonfliktowaliśmy się z głównym sojusznikiem USA, jakim jest Izrael. Jedyny sojusznik w Unii Europejskiej Viktor Orbán znów okazał się nielojalny, jadąc do Jerozolimy. Z sojusznikiem rezerwowym, jakim mogłaby być Litwa, z którą łączy nas zresztą jedynie rusofobia, zaczynamy konflikt, tworząc telewizję Wilno i demonstrując po raz kolejny, że traktujemy ten kraj jako „bliską zagranicę", czego Litwini ze zrozumiałych względów nie lubią.

Ale dzieje się też wiele w polityce wewnętrznej. Kaczyński dał się nagrać (i to członkom rodziny) nie jak kiedyś politycy Platformy w knajpie, ale w centrum dowodzenia na Nowogrodzkiej. Został przyłapany nie na jedzeniu ośmiorniczek i wulgarnym języku, ale na robieniu podejrzanych interesów. Powinowaty biznesmen z Austrii zarzuca mu oszustwo i oskarża o podżeganie do korupcji. Na żelaznym elektoracie PiS nie zrobi to zapewne większego wrażenia. Ale sprawa jest w Ziobrowej prokuraturze. Prezes Polski nagle stał się zakładnikiem Ziobry. Znamienne jest, że to nie Ziobro został wezwany na Nowogrodzką, jak dotąd bywało z ministrami, ale Kaczyński przyjechał do Ziobry w Aleje Ujazdowskie. Pozycja tego ostatniego w obozie władzy wzmocniła się teraz niesłychanie. To od niego zależy, co prokuratura zrobi z całą aferą. Zapewne nic. Ale na pewno nie za darmo. Jakoś panowie się ułożą. Ceną w ostateczności będzie scheda po Kaczyńskim. Brudziński ma kandydować do europarlamentu. W maju wyjedzie zapewne do Brukseli. Będzie jednego mniej. Zostaje duet: Morawiecki i Ziobro. Dotąd prezes skutecznie wspierał raz jednego, raz drugiego, utrzymując obydwu w pełnej zależności od siebie. Co prezes zrobi teraz? Wygląda na to, że ciekawe rzeczy będą się działy w obozie władzy.

Rusofobiczni, skonfliktowani z Unią Europejską, staliśmy się w pełni zależni od Ameryki i nieprzewidywalnego prezydenta Trumpa.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3127a0922e

Jamie Ivey nie żałuje adopcji, ale biurokracja kilkakrotnie tak ją przytłoczyła, że rozważała rezygnację.

DZIECI RÓŻNYCH ŚWIATÓW

Międzynarodowa adopcja to bezinteresowna pomoc czy biznes?

Mateusz Mazzini

Jamie, 39-letnia dziennikarka i aktywistka społeczna z Austin w Teksasie, o swojej pierwszej adopcji dziecka spoza USA opowiada szczerze, nie wstydząc się emocji. W jednym z odcinków prowadzonego przez siebie podcastu „The Happy Hour with Jamie Ivey" zrekonstruowała nie tylko proces adopcyjny, ale przede wszystkim przemyślenia, które skłoniły ją do takiego kroku. Podobnie jak dla ponad 60% amerykańskich rodziców adoptujących dzieci spoza kraju (według danych Departamentu Stanu), decyzja o przyjęciu nowego członka rodziny była dla niej zarazem decyzją o kolejnym dziecku. Adoptowane dziecko innej narodowości najczęściej nie jest pierwszym w danej rodzinie. Tak właśnie było w przypadku Jamie, która do agencji adopcyjnej weszła z mężem i siedmiomiesięcznym wówczas biologicznym synem na rękach. Początkowo chcieli adoptować chłopca z Chin, co byłoby o tyle typowe, że kraj ten od ponad 25 lat pozostaje światowym liderem wśród państw, z których adoptuje się dzieci. Jednak konsultantka z agencji przedstawiła im kilka innych historii. Jamie wspomina, że najwięcej było teczek chłopców z krajów Afryki Subsaharyjskiej oraz dzieci z rodzin afroamerykańskich – gdyby zdecydowali się na adopcję na terenie USA.

Ostatecznie małżeństwo przyjęło do rodziny dwóch chłopców z Haiti, osieroconych po tragicznym w skutkach trzęsieniu ziemi z 2010 r. Zanim jednak to się stało, minęło 15 miesięcy skomplikowanej procedury i przepychanek z władzami obu krajów. Choć adopcji nie żałuje, Jamie kończy podcast stwierdzeniem, że biurokracja kilkakrotnie tak ją przytłoczyła, że rozważała rezygnację.

Jej historia skupia w sobie kilka elementów pojawiających się w większości relacji par, które zdecydowały się na adopcję międzynarodową. Pierwszym jest wątek chiński. Jak podaje portal InternationalAdoption.org, zajmujący się zbieraniem statystyk na temat tego procesu i pomocą w czekającym rodziców biurokratycznym maratonie, w latach 1999-2016 Amerykanie przyjęli pod swój dach ponad 78 tys. chińskich dzieci. Szczytowy pod tym względem okazał się rok 2005, kiedy nowy dom za oceanem znalazło 7905 Chińczyków. Obywatele USA nie są tu wyjątkiem. Sięgając do statystyk UNESCO, możemy zobaczyć, że we wspomnianym okresie z Chin w świat wysłano ok. 267 tys. dzieci.

Po pierwsze, chińskich dzieci zgłaszanych do adopcji do zagranicznych domów jest zwyczajnie najwięcej. Shelly Orr z University of Washington podkreśla, że to wynik na tyle skutecznego rozreklamowania tej opcji przez międzynarodowe agencje adopcyjne działające od dekad na tamtejszym rynku, że przestała ona być postrzegana jako ekstrawagancja czy egzotyka. Po drugie, Chiny są jednym z państw z bardziej przejrzystą ścieżką

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3127a0922e

biurokratyczną dla adopcji międzynarodowych. W wielu innych krajach, chociażby z obszaru dawnego Związku Radzieckiego czy Ameryki Łacińskiej, przeszkody urzędowe są tak duże, że wielu kandydatów rezygnuje jeszcze w trakcie przedsięwzięcia. Po trzecie wreszcie, adopcja w Chinach jest zwyczajnie tańsza. Na sumę kosztów adoptowania dziecka składają się m.in. opłaty pobierane przez rządy, sierocińce, agencje pośredniczące z ojczyzny rodziców adopcyjnych, no i partnerów na miejscu.

Portal The Conversation, powołując się na dane Departamentu Stanu, ONZ i Banku Światowego, ocenia, że od 2014 r. w niektórych krajach mogły one wzrosnąć nawet o jedną piątą. A są to koszty naprawdę niemałe. W przypadku adopcji chińskiego dziecka przez amerykańską rodzinę sumują się do średnio 37 tys. dol. (wliczając w to podróże rodziców czy opłaty wizowe dla dziecka). Jeśli chodzi o większość krajów Afryki Subsaharyjskiej, przede wszystkim popularne w kręgach adopcyjnych Wybrzeże Kości Słoniowej, Nigerię i Kongo, kwota ta przekracza 50 tys. dol. Nieco niższe są koszty ponoszone przez rodziny europejskie adoptujące dzieci z innych części Afryki i Azji. Raport Parlamentu Europejskiego z 2016 r. określa je na 25-30 tys. euro w przypadku krajów azjatyckich i 35 tys. euro w przypadku Afryki.

Nie wszystkie kierunki adopcyjne są jednak aż tak dobrze zbadane i udokumentowane. W tym momencie wchodzimy w szarą strefę. Adopcje międzynarodowe to bowiem nie tylko piękny odruch miłości, ale również ogromny biznes. Co ciekawe, najwięcej nadużyć i przypadków handlu dziećmi do adopcji dochodzi właśnie w krajach, w których procedury biurokratyczne są najbardziej rozbudowane. Shelly Orr zauważa, że to złożoność procesu administracyjnego i styczność z urzędnikami wielu szczebli tworzy liczniejsze okazje do korupcji. Dlatego coraz więcej krajów albo całkowicie zakazuje adopcji międzynarodowej, albo wprowadza dodatkowe regulacje nadzorujące cały proces. Tym drugim tropem poszli chociażby w ostatnich latach Chińczycy, którzy w 2016 r. przyjęli pakiet ustaw zwiększających kontrolę nad działającymi tam adopcyjnymi organizacjami pozarządowymi.

Nie wszystkie kraje podnoszą jakość swoich procedur adopcyjnych. Wiele decyduje się na filtrowanie potencjalnych rodziców wyłącznie poprzez kryterium finansowe. Dotyczy to głównie dawnych republik radzieckich – Rosji, Kazachstanu, Uzbekistanu. W latach 90. były one rajem dla pośredników adopcyjnych. Mało kto cokolwiek sprawdzał, a opłaty ograniczały się do skorumpowania opiekunów w domu dziecka i celników na granicy oraz wyrobienia fałszywych paszportów. Z krajów dawnego ZSRR dzieci adoptowali przeważnie mieszkańcy zachodnich państw UE. Do dziś, jak wylicza Eurostat, najwięcej w Unii adoptuje się dzieci rosyjskich, wysoko w tej klasyfikacji są także Ukraina i Kazachstan. Procedura zrobiła się jednak znacznie trudniejsza niż jeszcze 10-15 lat temu, a dodatkowo obwarowano ją wyjątkami politycznymi. Od 2012 r. rosyjskich dzieci w ogóle nie mogą adoptować obywatele USA – to konsekwencja ówczesnego oziębienia stosunków między Waszyngtonem a Moskwą.

Co więcej, władze wielu krajów poradzieckich nie tylko zaczęły walczyć ze zorganizowaną przestępczością w tym zakresie, ale też zapragnęły zwyczajnie na adopcji międzynarodowej zarabiać. Jak podaje magazyn „Foreign Policy", od 2003 r. we wszystkich 15 krajach dawnego Związku Radzieckiego przyjęto łącznie 112 ustaw regulujących handel ludźmi, spośród których aż jedna trzecia obejmuje procedury adopcyjne. Coraz większą ingerencję państwa w ten proces pokazuje jednak przede wszystkim rozkład kosztów. Analizy międzynarodowej fundacji Save the Children, jednej z największych organizacji zajmujących się ochroną praw dziecka, pokazują, że koszt adopcji międzynarodowej dziecka z kraju poradzieckiego wynosi nie mniej niż 50 tys. dol., z czego prawie połowa (średnio 24 tys. dol.) trafia do państwa. Dla porównania kwota ta w przypadku Chin wynosi jedynie ok. 16 tys. dol.

Niektóre państwa zupełnie zamykają się na adopcje międzynarodowe, z obawy przed gangami, brakiem możliwości nadzoru, ale też z powodu nieufności wobec krajów, z których pochodzą potencjalni przybrani rodzice. Tendencja do delegalizacji adopcji międzynarodowych przybrała na sile w ostatnich latach przede wszystkim w Ameryce Południowej i Środkowej. Najdobitniej widać to na przykładzie Gwatemali, która jeszcze w 2006 r. plasowała się na drugim miejscu światowej listy krajów oddających dzieci do zagranicznej adopcji. Dziś proceder ten jest praktycznie nielegalny, dopuszczalne są jedynie przypadki adopcji przez dalekich krewnych, co trudno porównywać z przyjęciem do domu zupełnie obcego dziecka.

Obecnie z Gwatemali do nowych rodziców wyjeżdża ok. 230 dzieci rocznie, kilkanaście razy mniej niż w poprzedniej dekadzie. Dla wielu rodzin w tym kraju oznacza to duże problemy, a dla dzieci ogromne zagrożenie. Gwatemala jest bowiem nie tylko jednym z najbrutalniejszych krajów na świecie (114 morderstw na 100 tys. mieszkańców, 15,8 sztuki broni na 100 obywateli), ale również państwem o bardzo restrykcyjnych regulacjach antyaborcyjnych. Kobiety są tam praktycznie zmuszane do rodzenia – od 1973 r. aborcja dozwolona jest w przypadku zagrożenia życia matki, jednak bardzo rzadko prawo to jest egzekwowane. Dzieci zatem przychodzą na świat i często jeszcze w szkole trafiają na orbitę działań gangów, w spiralę przemocy. Zakaz międzynarodowych adopcji odbiera im jeszcze jedną szansę ucieczki przed tym tragicznym losem. Spośród wszystkich kosztów związanych z adopcją to brak możliwości jej przeprowadzenia wydaje się największy.

■

Amerykańska rodzina za adopcję dziecka z Chin płaci średnio 37 tys. dol., a za dziecko z Nigerii i Konga ponad 50 tys.

W latach 1999-2016 Amerykanie przyjęli pod swój dach ponad 78 tys. chińskich dzieci.

eprasa.pl 3127a0922e

Agata Olejarczyk

BUNT PRAWICZKÓW

Incele, czyli wspólnota mężczyzn uwięzionych w mimowolnym celibacie, z roku na rok się powiększa i radykalizuje

23 maja 2014 r., kampus uniwersytecki w Isla Vista. 22-letni Elliot Rodger chwyta nóż i zabija trójkę współlokatorów. W pobliżu żeńskiego akademika strzela do dwóch studentek. Następnie wsiada do samochodu, ostrzeliwuje kawiarnię i sklep spożywczy, uśmiercając studenta. W sumie morduje sześć osób. Na koniec popełnia samobójstwo. W tym czasie w serwisie YouTube pojawia się wideo zatytułowane „Zemsta", w którym Rodger tłumaczy motywy zbrodni. Obwinia cały świat o to, że nadal jest prawiczkiem. Na pierwszym miejscu wśród winnych są oczywiście kobiety. Mówi: „Jestem doskonały, a mimo to rzucacie się na tych wszystkich ohydnych facetów zamiast na mnie, doskonałego dżentelmena". Przed zamachem wysłał swojej psychoterapeutce i ojcu 137-stronicowy manifest „Mój pokręcony świat". Napisał w nim: „Pewnego dnia incele zdadzą sobie sprawę z ich prawdziwej siły i liczby i obalą ten opresyjny system feministyczny".

1 października 2015 r. na terenie szkoły wyższej Umpqua Community College w Roseburgu 26-letni Christopher Harper-Mercer zaczyna strzelać do ludzi. Ginie dziewięć osób, osiem zostaje rannych. Sam Harper-Mercer podczas wymiany ognia z policją strzela sobie w głowę. Śledczy odkrywają, że przed zamachem szczególnie interesował się masakrą w Isla Vista. W swoim manifeście pisał o frustracji z powodu braku aktywności seksualnej. Określał siebie jako osobę „bez przyjaciół, dziewczyny i pracy".

Walentynki, rok 2018, Parkland na Florydzie. W Marjory Stoneman Douglas High School dochodzi do strzelaniny. Ginie 17 osób, kolejne 17 jest rannych. Sprawcą okazuje się 19-letni Nikolas Cruz. Rok przed masakrą pisze na YouTubie: „Elliot Rodger nie będzie zapomniany".

23 kwietnia 2018 r., Toronto. 25-letni Alek Minassian wjeżdża ciężarówką w tłum pieszych. Ginie 10 osób, 15 odnosi obrażenia. Przed zdarzeniem na swojej tablicy na Facebooku zamieszcza wpis: „Bunt stulejarzy się rozpoczął. Obalimy wszystkich Chadów i wszystkie Stacy. Pozdrawiamy doskonałego dżentelmena Elliota Rodgera".

Elliot Rodger uważał, że kobiety nie doceniają jego doskonałości.

Celibat mimo woli

W słowniku angielsko-polskim *incel* to rzeczownik określający osobę, która „nie uprawia seksu pomimo chęci". Powstał od słów *involuntary* i *celibate* oznaczających celibat mimo woli. Incele to wspólnota mężczyzn, których łączy seksualna samotność. Najczęściej to biali, heteroseksualni faceci. Według definicji w jednym z amerykańskich portali incel ma minimum 21 lat i nie uprawiał seksu od co najmniej sześciu miesięcy, pomimo chęci i potrzeby.

Określenie pojawiło się w 1993 r. Autorką jest Alana, kanadyjska studentka i aktywistka LGBT. Strona internetowa Alana's Involuntary Celibacy Project została stworzona z myślą o nieaktywnych seksualnie kobietach i mężczyznach, do dzielenia się przeżyciami i przemyśleniami. Dziś seksualni samotnicy gromadzą się na forach internetowych typu 4chan czy Reddit, by wyładowywać frustrację i żal do świata. A w szczególności do kobiet, które nie chcą dzielić z nimi romantycznych uniesień.

Polscy incele nazywają siebie stulejarzami lub przegrywami. Głównym miejscem ich internetowych spotkań jest portal Wykop, gdzie tzw. mirki (użytkownicy Wykopu) narzekają na świat, społeczeństwo i płeć piękną. W USA sfrustrowani celibatem mężczyźni mogli korzystać z grup wsparcia utworzonych m.in. na Reddicie. Do czasu. W 2017 r. serwis zablokował subreddita o nazwie Incels, mającego prawie 40 tys. użytkowników. Powód? Rozpowszechnianie treści związanych z przemocą.

Incele uważają seks za ich święte prawo, popierają przemoc wobec osób aktywnych seksualnie. Naukowcy zwracają uwagę, że w społecznościach inceli można odnaleźć echa ideologii *alt-right*, skrajnie prawicowego ruchu politycznego, łączącego m.in. białą supremację, nacjonalizm, antysemityzm, islamofobię, homofobię, eugenikę i antyfeminizm.

W 2018 r. ideologia *male supremacy* (męskiej supremacji) znalazła się na liście grup nienawiści amerykańskiego Southern Poverty Law Center. Powodem było dehumanizowanie i krytykowanie kobiet oraz propagowanie przemocy fizycznej i seksualnej wobec nich. Według specjalistów pracujących w ośrodku incele to część online tych grup. – Istnieje gniewny podzbiór internetowej społeczności inceli, który ma specyficzny folklor i swoje żale – twierdzi Brian Levin, dyrektor wykonawczy w Centrum Badań nad Nienawiścią i Ekstremizmem

Polscy incele nazywają siebie stulejarzami lub przegrywami.

eprasa.pl 3127a0922e

Uniwersytetu Stanu Kalifornia w San Bernardino.

Gwałt to wymyślona konstrukcja

Incele uważają, że seks jest zasobem jak ropa naftowa czy węgiel. Postulują redystrybucję seksu, aby przywrócić sprawiedliwość społeczną. W artykule „Bunt prawiczków, czyli doskonały dżentelmen Elliot Rodger" dostępnym na stronie Nienawiść.pl przeczytamy o „projekcie ustawy dotyczącej seksu socjalnego, nakładającej na kobiety obowiązek regularnego i przymusowego obdzielania seksem osób seksualnie wykluczonych". Część osób wytyka incelom, że domagają się usankcjonowanych gwałtów.

Opinia, że gwałt jest wymyśloną konstrukcją, to wśród inceli nic nowego. Niektórzy chcą prawa do jednorazowego legalnego gwałtu bez konsekwencji. W artykule Kasi Bayer opublikowanym na portalu Bezprawnik.pl znajdziemy cytat z forum: „Pozwolenie kobietom decydować o tym, z kim uprawiają seks, było błędem. Kobiety nie są w stanie myśleć racjonalnie, więc nie powinny samodzielnie podejmować tak ważnych decyzji".

W świecie inceli panuje swoista hierarchia. Na samej górze mamy parę idealną: Chada i Stacy. Chad to samiec alfa, umięśniony, atrakcyjny, słowem ideał. Stacy jest ładna, puszczalska i nieosiągalna dla przegrywa. W środku znajduje się cała masa normików (ang. *normies*), czyli przeciętniaków w związkach, mających dzieci i pracę. Na samym dole są incele – samce omega, ciągnące się w ogonie społeczeństwa. Kobiety są sukami, w dodatku hipergamiczkami. Jedyne godne uwagi egzemplarze to szare myszki – dziewice.

Incele postrzegają rzeczywistość jako powielający się schemat. Stacy zachodzi w ciążę z Chadem, który ostatecznie porzuca ją i zostawia w trudnej sytuacji finansowej. Dopiero wtedy „suka" jest gotowa wziąć pod uwagę przegrywa, desperacko szukając kogoś, kto zapewni jej byt.

Seksualni samotnicy gromadzą się na forach internetowych typu Reddit, by wspólnie wyładowywać frustrację i żal do świata.

Stulejarz staje się wtedy betabankomatem – zapewnia Stacy wyżywienie i utrzymanie w zamian za seks. W społeczności przegrywów powstało nawet przysłowie *alpha fucks, beta bucks.* W wolnym tłumaczeniu: alfa szmaci, beta płaci.

Kult bohatERa

Nieoficjalnym przywódcą rewolucji inceli w USA stał się Elliot Rodger. Wokół jego postaci wyrósł niebywały kult. Z artykułu dostępnego na stronie Nienawiść.pl dowiemy się, że forumowicze w USA i w Polsce obchodzą rocznicę masakry w Isla Vista. „Niektórzy nawet pieką z tej okazji torty", przeczytamy. Po angielsku słowo bohater incele zapisują hERo – od inicjałów mordercy. Na zagranicznych forach można znaleźć fotomontaże przedstawiające Rodgera jako świętego.

Nienawiść.pl donosi również o modlitwie do patrona, przemycanej w internetowym środowisku inceli. „Elliocie święty, któryś jest w niebie. Święć się imię twoje. Zemsta nadejdzie. Masakra nadejdzie tako w niebie, jak i na ziemi. Gniewu naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze wymuszone prawictwo, jak my nie odpuszczamy naszym winowajcom. Bo twoje jest królestwo i chwała na wieki". Incele uważają czyn Rodgera za słuszny i godny naśladowania. Słabszym użytkownikom, którzy planują samobójstwo, doradzają: „Go ER!". Czyli idź w ślady Elliota Rodgera.

Bo to złe kobiety są

W Polsce przypomniano sobie o incelach przy okazji „Projektu Klaudiusz". Jeden z użytkowników Wykopu, janusz_pol, założył na Tinderze fałszywe konto. Wrzucił na profil zdjęcia atrakcyjnego modela i w ciągu kilku dni udało mu się zestawić ponad 600 par. Panie chętnie umawiały się na spotkanie z Klaudiuszem mimo jego chamskich odzywek. Według wykopowiczów eksperyment wykazał, że kobiety są próżne i fałszywe. A jeśli którakolwiek twierdzi, że liczy się dla niej dobroć serca, to zwyczajnie kłamie.

Psycholog i kulturoznawca Przemysław Staroń w rozmowie z naTemat.pl stwierdził, że postrzeganie wszystkich kobiet jako winnych jest nieuprawnioną generalizacją. „Nie da się przykleić jednej etykietki do tak wielu przedstawicieli tej samej grupy i pozostać wiarygodnym i rzetelnym w swoim osądzie. Zamiast dokonywania takich eksperymentów i nakręcania spirali frustracji i nienawiści [incel] powinien skierować swoje kroki na psychoterapię", postuluje Staroń.

FEMINIZM WROGIEM

Ruch praw mężczyzn – *men's rights movement* – powstał jako reakcja na rozwój feminizmu. Jego działacze walczą o prawa mężczyzn w kwestiach związanych z obrzezaniem, porozwodową opieką nad dzieckiem, aborcją i fałszywymi oskarżeniami o gwałty. Wraz z rozwojem internetu grupa aktywistów poszerzyła swoje wpływy, a sieciowa zbieranina blogów, grup facebookowych i wszelkich forów o tematyce MRM została ochrzczona mianem *manosphere* (zbitka słów *man* – mężczyzna i *sphere* – kula). Częścią tej męskiej sfery są właśnie incele.

Pod szyldem MRM krystalizują się poglądy antyfeministyczne. Aktywiści uważają, że feminizm się radykalizuje, a ofiarą ruchu na rzecz praw kobiet padają mężczyźni. Według MRM płeć męska jest represjonowana i utraciła swoje prawa. Na stronach internetowych różnych odłamów MRM spotkamy się z obraźliwymi komentarzami na temat kobiet w związku z ich domniemaną wysoką pozycją społeczną i dominacją. Mizoginia jest na porządku dziennym.

eprasa.pl 3127a0922e

W internecie rozgorzała dyskusja na temat projektu wykopowicza. Mężczyźni bronili autora, twierdząc, że w końcu ujawniono prawdziwe oblicze kobiet. Kobiety oburzały się, zwracając uwagę na hipokryzję facetów, którzy wybierają na partnerki tylko te ładne, młode i szczupłe. Wśród zarzutów królował jeden: „Projekt Klaudiusz" nie ma nic wspólnego z rzetelnym eksperymentem naukowym. Według internautów badania janusza_pola były od początku prowadzone pod tezę.

Rodzimi incele winią za swój problem politykę migracyjną rządu. Według statystyk opublikowanych na stronie migracje.gov.pl (stan na 12 stycznia 2019 r.) wśród cudzoziemców mających ważne dokumenty mężczyźni stanowią 61%. Dysproporcja okazuje się jeszcze większa w przypadku przybyszów z Indii – tylko jedną czwartą imigrantów stanowią kobiety.

W dodatku na znacznym obszarze Polski dużo więcej jest młodych mężczyzn niż młodych kobiet. Najgorzej sytuacja wygląda w małych miastach i na wsi. Według wykopowiczów to oznacza zwiększoną konkurencję na „rynku matrymonialnym" oraz rosnące zagrożenie stanem kawalerskim i bezdzietnością. „Sprawa jest naprawdę poważna i ważą się w tej chwili losy setek tysięcy polskich mężczyzn", twierdzi użytkownik suwerennarodu0578.

Co mogą zrobić samotni polscy mężczyźni? Poszukać wolnych kobiet za granicą. Użytkownik demographic_balance wśród sprzyjających kierunków wymienia Irlandię, Izrael, Filipiny i Wenezuelę. Filipinki są katoliczkami, więc odpada bariera kulturowa; w Izraelu od kilkudziesięciu lat panuje wyż demograficzny, co ułatwia znalezienie partnerki. To plusy, którymi demographic_balance zachęca Polaków do poszukiwania miłości poza krajem. „Ogromne zasoby kobiet znajdują się w Ameryce Łacińskiej. (…) Europejczycy są postrzegani jako bardzo atrakcyjni. Nasze polskie jasne oczy, włosy i cera mogą zrobić spore wrażenie na Latynoskach. Może warto spróbować poznać właśnie teraz jakąś Wenezuelkę i pomóc jej znaleźć lepsze życie w Europie, przy okazji znajdując sobie żonę?", zadaje pytanie, które wielu inceli zapewne potraktuje jako odpowiedź.

„Incele to śmieci" – z takimi hasłami kobiety protestują przeciw antyfeminizmowi inceli.

Projekt Klaudiusz miał udowodnić, jak łatwe są kobiety.

Gdzie tkwi problem?

Część mężczyzn zniewolonych przymusowym celibatem wyznaje wartości neoliberalne czy nawet libertariańskie – przykładem może być ich skłonność do utowarowienia seksu. Nurty te promują kult jednostki i zwyciężania, a ci, którzy przegrywają, sami są sobie winni. Niestety, incele to często osoby, którym system odebrał możliwość sukcesu ekonomicznego i uczynił ich nieatrakcyjnymi w neoliberalnym świecie, gdzie wygrywa status materialny.

Co zrobić, by pomóc incelom? Zdaniem Jordana Petersona, kanadyjskiego profesora psychologii, przez wielu uważanego za adwokata inceli, lekarstwem jest egzekwowana monogamia. Bez jej wymuszania kobiety będą się wiązać tylko z mężczyznami o wysokim statusie społecznym, twierdzi profesor. Egzekwowanie miałoby polegać na kulturowej promocji monogamicznego typu związku oraz manipulacji zachętami.

Amerykańska antropolożka i psycholożka Helen Fisher dowodzi w publikacjach, że monogamia jest bonusem dla mężczyzn. Dzięki temu płeć męska ma gwarancję posiadania własnego potomstwa. I choć monogamia jest korzystna również dla kobiet, dr Dorota Chmielewska-Łuczak z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego zwraca uwagę na współczesną zmianę oblicza kobiecej seksualności. Przez wieki uważano monogamiczność płci żeńskiej za stan naturalny. Prężnie rozwijający się rynek aplikacji randkowych sprawił jednak, że monogamiczność kobiet została podana w wątpliwość.

Niektórzy naukowcy uważają, że należy podjąć działania systemowe. Niektórzy receptę widzą w seks-robotach i legalizacji prostytucji, ale trudno przypuszczać, że takie propozycje wystarczą. Incele w większości brzydzą się prostytucją. A roboty nie rozwiążą problemu. – Roboty do towarzystwa to tylko doraźne rozwiązanie. Takie urządzenia nie są obiektami autonomicznymi. Mamy nad nimi pełną kontrolę, spełniają wyłącznie nasze potrzeby. Długotrwałe korzystanie z nich może utrudnić przejście do relacji z osobą niezależną od naszej woli. Ze strachu przed brakiem całkowitego wpływu tacy ludzie będą się wycofywać z rzeczywistych kontaktów, w rezultacie pogłębiając swój problem – mówi dr Chmielewska-Łuczak.

FOT. REX/EAST NEWS, WWW.REDDIT.COM/R/INCELSELFIES, WWW.INSTAGRAM.COM, WYKOP.PL

eprasa.pl 3127a0922e

W 2018 r. w USA powstała strona randkowa Date An Incel, która za swoją misję uznała walkę z rozwojem środowiska inceli. Kobiety wychodzą naprzeciw samotnym, niechcianym mężczyznom, zakładając konta i umawiając się na randki. Aplikacja reklamuje się słowami: „Dopasowujemy interesy obojga użytkowników, aby stworzyć romantyczną relację, która ze swej natury zmniejszy ryzyko nękające społeczeństwo". Po premierze podniosły się głosy sprzeciwu, że twórcy zachęcają do seksu z incelami w imię dobra społeczeństwa, by zapobiec kolejnym masowym morderstwom. Pojawiły się pytania, po co umawiać się z incelem, skoro on nienawidzi kobiet. Najpoważniejsze zarzuty dotyczyły niemoralnej praktyki zarabiania na problemie społecznym.

Incele uważają seks za ich święte prawo.

Praca u podstaw

Dorota Chmielewska-Łuczak podkreśla rolę edukacji. Ważne, by wyposażyć młodych chłopców w kompetencje społeczne. Nacisk należy postawić na komunikację niewerbalną, np. na zapomnianą sztukę flirtowania. Flirt głównie opiera się na gestach czy spojrzeniach. Jest bezpieczną strefą, z której w każdej chwili można się wycofać. Partnerzy wysyłają sygnały, reagują na nie i co jakiś czas sprawdzają, czy nie doszło do nieporozumienia. – Nauka rozmowy bez słów jest niezwykle istotna w procesie budowania relacji społecznych. Brak takiej umiejętności może doprowadzić do niezrozumienia czy nawet odrzucenia. A taka wizja skutecznie zniechęca do nawiązywania znajomości i prowadzi do wycofywania się ze świata realnego. W konsekwencji w młodym człowieku będzie wzrastał poziom frustracji, który może go doprowadzić do stanu skrajnej nienawiści – tłumaczy psycholożka.

Istotne jest również, by uczyć chłopców, jak się przyjaźnić z dziewczętami. Inny wygląd, zainteresowania czy potrzeby to nie powód, by odrzucać potencjalnego kandydata na przyjaciela. Im wcześniej chłopcy zaakceptują różnice i nauczą się, w jaki sposób funkcjonują dziewczynki, tym lepiej. W przyszłości mężczyźnie będzie łatwiej zrozumieć kobiety i ich potrzeby. Pomocą w rozwiązaniu problemu mogłyby służyć lekcje edukacji seksualnej. Dorota Chmielewska-Łuczak uważa, że przykład należy brać z Holendrów i Czechów: – W Holandii edukacja seksualna uwzględnia różnorodność. Poglądy różnych środowisk traktuje się na równi i przedstawia w jednakowym świetle, by żadne dziecko nie czuło się gorsze czy inne. Niezwykłą rolę odgrywają konsultacje społeczne. Zarówno Holendrzy, jak i Czesi prowadzą edukację seksualną w porozumieniu z rodzicami, a nie przeciwko nim. Dzięki temu każdy obywatel ma wpływ na świadomość swojego dziecka.

Dobrze poprowadzona edukacja seksualna umożliwiłaby młodym ludziom zrozumienie swoich potrzeb, a także potrzeb innych. Nauka asertywności i podkreślanie roli autonomiczności każdego człowieka powinny być priorytetowymi zadaniami edukatorów. A w świetle poglądów inceli konieczne zdaje się też wyjaśnianie, czym tak naprawdę jest seks.

Agata Olejarczyk

eprasa.pl 3127a0922e

JAZYDKI TO BOJOWNICZKI

Moja walka o prawa kobiet rozpoczęła się w chwili narodzin – w wielu krajach bycie dziewczynką jest wielkim wyzwaniem

CÓRKI SŁOŃCA

GOLSHIFTEH FARAHANI
– aktorka irańska

Rozmawia Joanna Orzechowska

Czuje się pani równie dobrze w wielkich produkcjach amerykańskich w stylu „Piratów z Karaibów", jak i w filmach autorskich typu „Paterson" Jima Jarmuscha, w lekkich komediach i w teatrze. Skąd taka różnorodność?

– Sama zadaję sobie czasami to pytanie. Powiedzmy, że wszystko wydaje mi się możliwe i że uwielbiam podejmować nowe wyzwania. Jedynym kryterium jest jakość projektów oraz to, czy wnoszą coś znaczącego w moje życie. Oczywiście są aktorzy, którzy wybrali określoną drogę i konsekwentnie nią podążają – czuję się im bliska, ale w moim przypadku chodzi bardziej o wierność sobie. Lubię eksperymentować – role są dla mnie rodzajem testu, za pomocą którego sprawdzam, do czego jestem zdolna, a do czego nie.

Miała pani być pianistką, nawet została pani przyjęta do słynnego konserwatorium w Wiedniu. Ale powiedziała pani „nie".

– Zaczęłam grać na pianinie w wieku pięciu lat. Rodzice byli zachwyceni, widzieli we mnie przyszłą gwiazdę filharmonii. Jako nastolatka odmówiłam jednak wyjazdu do wiedeńskiego konserwatorium; kiedy miałam 14 lat, pojawiło się w moim życiu kino. Po pierwszej roli w „Gruszy" Dariusha Mehrjuiego poczułam, że aktorstwo jest moim światem. W kinie żyję wieloma życiami naraz i wciąż się rozwijam.

Pochodzi pani z artystycznej rodziny. Czy rodzice popierali pani zawodowe i życiowe wybory?

– W mojej rodzinie kulturę darzono zawsze najwyższym szacunkiem. Ojciec jest pisarzem, reżyserem i aktorem, mama studiowała na Akademii Sztuk Pięknych w Strasburgu. Rodzice wrócili do Iranu po upadku reżimu szacha – mieli nadzieję, że Iran się zmieni, otworzy na świat. Pomylili się. Nie mogę powiedzieć, żeby byli specjalnie zachwyceni moim wyborem – myślę, że bardzo o mnie się niepokoili.

Rodzice wrócili do Iranu, ale pani musiała wyemigrować. Pani rola w amerykańskiej superprodukcji w reżyserii Ridleya Scotta „W sieci kłamstw" wywołała skandal. Co właściwie się stało?

– Nie zapominajmy, że Ridley Scott jest Amerykaninem. Skandal obyczajowy wywołał jednak nie tylko sam film, ale również to, że na premierze pojawiłam się z odkrytą głową. Kiedy wróciłam do Iranu, władze skonfiskowały mój paszport – byłam podejrzana o kontakty z CIA. Nie mogłam się ruszyć z kraju i niewiele brakowało, żebym straciła rolę w „Co wiesz o Elly?" Asghara Farhadiego, który wykazał się ogromną odwagą, proponując mi kontrakt. Kiedy pojawiła się możliwość wyjazdu, postanowiłam z niej skorzystać, w przeciwnym razie nie mogłabym się rozwijać i pracować.

Czy czas leczy rany?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nigdy nie chciałam opuszczać Iranu – to kraj, z którym łączą mnie silne więzi. Nie zapomniałam niczego, nawet najdrobniejszych szczegółów z mojego dzieciństwa. W Iranie żyją moi bliscy – nie mogę sobie wybaczyć, że nie uczestniczę w ich radościach i smutkach. Nie mogłam jednak postąpić inaczej, trochę jak zagrana przeze mnie w teatrze Anna Karenina, która stała się więźniem swojego losu. Po wyjeździe wpadłam w depresję. Pierwsze cztery lata były dla mnie bardzo trudne, ale z czasem udało mi się przekuć rozpacz w siłę.

eprasa.pl 3127a0922e

To wybór, przed którym stają wszyscy uchodźcy: jeśli pragną żyć, muszą stworzyć sobie nową tożsamość, choćby opartą w dużej mierze na grze pozorów. Ocaliło mnie aktorstwo, ale i ja nie jestem już tą samą osobą, którą byłam przed emigracją. Próbuję jednak posługiwać się moim bólem i żalem, budując role.

Często grywa pani kobiety, które szukają siebie, ewoluują, aby osiągnąć emocjonalną i życiową niezależność.

– To prawda – moje bohaterki często starają się wyzwolić spod presji rodziny, społeczeństwa i własnych ograniczeń. Decydują się żyć pełnią życia, a w każdym razie próbują zaistnieć. Pod tym względem są mi bardzo bliskie – uważam, że należy pozwolić sobie na wyzwania, próbować przezwyciężyć paraliżujący nas strach.

Po debiucie teatralnym w „Annie Kareninie" w Paryżu zagrała pani w kilku filmach. Czy wytężona praca to rodzaj samoobrony?

– Grając, czuję się wolna. Dlatego pracuję właściwie bez przerwy – praca pozwala mi zapominać o wszystkim, ale kiedy po zdjęciach wracam do hotelu, znów towarzyszy mi poczucie ogromnej samotności. Dlatego w wolnych chwilach podróżuję. Czasami jestem bardzo zmęczona, ale zawsze udaje mi się podnieść. Mam nadzieję, że w końcu uda mi się osiągnąć równowagę – jestem na dobrej drodze.

Czy aktorstwo może być rodzajem psychoterapii?

– Na pewno. Zawsze staram się czerpać z własnych przeżyć. Moje bohaterki walczą z wewnętrznymi demonami, aby osiągnąć spokój. To także mój przypadek. Oczywiście nie mówię tu o rolach komediowych – te z kolei wymagają ode mnie wytężonej pracy, ponieważ humor i śmiech odbijają się ode mnie, jakbym nosiła niewidzialną zbroję. Choć bardzo lubię burleskę, lubię udawać klauna, nie jest to moja prawdziwa natura. Potrzebuję czasu i odpowiedniej atmosfery, aby poczuć się swobodnie.

Po wyjeździe z Iranu praca pozwoliła pani odzyskać poczucie bezpieczeństwa?

– Kino nie daje poczucia bezpieczeństwa, nie jest domem. Nie mogłam w nim się schronić, pozostałam sama z moimi traumami i dzięki kolejnym filmom dokonywałam emocjonalnej analizy samej siebie. Jeśli nie ma się domu, jedyną wartością, która może dać nam schronienie, jest miłość. Miałam dużo szczęścia, bo od samego początku otaczali mnie życzliwi ludzie, ich przyjaźń nie mogła jednak zastąpić uczucia najbliższych. Przyjechałam do Paryża przed Bożym Narodzeniem, które nie ma nic wspólnego z irańską tradycją. U nas Nouruz zaczyna się 21 marca i trwa 13 dni. Spędza się je w wielopokoleniowych rodzinach. To święta pełne radości i ciepła. Bardzo mi ich brakuje. Być może dlatego długo nie mogłam nigdzie osiąść. Nowego domu szukałam przez całe osiem lat.

Podobno znalazła go pani na Ibizie?

– To prawda – po raz pierwszy od 10 lat lubię wracać do siebie. Oczywiście istnieją również inne miejsca, w których mogłabym mieszkać – Australia czy Brazylia, ale Ibiza wydała mi się najlepszym wyborem. Nie osiadłam tu jednak do końca – ze względów osobistych często podróżuję do Porto, które bardzo lubię, jak całą Portugalię. Przez kilka lat mieszkałam w Paryżu, ale odczuwam potrzebę życia w harmonii z naturą i kontaktu z osobami kierującymi się wartościami bohemy lat 60. Ibiza jest pod tym względem prawdziwym rajem na ziemi. Ale Paryż wciąż mnie fascynuje. Niestety, wciąż powracano tam do kwestii mojego pochodzenia. W pewnej chwili poczułam, że się duszę.

Czy to rodzaj rasizmu?

– We Francji wciąż przypomina się imigrantom, że są inni – tropi się ślady obcego akcentu, wypytuje o korzenie. Szłam po bagietkę, a sprzedawczyni wypytywała, skąd pochodzę. To zjawisko istnieje na całym Zachodzie, ale nad Sekwaną odczuwa się je w sposób wyjątkowy. Dlatego dużo lepiej się czuję w miejscach, które nie należą do nikogo, gdzie wszyscy są skądś, jak w Nowym Jorku. Nigdy nie spotykałam się jednak z nieprzyjaznymi spojrzeniami lub odrzuceniem, które stało się udziałem imigrantów z Syrii czy Afryki. Dlatego doskonale rozumiem ich rozpacz i gniew.

Czy czuje się pani reprezentantką irańskich kobiet?

– Nie mam tego typu ambicji ani poczucia misji, zdaję sobie jednak sprawę z tego, że w moim kraju wszyscy uważnie mi się przyglądają. Dlatego czuję się jeszcze bardziej odpowiedzialna za własne wybory – każdy film, który kręcę, nabiera od razu wymiaru politycznego. To duży ciężar, ale i wielka radość – jestem szczęśliwa, że mogę przysłużyć się choć trochę moim irańskim siostrom. Zawsze czułam się buntowniczką. Moja walka o prawa kobiet rozpoczęła się w chwili moich narodzin – w wielu krajach bycie dziewczynką jest wielkim wyzwaniem. To status kobiety, której narzuca się określone normy społeczne, zmusił mnie do emigracji.

Na ostatnim festiwalu w Cannes prezentowała pani „Córki słońca" francuskiej reżyserki Evy Husson. To wzruszająca opowieść o jazydkach, które walczą przeciwko Państwu Islamskiemu.

– To bardzo ważny film, chociaż spotkał się w Cannes z mieszanym przyjęciem. Jazydki, zredukowane przez oprawców z Państwa Islamskiego do roli seksualnych niewolnic, nie są tu jednoznacznie przedstawione w roli ofiar. Właśnie to spodobało mi się w scenariuszu – na Zachodzie uwielbia się patrzeć na imigrantów jak na ofiary. „Córki słońca" zasługują na więcej niż taka etykietka i pobłażliwa litość. To bojowniczki, które nie cofają się przed agresorami, odzyskując tym samym godność.

Na targach niewolnic najdroższe były dziewięciolatki – płacono za nie po 200 dol.

Znała pani ich tragiczną historię?

– Interesowałam się nią od dawna, znałam nawet obowiązujące w Syrii ceny za kobiety. Na targach niewolnic najdroższe były dziewięcioletnie dziewczynki – płacono za nie po 200 dol. Tego nie zobaczymy w filmie, ale tak wyglądała i zapewne wygląda rzeczywistość.

Myśli pani o powrocie do Iranu?

– Marzę o tym dniami i nocami. Emigracja jest jak amputacja – udaje nam się żyć bez amputowanej części ciała, ale albo nigdy nie potrafimy zaadaptować się do nowej sytuacji, albo umiemy ją wykorzystać, by iść dalej. Zło zostało jednak wyrządzone i nigdy nie uda się go naprawić. Trzeba nauczyć się żyć na nowo. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3127a0922e

EMERYTURA DLA TENORA

Ogromne gaże, choćby te za sylwestra, a potem skromna emerytura. Artyści i twórcy podjęli w Polsce walkę o pieniądze na starość

Maryli Rodowicz wyliczono 1,4 tys. zł emerytury. Gwiazda pewnie sobie poradzi, ale co z mniej popularnymi artystami?

Dorota Bartosewicz

Zaraz po nowym roku zaczynają utyskiwać jeden przez drugiego, jak osoby bez pracy, wieloletni bezrobotni. Kulą się w sobie i za Romualdem Lipką przyznają: „Dostaję niecałe 500 zł emerytury, więc muszę grać". Różnice między nimi są niewielkie – wokalista Budki Suflera Krzysztof Cugowski wyznaje, że ma emeryturę w wysokości 570 zł, piosenkarz Andrzej Rosiewicz – 590 zł, a nauczycielka śpiewu, jurorka „Idola" i „Must be the music" Elżbieta Zapendowska – 700 zł. Choć będą i tacy, którzy w tym roku mogą liczyć na więcej, np. Barbara Sienkiewicz – 1,2 tys. zł, Maryla Rodowicz – 1,4 tys. zł, Jan Nowicki – 1,5 tys. zł, Beata Tyszkiewicz „aż" 1,7 tys. zł. Stawki są „nieobliczalnie głodowe", podkreślają przy tym. Jednocześnie pozują na ściankach w markowych ciuchach, odwiedzają drogie galerie, rozbijają się luksusowymi wozami, co też skrzętnie rejestrują paparazzi. I zwykły Kowalski zachodzi w głowę: jak to w końcu z tymi emeryturami dla artystów jest.

GOLENIE POLA

„Oszuści", „darmozjady", „na kasie z ZUS nigdy im nie zależało", „poradzą sobie, skoro za koncert, i to jeden, do kieszeni wpada im nawet 120 tys. zł". Uwagi zgłaszane w ostatnim czasie na temat emerytur artystów pełne są sprzeczności. Zresztą trudno temu się dziwić, bo i sami artyści są podzieleni.

„Dostałem pisemko, ZUS po 37 latach płacenia wymaganych stawek gwarantuje mi 386 zł emerytury. Nie mogłem w to uwierzyć. Moja żona się śmiała, że nawet łódki nie zatankuję za te pieniądze, nie mówiąc już o samochodzie", żartował w rozmowach z dziennikarzami lider Bayer Full Sławomir Świerzyński. Zenek Martyniuk przyznawał z kolei otwarcie: „Nie dostaję żadnych pisemek. Tak naprawdę nie interesowałem się tym. Co miesiąc opłacam składkę w wysokości 4 tys. zł".

Wszyscy zgadzają się natomiast co do jednego – emerytury artystów nie są wysokie. „To biedaemerytury", pada najczęściej. Dlaczego? – Bo system nie uwzględnia specyfiki ich zawodu – tłumaczy prof. Dorota Ilczuk, ekonomistka, teoretyczka zarządzania w kulturze i przemysłach kreatywnych oraz wykładowczyni Uniwersytetu SWPS. – Z reguły artyści i twórcy nie są zatrudniani na etacie. Pracują jako wolni strzelcy, najczęściej na umowach o dzieło, co oznacza, że składki na ubezpieczenie emerytalne nie są wtedy odprowadzane. Często mają przerwy w zatrudnieniu i czekają na kolejne zlecenia. Albo pracują pół roku nad projektem, a rozliczani są dopiero po jego zakończeniu. Czytaj: ich dochody są nieregularne.

Nierzadko ich okres aktywności zawodowej jest stosunkowo krótki, jak w wypadku tancerzy. A to od niego zależy wysokość świadczenia emerytalnego.

– Te świadczenia siłą rzeczy muszą być niskie – potwierdza dr Mikołaj Iwański, wykładowca Akademii Sztuki w Szczecinie. – Także dlatego, że ustawa o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecz-

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 3127a0922e

nych traktuje zarówno artystów, jak i twórców jako osoby wykonujące pozarolniczą działalność gospodarczą. A to oznacza, że powinni samodzielnie odprowadzać składki od swojego wynagrodzenia. I to co miesiąc, regularnie. Tymczasem artyście bliżej do rolnika, który nie jest w stanie wyskakiwać z kasy co 30 dni, skoro pole goli raz w roku. W tej sytuacji trudno się dziwić, że wiele osób uważa, że artyści mają niskie emerytury, bo za mało grali/malowali/koncertowali/wystawiali. Albo nie są wystarczająco zdolni. Jednym słowem, że wina leży po ich stronie. Nic bardziej mylnego! – zastrzega przy tym.

BIAŁA KSIĘGA

Rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar pisze: „Obecnie obowiązujące zasady zupełnie nie przystają do specyfiki prowadzonej przez nich działalności i w wielu przypadkach może to prowadzić do wykluczenia ich z dostępu do świadczeń z systemu ubezpieczenia społecznego, w tym świadczeń emerytalno-rentowych".

Dobrze pamięta historię wdowy po reżyserze i scenarzyście filmów dokumentalnych oraz wydawcy i producencie programów telewizyjnych. Kiedy rodzina znalazła się w trudnej sytuacji, kobieta wystąpiła o rentę rodzinną dla córek, które nadal wymagały jej opieki. Nic z tego – ZUS odmówił wypłaty środków, bo nie było „wymaganych pięciu lat okresów składkowych i nieskładkowych ojca dzieci w ostatnim dziesięcioleciu przed jego śmiercią. Dodatkowo, z uwagi na swój wiek, nie spełniał on warunków do emerytury". Konieczna okazała się interwencja i prośba do prezesa rady ministrów o przyznanie renty specjalnej.

Przepisy mówią jasno: „Aby uzyskać prawo do emerytury twórczej lub artystycznej, należy wykazać się minimum 15-letnim okresem (składkowym) działalności twórczej lub artystycznej. A okres nieskładkowy nie może przekroczyć jednej trzeciej okresów składkowych".

– Wysokie zarobki, oszukiwanie ZUS i bajońskie kwoty z tantiem – nic z tych rzeczy. Wbrew pozorom większość artystów i twórców nie może opłacić składki, bo jest ona dla nich zbyt wysoka – dopowiada prof. Dorota Ilczuk. Z zakończonych przez nią w grudniu badań „Szacowanie liczebności artystów i twórców w Polsce" – to pierwsze w kraju tego typu szacunki! – wynika, że średni dochód artystów wynosi 3,4 tys. zł netto miesięcznie. Przy czym zarobki te są zróżnicowane nie tylko ze względu na branżę, ale i płeć. – Kobiety zarabiają mniej niż mężczyźni, średnio aż o 1,1 tys. zł, choć w żaden sposób nie jest to powiązane z doświadczeniem czy wykształceniem – podkreśla.

Problemy emerytalne wynikające ze specyfiki pracy to jedno, świadomość społeczna, z którą też trzeba

Wielu twórców, także tych, którzy już są w encyklopedii, pozostaje poza systemem ubezpieczeń emerytalnych i zdrowotnych.

się zderzyć – drugie. – Jeszcze niedawno urzędnicy ministra Zdrojewskiego mówili, że „artysta to stan ducha, niekoniecznie zawód". Tymczasem to zajęcie trudne, wymagające dużego nakładu pracy własnej i lat nauki, a jednocześnie niedające żadnej gwarancji rekompensaty finansowej, zatrudnienia czy godnego życia – zastrzega ekspertka z Uniwersytetu SWPS. – To kolejny już dowód, że w polityce kulturalnej państwa trzeba jak najszybciej znaleźć miejsce na system wsparcia artystów.

Za granicą działa on z powodzeniem od lat. W Europie Wschodniej i na Półwyspie Iberyjskim są to szczątkowe rozwiązania – pozostałości odpowiednio po latach 80. i pewnej formie fordyzmu; Polska nie stanowi tu wyjątku. Ale już kraje Europy Zachodniej mają odrębne systemy finansowania, uzupełniane przez państwo i przedsiębiorców korzystających z pracy artystów i twórców. Na przykład w Niemczech przez pierwsze trzy lata opłaty pokrywa system ubezpieczeń społecznych, niezależnie od przychodów. Po tym czasie artyści płacą połowę należnych składek – resztę uzupełnia fundusz zasilany przez podmioty wykorzystujące komercyjnie ich pracę. W Austrii stworzono specjalny fundusz emerytalny, w którym całkowite obciążenie ponoszone przez artystów sięga ok. 22% przychodu. Podobnie jest w Belgii, z tą różnicą, że artysta opłaca składki na takiej samej zasadzie, na jakiej odprowadzają je pracownicy etatowi (wykorzystano tu mechanizm swoistej symulacji zatrudnienia). Najlepiej jest jednak we Francji, gdzie obowiązuje tzw. ubezpieczenie postojowe. Twórcy, czekając na kolejną pracę, opłacają mniejsze składki; korzystają tym samym cały czas z ochrony ubezpieczeniowej.

KASZEL ARTYSTY

A w Polsce? Czerwiec 2012 r. „Artyści nie są biznesmenami, nie tworzą z myślą o zysku. Niektóre dzieła, często te najważniejsze dla społeczeństwa, nawet nie nadają się do sprzedaży", przekonuje dr Mikołaj Iwański, od 2012 r. także członek Obywatelskiego Forum Sztuki Współczesnej. „Wielu twórców, także tych, którzy już weszli na karty encyklopedii, pozostaje poza systemem ubezpieczeń emerytalnych i zdrowotnych. Żądamy rozpoczęcia prac nad stworzeniem takiego systemu, który nie wyrzucałby artystów poza nawias społeczeństwa!", grzmi przy tym.

Strajk artystów, w którym bierze udział, wywołuje ogólnopolską dyskusję i pomaga w nagłośnieniu tematu. Artysta to nie celebryta (granica nie jest jednak szczelna) i nie może liczyć na wysokie stawki, pisze

Artyście bliżej do rolnika, który nie jest w stanie wyskakiwać z kasy co 30 dni, skoro pole goli raz w roku.

Iwański w głośnym tekście „Kaszel artysty". Forum ma dwa postulaty. Oprócz rozpoczęcia prac nad regulacjami umożliwiającymi artystom niezatrudnionym na etacie dostęp do ubezpieczeń także „odstąpienie od rządowych planów likwidacji 50-procentowego ryczałtowego odliczenia kosztów uzysku w dotychczasowej formie (plan Ministerstwa Finansów zakładał nałożenie rocznego limitu na tak rozliczony przychód)". Kończy się na podpisaniu porozumienia, które gwarantuje skromne kwoty za udział w wystawie zbiorowej – 300-800 zł,

eprasa.pl 3127a0922e

przygotowanie wystawy projektowej – 1,2-1,8 tys. zł czy np. wystawy indywidualnej – 2,5-3,6 tys. zł.

Przełom przynosi dopiero koniec czerwca 2018 r. W warszawskim Teatrze Polskim odbywa się ostatnie spotkanie z cyklu Ogólnopolska Konferencja Kultury, które ma zdefiniować problemy poszczególnych branż artystycznych. Przyjechali na nie ludzie od roboty koncepcyjnej – opracowywania definicji (określenie twórca jest zbyt ogólne, artysta – wartościujące; proponują: artysta zawodowy) czy choćby zasad nadawania uprawnień freelancerom. To dzięki nim środowisko, które wcześniej w polskim prawie ubezpieczeń społecznych na próżno szukało takich pojęć jak wykonawca, dzieło, wykonanie artystyczne, może teraz liczyć na specjalną ustawę. Jej zapisy mają pozwolić na określenie statusu artysty: twórcy i wykonawcy, oraz stworzenie osobnej kategorii w systemie ubezpieczeń zdrowotnych i emerytalnych. W praktyce artysta miałby płacić niski ZUS, czyli 660 zł, co gwarantowałoby mu minimalne ubezpieczenia społeczne i zdrowotne. 70% tej kwoty pochodziłoby ze specjalnego funduszu. Projekt gotowy jest tuż przed świętami.

Ci, którzy się z nim zapoznają, miny mają nietęgie, bo – jak się okazuje – o statusie artysty decydować będzie specjalna komisja przy resorcie kultury, która weźmie pod uwagę m.in. dorobek artysty; konieczna będzie jego pozytywna ocena.

– To kanał, bo wchodzi się w spory, z których nie da się wyjść z twarzą. Gdyby artystów wpuszczać do systemu na podstawie umów z roku: zarobiłem tyle i tyle z tytułu przeniesienia praw autorskich, to sprawa jest czysta. Nie trzeba wchodzić w materię. A tak będą decydować, czy X jest artystą, na podstawie kompleksów, traum życiowych i niespełnionych ambicji – podnoszą jedni. Drudzy mówią: – Niech przyjdzie, dajmy na to, jakiś performer i będzie oceniany przez dziadów, którzy robią wystawy o katastrofie smoleńskiej. Nie ma szans! Albo np. autor instalacji i wideoinstalacji Zbigniew Libera. On też się nie załapie na ubezpieczenie. Brak kontaktu z ziemią, projekt mocno niespójny.

Wbrew pozorom większość artystów i twórców nie może opłacić składki, bo jest dla nich zbyt wysoka.

W podobnym tonie wypowiada się Jacek Dehnel: „Bardzo łatwo sobie wyobrazić Witolda Gombrowicza, który staje przed komisją złożoną z dwojga prozaików, którzy ostatnią książkę wydali w 1985 r., np. autorów siedmiu tomów aforyzmów. I oni orzekają, że jego pisanina jest bezwartościowa… Dodać należy, że w obliczu zmian społeczno-politycznych status artysty może być użyty do dyscyplinowania środowiska w inny sposób, w oderwaniu od samego systemu ubezpieczeń”.

BIEDACY Z PIENIĘDZMI

– To najbardziej jałowy proces konsultacyjny, jaki tylko można sobie wyobrazić – wprost odpowiada jeden z twórców na pytanie, dlaczego nadal w Polsce nie ma systemu ubezpieczeń dla tej grupy zawodowej. Łącznie z architektami obejmuje ona ok. 60 tys. osób. Zdaniem branży jednak to ok. 40 tys. osób, czyli tyle samo, ile jest u nas księży. – Rozmowy polityków z artystami to koszmar. Artyści opowiadają anegdotki biograficzne i pajacują, po części dlatego, że wydaje im się, że cały czas są na scenie. Zapominają, o co tak naprawdę chodzi. Z kolei politycy uwielbiają tłumaczyć, dlaczego dane rozwiązanie nie jest w ogóle możliwe – dodaje.

Na razie więc zdaniem przedstawicieli środowiska wyjścia są dwa, oba złe. Albo wniosek o objęcie ubezpieczeniem społecznym z ZUS – trzeba najpierw uzyskać pozytywną decyzję Komisji ds. Zaopatrzenia Emerytalnego Twórców, która działa przy ministrze kultury i dziedzictwa narodowego („To martwa historia, potraktujmy ją jak anegdotę”), albo założenie działalności gospodarczej („Rozwiązanie tylko dla części. Muzycy dadzą radę, bo grają regularnie koncerty. Filmowcy też, bo pracują na większych kwotach. Ale już dla aktorów czy performerów to duży problem”).

– Honoraria są niskie, emerytur nie ma, to co? Zostaje jeszcze garnuszek państwa? – nie daję za wygraną.

– Gdzie tam! Większość artystów i twórców współpracuje z instytucjami państwowymi. Przecież bez nich te placówki nie mogłyby istnieć, więc muszą tam godnie zarabiać. A to jeszcze raz pokazuje, że sztuka tak czy siak musi być finansowana ze środków publicznych. Jak bezpieczeństwo czy służba zdrowia. Przecież nie da się ich zapewnić we własnym zakresie – zastrzega wykładowca Akademii Sztuki w Szczecinie.

– A innych pomysłów na emeryturę już nie ma? Albo ułatwienia w płaceniu podatków?

– A skąd, są! – zaprzecza dr Iwański. – Proponowałbym choćby powrót do dedykowanych kont w NBP, popularnych jeszcze w latach 80. To było rewelacyjne rozwiązanie. Reżyser robił film, wynagrodzenie spływało do Narodowego Banku Polskiego i było opodatkowywane dopiero wtedy, kiedy on te pieniądze wypłacał. To oznaczało, że nie wpadał w jednym roku w najwyższy próg podatkowy, a przez trzy kolejne lata biedował. Dopiero gdy środki konsumował, płacił podatki. Do tej pory nie wymyślono niczego skuteczniejszego!

Były artysta (imię i nazwisko do wiadomości redakcji) kwituje zaś cierpko: – Wbrew pozorom aktualne pozostają słowa amerykańskiego aktora W.C. Fieldsa: „Bogacze to zwykli biedacy. Tyle że z pieniędzmi”.

Dorota Bartosewicz

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: Ballada o wykastrowanych tygrysach.

eprasa.pl 3127a0922e

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

PRAŁAT JANKOWSKI PADŁ

Zwalać pomniki czy nie zwalać? To walka polityczna czy wandalizm? Komu wolno, a komu zabronione? Jak obalać: na twardo (niszcząc, obtłukując), na kolorowo (malując), na miękko (zadbać o amortyzujące upadek opony)? Kiedy to robić: pod osłoną nocy (czytaj: jak bandziory), z zasłoniętą twarzą (jak rabusie podczas napadu na bank) czy jawnie; uciekać czy czekać na policję, manifesty pisać anonimowo czy się podpisać? Czy zwalać dopiero po „wyczerpaniu drogi prawnej", nie zważając na wyczerpanie np. ofiar księży pedofilów?

20 lutego 2019 r. zapisuje się jako ważny dzień w historii najnowszej polskiego Kościoła, aczkolwiek jest to waga ciężka, wydarzenia trudne, choć chyba na szczęście nieuniknione. W nocy z 20 na 21 lutego kilku nieanonimowych aktywistów politycznych: Konrad Korzeniowski, Rafał R. Suszek i Michał Wojcieszczuk (świadomie zrobili to nieanonimowo, podpisali się pod tekstem, który wyjaśnia motywacje i determinację), przewróciło pomnik nieżyjącego ks. Henryka Jankowskiego, kapelana Solidarności.

Przed kilkoma miesiącami ukazał się w „Dużym Formacie" wstrząsający reportaż Bożeny Aksamit opisujący w udokumentowany sposób przypadki molestowania i gwałtów na dzieciach, których dopuszczał się Jankowski. Wymiar sprawiedliwości przez lata umywał ręce (umarzając postępowania), hierarchowie Kościoła latami sprawę tuszowali, władze nobilitowały prałata nagrodami, godnościami, odznaczeniami – w końcu dorobił się pomnika. Głosy domagające się usunięcia monumentu (podczas kilku akcji – zasłaniano twarz na pomniku kawałkiem materiału) nie znajdowały przełożenia na konkretne decyzje władz, potem było morderstwo prezydenta Adamowicza – a prałat, jak popatrywał z cokołu, tak popatrywał, nadal i bez przeszkód.

W dzień poprzedzający obalenie pomnika miało miejsce w Watykanie niezwykłe wydarzenie. Doszło do bezpośredniego spotkania posłanki Joanny Scheuring-Wielgus (Teraz), warszawskiej radnej Agaty Diduszko-Zyglewskiej i Marka Lisińskiego, prezesa pomagającej ofiarom nadużyć seksualnych fundacji Nie Lękajcie Się, z papieżem Franciszkiem, któremu wręczono raport na temat polskich biskupów tuszujących latami popełniane przez księży przestępstwa o charakterze przemocy seksualnej. Raport dostarczono w wersji hiszpańskojęzycznej, żeby papież mógł go przeczytać bez pośredników. Kiedy Franciszek usłyszał, że stojący przed nim Marek Lisiński był jako dziecko ofiarą nadużyć seksualnych ze strony księdza, pochylił się i ucałował go w dłoń.

W czwartek, 21 lutego, rozpoczęło się w Watykanie spotkanie przewodniczących episkopatów z całego świata w sprawie problemu pedofilii w Kościele. Tego samego dnia rzecznik polskiego Episkopatu oświadczył, że nie zna raportu wręczonego papieżowi: „Do Sekretariatu Konferencji Episkopatu Polski nie wpłynął żaden raport na temat wykorzystywania seksualnego osób małoletnich przez duchownych. Gdy tylko zapoznamy się z tekstem, zostanie niezwłocznie udzielona odpowiedź". Polski Episkopat, choć wielokrotnie zapewniał, że sprawą się zajmie, zwleka, przeczekuje, nie śpieszy się z konkretną reakcją, zadowalając się – bo przecież nie tych, którzy domagają się realnych działań, ani ofiar oczekujących przeprosin czy odszkodowań za doznane krzywdy – werbalnymi deklaracjami bez pokrycia w faktach: „Zero tolerancji dla grzechu i przestępstwa pedofilii w Kościele i w społeczeństwie".

W kontekście tych wszystkich wydarzeń należy oceniać (czy, jak ja osobiście, doceniać) samo zwalenie pomnika Jankowskiego. Sprawcy wzięli na siebie odpowiedzialność z otwartą przyłbicą, z podręcznikowo wzorcową techniką akcji bez użycia przemocy (przypomnę tylko dla jasności, że użycie siły wobec martwego pomnika to nie przemoc, każdy akt molestowania dziecka był natomiast skrajną formą przemocy). Jankowskiego chroniła przez lata pozycja, rola polityczna, nawet – zapewnią niektórzy – zasługi dla Polski. Parasol ochronny rozpinali nad nim jego przełożeni, wymiar sprawiedliwości, elity Solidarności, milczący świadkowie.

Symboliczne zniknienie pomnika czyni zadość elementarnej potrzebie prawdy i sprawiedliwości. Pełniąca obowiązki prezydent Gdańska jeszcze w dniu przewrócenia pomnika zapewniła, że figura nie wróci na swój cokół – zostanie przewieziona do magazynu miejskiego. „Miasto już wcześniej przygotowało projekty uchwał dotyczące usunięcia pomnika, odebrania ks. Jankowskiemu tytułu honorowego obywatela i zmiany nazwy skweru, na którym stał pomnik", powiedziała Magdalena Skorupka-Kaczmarek, rzeczniczka komisarz Gdańska Aleksandry Dulkiewicz. [Wobec działań komitetu budowy pomnika być może sprawa skończy się w sądzie – przyp. red.].

W kontekście tego wydarzenia coraz częściej mówi się o aktywnym udziale Jana Pawła II w procederze tuszowania na skalę globalną przestępstw seksualnych, których sprawcami byli duchowni. Nie da się dłużej milczeć. Zanim zaczną być obalane kolejne pomniki, teraz już Jana Pawła II, należy tę historię ujawnić, opisać, przedebatować. Pomniki stawiane przez krótkowzroczną władzę nie są opowieścią o prawdziwej historii, na którą zasługujemy i zasługują ofiary. Mądrzej je stawiajmy, nie trzeba będzie obalać, bo nam opon nie starczy. Zamknęła się w Polsce epoka bezkarności Kościoła i grania przez państwo roli jego cichego wspólnika. Bez amen, bo to nie koniec tej historii.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3127a0922e

Rozmawia Artur Zaborski

MEDIA PUBLICZNE WYLANSOWAŁY „KLER"

Związki kina i polityki mogą przynieść niezamierzone efekty

Czy na to, że w 2018 r. padł rekord sprzedaży biletów w polskich kinach, ma wpływ 500+?

– Ma, ale to tylko jeden z czynników. Świadczenia wpływają na wzrastającą zamożność społeczeństwa, co bezpośrednio przekłada się na nasze zainteresowanie kinem. Dziś statystyczny Polak chodzi do kina półtora raza w roku, czyli dwa razy więcej niż 10-12 lat temu. Nasza sytuacja ekonomiczna jest istotna, ale nie wystarczy mieć pieniądze na wejście – potrzebne są jeszcze kina i filmy. Od końca lat 90. powstają w Polsce multipleksy, jest ich obecnie ponad 120. Zainwestowano w nie ogromne środki, ale musiało upłynąć wiele lat, zanim frekwencja w nich znacząco wzrosła.

Frekwencja nie może rosnąć w nieskończoność.

– Popyt na usługi kultury jest ograniczony. Dobijemy do średniej europejskiej i zwolnimy. Pytanie dotyczy raczej tego, jak będzie wyglądał udział kina polskiego w całym rynku – inaczej mówiąc, czy spektakularny sukces „Kleru" Wojciecha Smarzowskiego, na który poszło 5 mln widzów, to jednorazowa sytuacja.

To przypadek?

– Nie. Od 2014 r. polski film jest najpopularniejszy w całym roku, a w 2018 r. aż cztery najchętniej oglądane hity to produkcje rodzime – „Kler", „Kobiety mafii", „Planeta Singli 2", „Dywizjon 303. Historia prawdziwa". Wiąże się to ściśle z uchwaleniem kluczowego dla polskiego kina aktu prawnego, czyli Ustawy o kinematografii z 2005 r., w wyniku której powołano Polski Instytut Sztuki Filmowej, finansujący projekty filmowe. Od 2006 r. polskie kino notuje udział 15-25% w krajowym rynku. Są lata słabsze, kiedy filmów jest mniej, więc ten procent jest niższy. Ale w 2018 r. aż jedna trzecia kupionych biletów to bilety na filmy polskie. Dzięki PISF siła naszej kinematografii rośnie, a efektem jest zainteresowanie nią Polaków.

Tylko że „Kobiety mafii" ani „Planeta Singli" nie były finansowane przez instytut.

– Ustawa wpływa na nie pośrednio. Dzięki instytutowi mamy znacznie większe budżety – średni plasuje się na poziomie 5 mln zł, czyli o 2 mln zł więcej niż wcześniej. Umożliwia to sprawniejsze wykonanie filmów, które są lepiej zrealizowane, na wyższym poziomie technicznym, staranniej i dłużej przygotowywane na etapie scenariusza i rozwoju projektu. Ogólne podniesienie jakości produkcji przełożyło się na to, jak wygląda nasz *mainstream*. Rynek filmowy mocno się sprofesjonalizował. Zwiększyła się sieć kontrahentów, podwykonawców, wzrosła jakość usług. Zmiany te objęły całą branżę filmową. Zauważyłam, że z roku na rok maleje procent filmów wspartych przez PISF, co oznacza, że producenci potrafią wyszukiwać środki także poza instytutem.

Jaką część rynku dotuje PISF?

– Około dwóch trzecich profesjonalnej produkcji.

Skoro jedna trzecia filmów powstaje za prywatne pieniądze, to znaczy, że na siebie zarabiają. Czy w takim razie polskie kino to jeszcze sztuka, czy już biznes?

– Kultura chodzenia do kina zmieniła się. Kino coraz częściej jest elementem galerii handlowej. Młode pokolenie widzów nie przekracza już progów świątyni sztuki jak bohater „Cinema Paradiso". Galerie uzyskują lepsze obroty, jeśli mają kino. Praktycznie nie buduje się już kosztownych wolnostojących multipleksów. Zanika granica między kinem a sklepem. Bardzo ciekawe informacje na temat współczesnej widowni zawiera raport „Widz kinowy w Polsce" przygotowany przez Filmweb. Widać w nim, jak zmieniają się nasze obyczaje kinowe, źródła informacji, motywacje zakupu biletu.

Jak wpływa na obroty kin częściowy zakaz handlu w niedzielę?

– Obniża frekwencję w wolne niedziele, ale na szczęście tłok w kinach w pozostałe dni to rekompensuje. Polska widownia chce oglądać polskie filmy. Lubi polskich aktorów, polskie realia, nawet jeśli są prezentowane w konwencji komedii romantycznej. Produkowane nad Wisłą filmy zaspokajają potrzeby naszych historii. W gruncie rzeczy polskie kino nie konkuruje z kinem amerykańskim. Filmy Patryka Vegi nie są prostą kalką – opowiada on historie swoim językiem, kodem zrozumiałym dla Polaka. To nadal nasze twarze, ulice, wnętrza.

Vega to reżyser filmowych serii – kilka części „Pitbulla" i „Kobiet mafii" – a nie zindywidualizowanych projektów.

– To proces globalny. Kinowa widownia się odmładza. Kiedy oglądam popularne dziś filmy Marvela z superbohaterami, czuję się stara. To nie jest to, czego oczekuje widz dojrzały. Na naszych oczach dzieje się rewolucja. Znikają filmy, które tworzyły absolutny trzon kina, czyli *mainstream*, takie jak filmy oscaro-

Anna Wróblewska jest doktorem nauk humanistycznych, wykłada na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego i w Szkole Filmowej w Łodzi; specjalizuje się w tematyce ekonomii kultury i organizacji branży filmowej, animacji i filmu dla dzieci. Była rzeczniczka prasowa Stowarzyszenia Filmowców Polskich i Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, w latach 2014-2018 rzeczniczka prasowa Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Autorka m.in. książki „Rynek filmowy w Polsce", współautorka publikacji „Polski film dla dzieci i młodzieży", redaktor serwisu www.sfp.org.pl. Odznaczona medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

eprasa.pl 3127a0922e

DR ANNA WRÓBLEWSKA
– publicystka, dziennikarka, menedżerka kultury

we, na które kiedyś oczekiwaliśmy z drżeniem. Teraz jest inaczej, laureatów nagród Akademii Filmowej nie widać w box offisie. Dziś trzeba się zastanowić nad tym, kto dwa lata temu dostał Oscara. Dorosła widownia na tę sytuację zareagowała.

W jaki sposób?

– Przeniosła się na platformy VOD i do internetu, gdzie może oglądać duże, porządne fabuły, bo role dawnej fabuły przejęły seriale z segmentu premium produkowane choćby przez HBO. Sama coraz chętniej po nie sięgam. Rzadziej znajduję atrakcyjny repertuar w kinie, bo wielkie studia produkcyjne z Hollywood dużo większą szansę na sukces finansowy widzą w kontynuacjach Batmana, Star Wars czy „Szybkich i wściekłych".

W polskim kinie też obserwujemy taką zależność.

– U nas już zadziałał mechanizm tworzenia brandu. Łatwiej wypromować kolejną część „Listów do M.", niż od początku budować nową markę, choć i tych „Listów…" nie można eksploatować w nieskończoność.

Dziś trudno uwierzyć w to, że jeszcze do niedawna normą było narzekanie na polskie kino.

– PISF od razu zaczął zabiegać o dobry PR polskiego kina. To był priorytet. Nagłaśniano sukcesy naszych filmowców na festiwalach, donoszono o nagrodach dla nich, podkreślano profesjonalizację, która nastąpiła dzięki wejściu Polski do Unii Europejskiej i programom PISF. Reżyserzy i producenci nauczyli się reagować na oczekiwania widowni i wsłuchiwać się w nią. Na przełomie wieków zastrzyk gotówki dały banki. W efekcie powstały superprodukcje typu „Quo vadis", „Ogniem i mieczem" czy „Pan Tadeusz", które były kosztowne, ale ich twórcy wiedzieli, że jeśli widz idzie na „Ogniem i mieczem", to po to, żeby zobaczyć porządne, duże kino, a nie twórczość chałupniczą.

Superprodukcje okazały się frekwencyjnymi hitami. Obejrzało je wiele milionów Polaków.

– Popularność superprodukcji dobrze działała na *box office*, ale o sukcesie przesądzają nie ewenementy, lecz trwałe tendencje. Dla polskiego kina najgorszy okres to początek XXI w. Do 2005 r. obowiązywała ustawa o kinematografii z 1987 r. Dopiero kiedy w 2002 r. tekę ministra kultury objął Waldemar Dąbrowski, zaczął powolny proces zbierania środków na polskie kino. I wówczas pojawiła się szansa na uchwalenie nowej ustawy.

A wcześniejsi ministrowie?

– Mieli inne priorytety. Andrzej Celiński zwyczajnie zabrał pieniądze przeznaczone na polskie kino – przesunął je na inne zadania. W efekcie w następnych latach powstało bardzo niewiele filmów, cierpiących na potężne niedostatki finansowe, co nie podobało się widowni.

Jak finansowano filmy przed PISF?

– Utworzona w 1991 r. agencja rządowa wspomagała produkcję filmową poprzez inwestowanie środków przeznaczonych na ten cel w budżecie państwa. Nakłady były jednak niskie. Badacz tematu Edward Zajiček w słynnej książce „Poza ekranem" przytacza dane, że w 2002 r., najgorszym dla rodzimego kina od kilkudziesięciu lat, wyniosły zaledwie 6 mln zł, ale już w 2005 r. – 26 mln zł. To była kropla w morzu potrzeb. Aby realizować filmy, zwłaszcza wysokobudżetowe, producenci zaczęli poszukiwać pieniędzy na zewnątrz. Banki, które umożliwiły tworzenie spektakularnych superprodukcji, szybko się zorientowały, że to nie jest pewny rynek – raz rentowny, a raz nie. Banki ryzykować nie lubią, więc wycofały się z zabawy w kino. Solidnym i pewnym źródłem finansowania była wówczas Telewizja Polska, która na lata została głównym partnerem produkcji filmowej. W filmy chętnie inwestował także Canal+. Mimo to zdarzało się, że nawet profesjonalni twórcy filmowi, tacy jak Anna Jadowska, Ewa Stankiewicz czy Dariusz Gajewski, decydowali się na zrobienie filmu niezależnego, poza finansowaniem państwowym, bo pieniędzy zwyczajnie brakowało. Filmów było mało i miały słabe budżety, cierpiały na wieczne niedofinansowanie. A widz bardzo nie lubi filmów słabej jakości.

Jednak kilka filmów z tamtego okresu – choćby niezależny „Edi" Piotra Trzaskalskiego – zrobiło bardzo dobre wyniki w kinach.

– Wyjątki się zdarzały, ale nie da się na wyjątkach zbudować widowni, która chce stałej i przewidywalnej jakości. A jakość wymaga budżetu. Filmowcy chcieli stworzyć taki system, w którym kinematografia jest

Polska widownia chce oglądać polskie filmy. Lubi polskich aktorów, realia, nawet prezentowane w konwencji komedii romantycznej.

eprasa.pl 3127a0922e

w miarę nieuzależniona od budżetu państwa.

Dlaczego?

– Jeśli politycy są w trudnej sytuacji budżetowej, zawsze w pierwszej kolejności ograniczą wydatki na kulturę, więc ministrowie czy parlament, którzy chcieli obciąć budżet na filmy, mieli wolną drogę. Sytuacja kina była uzależniona od decyzji i priorytetów politycznych. Nie chodziło o to, że ktoś nam kazał coś kręcić, po prostu np. przykręcał śrubę finansową. Nie można dyskutować z politykami.

Dlatego walka o ustawę trwała aż 15 lat?

– Na festiwal w Gdyni przyjeżdżali przedstawiciele rządu, m.in. Aleksandra Jakubowska, którzy obiecywali nam ustawę. Deklaracje były, ale na nic się nie przekładały. Waldemar Dąbrowski, Agnieszka Odorowicz, późniejsza szefowa PISF, a także liderzy środowiskowi – m.in. prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich Jacek Bromski czy Maciej Strzembosz – byli zdeterminowani. Pracowałam wówczas przy prowadzonej przez SFP kampanii na rzecz ustawy o kinematografii. Doskonale pamiętam, jak krwawa była to walka. Donald Tusk zapytany o plany wobec ustawy odpowiedział szczerze: „Wczoraj byli u mnie piekarze, ale też nic nie wskórali". Lekko nie było.

KLER

Nie chcieliście przecież zabierać pieniędzy politykom ani majstrować w ich budżetach.

– Środki na dotacje na film miały pochodzić – i tak się stało – z dochodów telewizji, nadawców, platform cyfrowych, kin, a więc firm, które korzystają z treści filmowych, aby mogły wypełniać swoje cele i normalnie funkcjonować. Jest to rodzaj parapodatku. Pieniądze publiczne nie płyną więc zasadniczo z budżetu państwa, ale są powiązane z rynkiem. Oczywiście w czarnym scenariuszu można założyć, że parlament wytnie akapit ustanawiający ten system, ale na razie nie widać takiego zagrożenia. PISF działa, filmy powstają.

Dziwi mnie, że politycy nie zabiegali o kino jako nośnik idei, narzędzie zdobywania elektoratu.

– W latach 90. politycy w ogóle nie zajmowali się kulturą. Wedle wolnorynkowej filozofii Leszka Balcerowicza była ona częścią gospodarki, traktowano ją jak każdą inną dziedzinę. Upadło wtedy mnóstwo kin i domów kultury. Z biegiem czasu również politycy zaczęli doceniać to, że kultura nie tylko generuje kapitał gospodarczy i przekłada się na przychody i dochody, ale także buduje kapitał miękki, społeczny. Jeśli ludzie nie mają dostępu do kina ani filharmonii, to nie czują potrzeby, żeby do nich chodzić. Dopiero stworzenie takich obiektów zachęca ich do tego. Pamiętam, jak nie wierzono w sukces wielkiego multipleksu Bonarka w Krakowie. Tymczasem to 20-salowe kino stało się jednym z popularniejszych w mieście. Jeśli w okolicy jest ładne, dobrze wyposażone kino i jeśli są w nim filmy, na które czekamy, to ono się wypełni. Chcemy wychodzić z domu, kino zaspokaja pewne potrzeby społeczne. Tworzy się nawyk korzystania z kultury. Powoli i politycy zaczynają to zauważać.

Już na te powstające dzięki finansowaniu z banków superprodukcje, będące adaptacjami lektur, ciągnięto szkoły pod pretekstem wychowania patriotycznego.

– Sztuki audiowizualne są najprostszym sposobem opowiadania narodowej historii. Kino odgrywa więc ważną rolę edukacyjną i społeczną. Już w 1928 r. z okazji 10-lecia niepodległości powstało kilka porządnych produkcji, m.in. „Pan Tadeusz", ostatnio zrekonstruowany przez Filmotekę Narodową. Filmy rocznicowe nie są w historii polskiego kina, także tej najnowszej, czymś wyjątkowym. To wyraz postaw filmowców, ich hołd dla przeszłości albo jej rozliczenie.

Nasi politycy jednak bardzo by chcieli mówić filmowcom, co kręcić. Mają na to szansę?

– Nie, brakuje im sukcesów na tym polu. Edward Zajiček w „Zarysie historii gospodarczej kinematografii polskiej" opowiada o filmie „Józef Piłsudski" zrealizowanym

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, BARTEK MROZOWSKI/KINO ŚWIAT

eprasa.pl 3127a0922e

z okazji 10-lecia dojścia marszałka do władzy. Choć premiera była wystawna i głośna, była ostatnim seansem filmu w ogóle. Obejrzał go marszałek i wystarczyło. Producent zbankrutował. Archiwa różnych polskich ośrodków filmowych są pełne produkcji na bieżące zamówienie. O wielu nikt nie pamięta. Problem polega na tym, że sukcesu filmu nie da się przewidzieć ani tym bardziej zamówić.

Wystarczy ogłosić konkurs na film na dany temat i scenariusz sam się znajdzie.

– Owszem, istnieje kategoria filmów rocznicowych. Państwo z okazji różnych jubileuszy może zamówić film na dany temat. W tym sensie politycy stają się zamawiającymi. Tylko proces powstawania dzieła jest skomplikowany. Rzadko erupcja talentów i pomysłów pokrywa się z aktualnym zapotrzebowaniem. Film wymaga pracy, talentu, wytrwałości, szczęścia. Tego jednym ruchem się nie osiągnie. Państwo ma prawo mieć swoją wizję polityki kulturalnej i ją realizować. Ale nie musi to się pokrywać z twórczą rzeczywistością. Rezultaty zazwyczaj pozostawiają wiele do życzenia. O wiele większe zagrożenie niż w takich praktykach widzę w czym innym.

W czym?

– Sukces „Kleru" Wojciecha Smarzowskiego polegał też na tym, że reżyser miał nie tylko ogromny talent i świetny warsztat, ale i wielką odwagę. Żeby poruszać ważkie tematy współczesnej Polski, trzeba mieć właśnie odwagę, aby nie zadziałał mechanizm autocenzury. W latach 20. i 30., kiedy działała cenzura, na ekrany nie dopuszczano zaledwie 5% gotowych filmów. Więcej nie trzeba było, bo producenci cenzurowali się sami. Często byli uzależnieni od *de facto* finansujących produkcje filmowe kiniarzy, którzy dyktowali tematy, konwencję i obsadę.

Na ostatnim festiwalu w Gdyni, na którym pracowałaś jako rzecznik prasowy, nie przyznano nagrody Klakiera dla najdłużej oklaskiwanego filmu, tłumacząc, że były problemy z pomiarem oklasków.

– Rzeczywiście mieliśmy trudności techniczne. Ale decyzja prezesa Radia Gdańsk o odwołaniu tej pozaregulaminowej nagrody mogła być zinterpretowana tylko w jeden sposób – jako zamach na „Kler". Trzeba uważać na to, co się robi, i przewidywać konsekwencje. Niektóre media publiczne wybitnie przyczyniły się do popularyzacji filmu. Na miejscu dystrybutora zacierałabym ręce. Cenzurowanie wypowiedzi Smarzowskiego, zdejmowanie gali zakończenia z głównej anteny, ataki części publicystów na film, wrzutki w mediach społecznościowych typu „tylko świnie siedzą w kinie" – to wszystko zachęciło publiczność do kupna biletu. Związki kina i polityki mogą dać zupełnie niezamierzone efekty i „Kler" powinien być ostrzeżeniem dla polityków o zbyt dużych zakusach. Jestem przekonana, że dzisiaj w polskim kinie mamy miejsce na różnorodność: na film o św. Faustynie, o Smoleńsku, na „Listy do M.", Patryka Vegę i „Kler". Najważniejsze, że Polacy nadal chcą oglądać filmy z polskimi aktorami, historie osadzone w nadwiślańskich realiach. I oby znaleźli dla siebie optymalny repertuar.

> „Kler" jest dobry jakościowo. „Smoleńsk" był z tezą, która nie trafiła do widowni.

Czyli zamiast kierować się w stronę polityki, trzeba się skupić na uniwersalnych tematach i kondycji człowieka? Polityka nie jest *hot*?

– Polityka w kinie generalnie nie jest *hot*. Kino polityczne z reguły sprzedaje się słabo, wyjątki potwierdzają regułę. „Kler" trafił na nabrzmiały społecznie problem i dlatego stał się tak popularny. Realizuje społeczną funkcję kina, które kształtuje postawy, rodzi tematy dyskusji, sieje ferment. Smarzowski spotkał się z gigantyczną odpowiedzią widowni.

„Kler" bije rekordy frekwencji, ale jeszcze bardziej skrajny „Smoleńsk" Antoniego Krauzego, na równie głośny temat, nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Dlaczego?

– „Kler" jest dobry jakościowo. „Smoleńsk" był z tezą, prezentował punkt widzenia, który nie trafił do widowni chodzącej do kina. Ci, którzy wierzą w tezę o zamachu zaprezentowaną w filmie, nie potrzebowali kupować biletu, żeby się w niej upewnić. Ci z kolei, którzy chcieli z nią dyskutować, nie znaleźli interlokutora na poziomie. Na ten temat może powstać jeszcze wiele filmów i nie jest powiedziane, że one widowni nie znajdą.

Takie filmy powinni robić filmowcy czy zamawiać politycy?

– Filmowcy. „Kler" nie był filmem na zamówienie, ale trafił na swoją widownię.

Artur Zaborski

eprasa.pl 3127a0922e

KURTYNA W GÓRĘ

HAMLET, JAKI JEST

Nie ma kanonicznego „Hamleta", każde przedstawienie jest inne, niektóre niewiele z dramatem Szekspira mają wspólnego. Najnowszy „Hamlet" w reżyserii Tadeusza Bradeckiego w warszawskim Dramatycznym trzyma się blisko tekstu i sensu utworu.

Reżyser dysponował co najmniej dwoma atutami: świetnym, świeżym językowo przekładem i aktorem, który idealnie wpisał się w postać duńskiego księcia. Nowe tłumaczenie Piotra Kamińskiego odznacza się wrażliwością na język współczesny. Nie tracąc poetyckich wzlotów (kiedy trzeba) ani też niskich upadków (kiedy trzeba), respektuje reguły języka mówionego. Anglicy mogą nam zazdrościć. Krzysztof Szczepaniak wciela się w tytułowego bohatera, idealnie wypełniając wskazania Hamleta kierowane do aktorów – zawsze traktowane jako artystyczne kredo autora. Powściąga więc zgodnie z zaleceniami księcia namiętności, prowokuje, ale z umiarem, a kiedy emocje go poniosą, to jedynie po to, aby ukazać siłę napięć, które już nie mogą dłużej trwać pod przykryciem.

Wiele tu scen, w których dochodzi do głosu bogata osobowość Hamleta, jego talenty, wrażliwość, umiejętność błyskawicznej riposty. To mocny spektakl. Bradecki podąża za tekstem Szekspira, a Szekspir nie pozostawiał widzom złudzeń. To nie jest „Hamlet" robiony ku pokrzepieniu serc. To raczej mroczny obraz naszych czasów oglądany w zwierciadle duńskiego Elsynoru.

Tomasz Miłkowski

William Szekspir, „Hamlet", przekład Piotr Kamiński, reżyseria Tadeusz Bradecki, Scena im. Gustawa Holoubka Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy, premiera 18 stycznia 2019

MIĘDZY OKŁADKAMI

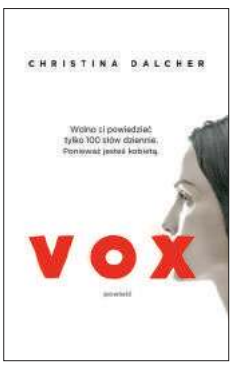

Christina Dalcher
VOX

tłum. Radosław Madejski
Muza, Warszawa 2019

Kto jest najbardziej sfrustrowany w USA? Biały heteryk, ostrzegała bohaterkę przyjaciółka, działaczka feministyczna. Cóż, kiedyś, nawet gdy nie miał nic, mógł patrzeć z góry na niebiałych, nieheteroseksualnych itd. Dlatego nie ma sensu takiego przekonywać, że niczego nie straci, gdy jakieś prawo zostanie dyskryminowanym przyznane. Bo właśnie straci – piedestał, który mu się należał z „natury rzeczy". „Vox" to świat zemsty za utratę dominacji. Literalnie potraktowane licz się ze słowami, kobieto! Masz ich teraz 100 dziennie, za każde nadmiarowe – elektrowstrząsy, i to już od dziecka. Plus zakaz kontaktu z wszelkim słowem pisanym. Powrót do „właściwych" relacji społecznych, zwolnienie wielu posad… Raj dla pana i władcy. Do jego zaprowadzenia wystarczyły – i to potraktujmy jako przestrogę – mechanizmy demokracji, wygranie wyborów głosami fundamentalistów. A głos ma znaczenie, pamiętajmy o tym, bo będzie jak ze „szlachetnym zdrowiem". Autorka świetnie pokazuje pęcznienie buntu, którego nie można wykrzyczeć, przeradzanie się gniewu w nienawiść nawet do najbliższych. Przy okazji to niezły thriller.

Aleksandra Pańko

NA POWAŻNIE

FAUST I KIBOLE

Oryginalną i zarazem kontrowersyjną inscenizację opery „Faust" zaproponowała w Poznaniu Karolina Sofulak, laureatka prestiżowej nagrody Europejskiego Konkursu Reżyserii Operowej. Zrezygnowała z romantycznego przesłania o pragnieniu młodości i miłości, a skoncentrowała się na odbrązowieniu ideałów kondycji ludzkiej. W jej ujęciu żołnierze wyprawiający się na wojnę to kibole szykujący się do ustawki, piękna i niewinna Małgorzata jest zaś zwyczajną kobietą, mieszkanką zapyziałego miasteczka. Tylko Faust, renesansowy naukowiec i humanista, to człowiek z innego świata, jakby przeniesiony do współczesności w kapsule czasu. Śpiewany tekst oparty na poemacie Goethego stoi w sprzeczności z oglądanymi realiami, ale to wizja realizatorów dominuje. Można słuchać pięknej muzyki z zamkniętymi oczami i wtedy otwarcie powiek będzie szokiem, przebudzeniem. Szkoda, że nasz świat jest tak daleki od romantycznego ideału.

Bronisław Tumiłowicz

Charles Gounod, „Faust", kierownictwo muzyczne Gabriel Chmura, reżyseria Karolina Sofulak, scenografia i reżyseria świateł Charles Edwards, kostiumy Sue Willmington, Teatr Wielki w Poznaniu, premiera 16 lutego 2019

eprasa.pl 3127a0922e

NA EKRANACH

Bejruckie slamsy wypełniają dzieci takie jak Zain, który nie wie nawet, ile ma lat, bo rodziców nie było stać na akt urodzenia. Chłopiec wytacza im proces za to, że go spłodzili, choć wiedzieli, jak koszmarny los go czeka. Weźcie do kina chusteczki, bo Nadine Labaki wie, jak żonglować emocjami: to zawiesi życie bohatera na włosku, to rozdzieli go z ukochaną siostrą zmuszoną do zamążpójścia, to postawi na jego drodze imigrantkę z Etiopii z noworodkiem. Momentami jest tragicznie, chwilami zaskakująco zabawnie, czyli iście po hollywoodzku, co spodobało się w USA do tego stopnia, że film dostał nominację do Oscara. Jednak w odróżnieniu od amerykańskich twórców Libanka odrzuca obiektywizm. Wychodzi przed kamerę jako prawniczka Zaina i wygłasza płomienną przemowę, napędzaną nie litością, ale złością. Oskarża w niej władze ojczyzny o zamykanie oczu na los szarych ludzi, do których sama wyciąga rękę – w „Kafarnaum" zagrali wyłącznie naturszczycy z dzielnic nędzy. W życiu nie mają na to szans, ale na ekranie odzyskali podmiotowość.

KAFARNAUM
reż. Nadine Labaki, prod. USA/Liban, już w kinach

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

FERNANDO MENIS BACKSTAGE

Pochodzący z Wysp Kanaryjskich Fernando Menis to ceniony architekt o niepowtarzalnym stylu i zamiłowaniu do akustyki i recyklingu. W Polsce dał się poznać dzięki prekursorskiemu projektowi Centrum Kulturalno-Kongresowego Jordanki w Toruniu. Wrocławska wystawa ukazuje metody projektowe pracowni Menisa z uwzględnieniem eksperymentów i innowacyjnych działań w dziedzinie architektury i urbanistyki. Główną część ekspozycji stanowi tajemniczy czarny sześcian.

WROCŁAW, MUZEUM ARCHITEKTURY, DO 7 KWIETNIA

POMIĘDZY

Muzeum Etnograficzne zaprasza na wystawę fotografii absolwenta warszawskiej ASP, Remiego Uranta. Cykl 48 portretów przedstawia młode osoby, które przyjechały do Polski z różnych stron świata i z różnych powodów. Młodzi ludzie często podróżują, aby zdobyć wykształcenie, poznać nowy język i życie w innym kraju. Doświadczają stanu, w którym ich dom nie jest do końca ani tam, ani tu. Są pomiędzy, zawieszeni.

WARSZAWA, PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE, DO 3 MARCA

WYDARZENIE

KOD MISTRZÓW MARIAN DZIĘDZIEL

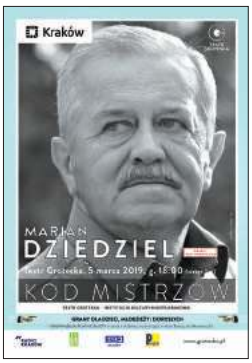

Gość marcowego spotkania Kodu Mistrzów urodził się w 1947 r. Jest rodowitym Ślązakiem i absolwentem krakowskiej PWST. Nieprzerwanie od 1969 r. można go oglądać na deskach Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Na dużym ekranie debiutował rolą powstańca w pierwszej części trylogii śląskiej Kazimierza Kutza „Sól ziemi czarnej". Przełomem w karierze aktora okazała się rola Wiesława Wojnara w „Weselu" (2004) Wojciecha Smarzowskiego. Pytany, dlaczego został aktorem, Marian Dziędziel odpowiada: „Bo się ze mnie śmiali, jak mówiłem wiersze w moim ukochanym liceum w Wodzisławiu Śląskim. Mówiłem je po swojemu, np. »Bagnet na bruń«. Koledzy dosłownie ryczeli w ławkach, gdy mnie słyszeli. I tak, z przekory wewnętrznej, postanowiłem, że zostanę aktorem".

KRAKÓW, TEATR GROTESKA, 5 MARCA, GODZ. 18.00

KONKURS

II MIĘDZYNARODOWY KONKURS WOKALNY IM. ANTONINY CAMPI Z MIKLASZEWICZÓW

Centrum Spotkania Kultur w Lublinie zaprasza na II Międzynarodowy Konkurs Wokalny. Zgłoszenia młodych śpiewaków napłynęły z Polski i aż 16 innych krajów świata. W jury drugiej edycji zasiądą Ferenc Anger (Węgierska Opera Państwowa w Budapeszcie), Ondřej Hučín (Národni Divadlo i Státní Opera w Pradze), Rosemary Joshua (Opera Studio przy Dutch National Opera w Amsterdamie), Marcin Kopeć (agencja TACT International Art Management z Londynu) i maestro José Maria Florêncio (Opera Bałtycka w Gdańsku), który poprowadzi Orkiestrę Akademii Beethovenowskiej podczas koncertu finałowego (8 marca). Jury przewodniczyć będzie pomysłodawczyni wydarzenia i jego dyrektor artystyczna Ewa Vesin. Przesłuchania I i II etapu konkursu są otwarte dla publiczności.

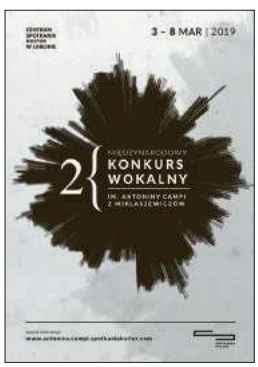

Więcej: www.antonina.campi.spotkaniakultur.com.

LUBLIN, SALA OPEROWA CSK, 3-8 MARCA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, K. CHMURA, GUTEK FILM

eprasa.pl 3127a0922e

PAŃSTWO OPIEKUŃCZE, ALE JAKIE

Mamy rekordowo niskie bezrobocie, mimo to wiele osób nadal żyje w biedzie, niekiedy skrajnej

Rafał Bakalarczyk

Czy każdy jest kowalem swojego losu i gdy dotknie go ubóstwo, powinien radzić sobie sam? A może to państwo i jego instytucje powinny wyciągnąć rękę do osób w niedostatku? Czy nierówności w kraju są zbyt wysokie i czy jest rolą państwa niwelowanie ich? O te m.in. kwestie pytano Polaków w badaniu Głównego Urzędu Statystycznego, z którego raport („Postrzeganie ubóstwa i nierówności dochodowych w Polsce. Wyniki badania spójności społecznej 2018") ukazał się, chyba nieco przeoczony, pod koniec zeszłego roku. Wyłania się z niego ciekawy obraz – egalitarne państwo socjalne to nie tylko marzenie lewicowców, ale również coś, co oddaje przekonania dużej części społeczeństwa. Na pewno jednak nie można poprzestać na tej krzepiącej konkluzji. Należy zadać (także sobie) pytanie, jak dokładniej miałoby to państwo socjalne wyglądać i czy będziemy gotowi za to zapłacić.

ZBYT DUŻE NIERÓWNOŚCI

Polacy pytani o skalę nierówności stwierdzają, że są one nadmierne. 86% badanych przez GUS zgodziło się z tą opinią, w tym połowa w stopniu zdecydowanym. To miażdżąca większość. Pokazuje ona, że Polacy nie akceptują takiego rozwarstwienia społecznego. Tylko czy niwelowanie różnic powinno być zadaniem państwa? Zdaniem zdecydowanej większości pytanych – 77,7% – tak. Z danych tych nie wynika wprost ocena polityki państwa, ale jeśli weźmie się pod uwagę to, że rozwarstwienie jest uznawane za zbyt duże, widać, że większość Polaków uważa dotychczasową politykę państwa w niwelowaniu różnic za mało skuteczną. Do takiej opinii może skłaniać wiele realnych działań i zaniechań. Choćby brak konsekwentnej polityki fiskalnej idącej w kierunku większej progresywności. Piotr Wójcik w tekście „Jak nie nadepnąć na odcisk hegemona. Polityka podatkowa PiS" opublikowanym w „Krytyce Politycznej" pokazuje to na przykładach. Podobne zarzuty można było wyczytać w ocenach Rafała Wosia. Dodajmy, że obydwaj publicyści są zasadniczo przychylni społeczno-ekonomicznemu obliczu obecnych rządów. Warto więc wsłu-

eprasa.pl 3127a0922e

chać się w ten głos krytyczny wobec bieżącej polityki fiskalnej, od której zależą także możliwości finansowania polityki społecznej.

Z drugiej strony warto badać, na co społeczeństwo jest gotowe przystać. Skoro powszechnie opowiadamy się za zmniejszaniem różnic dochodowych, które kłują nas w oczy, to czy np. jesteśmy gotowi na zwiększenie progresji podatkowej lub szerszą przebudowę systemu podatkowego, choćby uruchamiając nowe źródło zasilania – podatki majątkowe z prawdziwego zdarzenia, które już parę lat temu postulował jeden z najgłośniejszych badaczy nierówności Thomas Piketty? A może wierzymy, że nierówności można zmniejszyć bez podnoszenia podatków czy przekształcenia systemu fiskalnego? Może już teraz w budżecie są rezerwy, ale przeznaczane na inne cele? Jeśli tak, to skąd je przesunąć, by rozwijać te segmenty państwa, które rzutują na poziom nierówności? Może należałoby szukać i tu, i tu – trochę w modyfikacji poziomu i struktury przychodów budżetowych, a trochę po stronie ich alokacji?

BIEDA ZAUWAŻANA

Polacy nie tylko nie akceptują obecnego poziomu nierówności, ale też widzą szeroką strefę ubóstwa i uważają, że to w gestii państwa leży wsparcie osób nim dotkniętych. Najwięcej badanych, 14,6%, stwierdziło, że 26-30% mieszkańców nie wystarcza pieniędzy na zakup jedzenia, odzieży czy opłacenie mieszkania. Prawie co dziesiąty pytany wskazał, że taki problem ma od 31 do 40% mieszkańców, 7,3% badanych wskazało, że biedę cierpi od 41 do 50% mieszkańców, 8,7% – że nawet więcej niż połowa. Jeśli skonfrontujemy te opinie ze zbieranymi przez GUS danymi na temat biedy obliczanej według takich miar jak ubóstwo skrajne czy względne, okaże się, że w oczach społeczeństwa skala problemu może być nawet wyższa, niż jest w istocie. Przykładowo w 2017 r. skrajnego ubóstwa doświadczyło 4,3% społeczeństwa, a ubóstwa względnego – ponad 13%. Oczywiście i za tymi wskaźnikami stoją ogromne liczby bezwzględne. Zbyt ogromne. 4,3% to ponad 1,5 mln osób deklarujących wydatki na poziomie poniżej granicy skrajnej biedy, gdzie zagrożone jest biologiczne przetrwanie człowieka.

To, że w odbiorze społecznym bieda ma tak szeroki zakres, jest w sumie informacją pocieszającą. Gorzej by było, gdyby bieda była postrzegana jako zjawisko marginalne. A takie ryzyko występuje. Wszak dużo się mówi o pozytywnym wpływie na zmniejszenie skali ubóstwa niektórych programów rządowych, z 500+ na czele, lub dość korzystnych wskaźników gospodarczych, takich jak poziom bezrobocia, które przecież także bywa skorelowane z zagrożeniem biedą (zwłaszcza że zasiłki dla bezrobotnych są skromne i dostępne tylko niewielkiej części osób zarejestrowanych w urzędach pracy). Skoro więc rozmaite wskaźniki gospodarcze są niezłe, a programy socjalne realizowane, łatwo ulec złudzeniu, że problem ubóstwa przestaje być palący i powszechny. Okazuje się jednak, że Polacy nie nabrali takiego przeświadczenia, a bieda jest w ich oczach wciąż rozległym zjawiskiem. Warto, by środowiska lewicowe to odnotowały. Może to im dodać odwagi przy podejmowaniu tematu walki z ubóstwem w debacie publicznej.

POMOC NIEKONIECZNIE FINANSOWA

Szczególnie interesujące w badaniu GUS są odpowiedzi na pytanie o stosunek do roli państwa oraz rodziny we wspieraniu osób żyjących w ubóstwie. Aż 30,7% odpowiedziało, że to zadanie głównie państwa, 27,9% – że znacznie bardziej państwa niż rodziny, a 36,2% – że zarówno państwa, jak i rodziny. Niewielu uważało to za zadanie samej rodziny. Jak widać, oczekujemy, że instytucje publiczne będą co najmniej równorzędnym albo głównym podmiotem odpowiedzialnym za pomoc osobom w trudnej sytuacji materialnej. Tego typu deklaracja nie musi jednak oznaczać przyzwolenia na jakąś formę minimalnego dochodu obywatelskiego, co w pewnych kręgach jest dziś popularną koncepcją. Oczekiwanie, że to państwo będzie pomagać ubogim, może np. odnosić się do zagwarantowania pomocy finansowej i pozafinansowej tym, których sytuacja socjalna jest trudna. W Polsce różnie z tym bywa. Nawet po ostatniej weryfikacji świadczeń z pomocy społecznej i niektórych świadczeń rodzinnych progi uprawniające do poszczególnych form pomocy finansowej są o wiele niższe niż minimum egzystencji. Czy te niskie progi pomocy uzyskałyby przyzwolenie obywateli, gdyby zapytać ich o to wprost?

Mówiąc o pomocy państwa, zapewne nie należy się skupiać wyłącznie na bezpośrednim zabezpieczeniu finansowym. We wspomnianym raporcie GUS zapytano o najpotrzebniejsze formy pomocy osobom ubogim, a odpowiedzi zestawiono z podziałem na tych, którzy sami doświadczają ubóstwa, i tych, którzy go nie doświadczają. Okazało się, że różnice między obiema grupami – choć się pojawiają – nie są diametralne. Najczęściej wskazywano kolejno: pomoc w znalezieniu pracy (43,1% osób nieubogich i 49,5% ubogich), pomoc w pielęgnacji osób przewlekle chorych, niepełnosprawnych (33,1% i 29,1%), zwiększenie dostępności bezpłatnych usług medycznych (28,7% i 28,1%), pomoc w prowadzeniu gospodarstwa domowego osobom starszym (24,8% i 22,5%), a dopiero na dalszej pozycji zasiłki pieniężne (15,8% i 23,5%). Wśród innych form pomocy wskazywano dostęp do tanich mieszkań socjalnych i komunalnych, bezpłatne przedszkola i żłobki, pomoc na cele mieszkaniowe, miejsca dla dzieci, by mogły odrobić lekcje i spędzić czas wolny, zapewnienie wakacyjnego odpoczynku, stypendia na kontynuowanie nauki i wiele innych.

Niewątpliwie ten katalog odpowiedzi nie powinien być traktowany jako matryca przykładana do każdego jednostkowego przypadku. W każdej historii człowieka, który doświadczy problemów społecznych, dobór form wsparcia, jeśli ma ono być skuteczne, musiałby się odbywać w sposób zindywidualizowany. Warto zwrócić uwagę na fakt, że wśród najczęściej wskazywanych form pomocy nie było bezpośredniego wsparcia pieniężnego. Wymieniano raczej działania związane z aktywnością zawodową albo wsparciem rzeczowo-usługowym osób chorych, niepełnosprawnych i starszych. Być może jest to pewna wskazówka, gdzie obecnie występują szczególnie dotkliwe braki

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3127a0922e

Konrad Szelest
Wszystkie zbrodnie Ameryki
Krew na rękach obrońców demokracji
Wydawnictwo Penelopa, Warszawa 2018

Historia zimnej wojny to w powszechnym przekonaniu rywalizacja Wschodu i Zachodu, Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Uważa się, że miłujący pokój Amerykanie walczyli o sprawiedliwość i wyzwolenie narodów spod jarzma komunistów. Korea, Wietnam, gra szpiegowska w Europie, w Afryce. Wuj Sam zawsze stawał po stronie uciśnionych i prześladowanych. Jak w takim razie wyjaśnić tajne operacje amerykańskiego wywiadu na całym świecie, współpracę z organizacjami przestępczymi, ochronę i korzystanie z usług nazistowskich zbrodniarzy i potężnych instytucji państwa watykańskiego?

Jednym z tragicznych rozdziałów współczesnej historii są morderstwa polityczne pomiędzy rokiem 1945 a 1991. Polski generał, prezydent Stanów Zjednoczonych, papież czy indyjski premier mieli zostać zlikwidowani z polecenia tych samych osób? Brzmi jak żart, a może…

O ile zakulisowe działania Centralnej Agencji Wywiadowczej w dużej części są sprawą doskonale opisaną, o tyle wątki dotyczące udziału w zamachach na Karola Świerczewskiego czy Charles'a de Gaulle'a mogą się okazać całkowitą nowością. W rozdziałach tej książki dotyczących prób uśmiercenia Charles'a de Gaulle'a i zabójstwa Aldo Moro uwagę przykuwa bliska współpraca amerykańskich sił z ich europejskimi sojusznikami. Realizacja poszczególnych mordów politycznych nie byłaby możliwa, gdyby spiskowcy opierali się wyłącznie na własnym, amerykańskim zapleczu.

i potrzeby, wymagające pilnej i zdecydowanej interwencji państwa.

Co również ciekawe, odsetek wskazujących pomoc w znalezieniu pracy radykalnie spadł względem 2015 r. O ile wówczas tę formę wskazało 74,3% respondentów niedoświadczających biedy i 81,6% doświadczających biedy, w tym roku było to 43,1% i 49,5%. Ów spadek daje do myślenia i wymaga zarówno eksperckiej, jak i publicznej debaty. Czyżby był to sygnał, że trzeba bardziej niż dotąd brać pod uwagę te źródła i obszary biedy, które są związane nie bezpośrednio z brakiem pracy, ale z innymi wyzwaniami: starością, chorobą, niepełnosprawnością, potrzebą opieki? A może bardziej uświadamiamy sobie, że w wielu przypadkach sama pomoc w znalezieniu pracy nie wystarcza, by przezwyciężyć ubóstwo? Dziś mamy rekordowo niskie bezrobocie, mimo to wiele osób nadal żyje w biedzie, niekiedy skrajnej.

•

Przywołany raport nie wyczerpuje wiedzy na temat ubóstwa i nierówności w naszym społeczeństwie. Jest raczej impulsem do refleksji, dyskusji i działania. Przytoczone informacje należy też zestawiać z innymi źródłami wiedzy, np. tej o charakterze jakościowym, jak choćby opublikowany w grudniu raport Szlachetnej Paczki. Z opracowania GUS wyłania się natomiast wyraźna aprobata sporej części społeczeństwa dla państwa aktywnie walczącego z ubóstwem, niwelującego rozwarstwienie społeczne, zapewniającego minimum wsparcia co najmniej na równi z bliskimi osoby dotkniętej biedą. To interesujący wniosek w zderzeniu z pojawiającym się nieraz z prawa i z lewa przekonaniem, że w dobie transformacji i liberalnej ścieżki rozwoju w kolejnych dekadach nastroje społeczne będą się zwracać w kierunku myślenia, że każdy jest odpowiedzialny za własny byt, a o ewentualną pomoc powinien się zwrócić do najbliższych lub pozarządowych inicjatyw pomocowych. Po prawie 30 latach III RP wiatr oczekiwań społecznych wieje w nieco inną stronę. Jeśli jednak ma to być coś, co chcielibyśmy przekuć na konkretne, odwołujące się do realnych problemów rozwiązania, nie można uniknąć postawionych wyżej pytań. W jaki sposób państwo ma zwiększyć swoją odpowiedzialność społeczną, skąd wziąć środki na skuteczniejsze wsparcie osób ubogich i ograniczenie nierówności oraz w jakie instrumenty najlepiej inwestować w danej sytuacji?

Dr Rafał Bakalarczyk jest badaczem polityki społecznej, publicystą i działaczem społecznym, współpracownikiem fundacji Norden Centrum i OMS im. Ferdynanda Lassalle'a, redaktorem pisma „Polityka Senioralna"

LIST

Jak uzdrowić polską politykę?

Zmienić w kilku kwestiach ordynację wyborczą, począwszy od samorządowej, skończywszy na tej do Sejmu, Senatu i Parlamentu UE. Pierwsze: możliwość odwołania wybrańca przez wyborców. Drugie: przejście z jednego ugrupowania (partii, klubu) podczas trwania kadencji powoduje utratę mandatu z wyjątkiem ostatnich trzech miesięcy przed ogłoszeniem terminu wyborów. Trzecie: partie polityczne co pół roku publikują rozliczenie swoich finansów. Spóźnienie się czy brak publikacji (o brakach i błędach nie wspomnę) powoduje utratę jednej czwartej subwencji za każde uchybienie. Czwarte: W mediach publicznych każde ugrupowanie polityczne dostaje miesięczny przydział czasu antenowego (taki sam dla wszystkich). Za więcej płaci i wykazuje to w sprawozdaniu, a materiał zawiera informację o sponsorowaniu. Piąte: Politycy i samorządowcy upubliczniają dwa razy w roku w określonym terminie stan swoich majątków. Szóste: Zakaz zajmowania stanowisk w firmach podległych samorządom czy skarbowi państwa. Siódme: Ograniczenie wieku dającego możliwość startu w wyborach do wieku emerytalnego. Ósme: Diety poselskie i senatorskie ograniczone do średniej krajowej, limity na wszelakie przeloty, przejazdy itp. Dziewiąte: Zakaz zasiadania w więcej niż jednej komisji, a komisje (zwłaszcza sejmowe) pracują tylko poza czasem obrad plenarnych parlamentu.

Grzegorz Kowalczyk

eprasa.pl 3127a0922e

Oko w oko

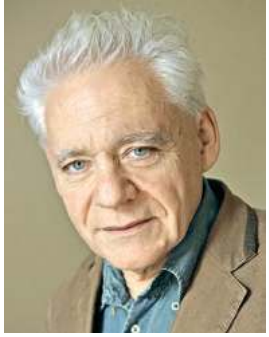

Tomasz Jastrun

DWA SŁONIE

Kiedy skończy się serial z Jarosławem Kaczyńskim w „Gazecie Wyborczej", będzie nam czegoś brakowało. Twardego elektoratu to jednak nie rusza. Gdyby były niezbite dowody, że prezes zjadł niemowlę, elektorat nadal by go kochał, gdyż uznałby, że biedak był bardzo głodny. A więc ciągle gra się toczy o te kilka procent wyborców, którzy się wahają. Rozum mówi, że są już szanse pokonania PiS, bo jest koalicja partii opozycyjnych, ale lęk przed zawodem utrudnia optymizm.

•

Wiosna Roberta Biedronia została już dokładnie wykomentowana. Czy mam tu coś do dodania? Należę do tych, którzy mają mieszane uczucia. Podoba mi się liberalno-lewicowy program partii, szczególnie w sprawach obyczajowych i dotyczących religii. Jest poza tym coś ożywczego w młodości tej partii, w jej nowoczesności. Trudno jednak nie zgodzić się z ekonomistami, że przy takich obietnicach socjalnych budżet się nie zepnie. Ale my i tak na razie nie będziemy rządzić, tłumaczą się szeptem. I to prawda. Kluczowe jest oczywiście pytanie, czy nie wchodząc do Koalicji Obywatelskiej, a nawet ją krytykując, Wiosna nie funduje następnej wiosny PiS, a nam zimy. Łatwo tu, mając dobre intencje, dokonać zbrodni politycznej.

•

Oczywiście przesadzili z pogrzebem Jana Olszewskiego. To wszystko jest częścią tworzenia alternatywnej historii. Muszą mieć swoje mity, swoich bohaterów, swoich filmowców i swoich pisarzy. Swoich dyrektorów muzeów. Na pogrzeb nie przyszedł prawie nikt ze strony liberalnej. To też wiele mówi. Zanotowałem brutalny dwugłos po pogrzebie Olszewskiego. Waldemar Kuczyński wspomina: „Patrzę na to koszmarne pogrzebowe zadęcie, z tymi słowami ociekającymi fałszem, i pamiętam, jak Mazowiecki mi mówił w maju 1992 r., Kaczyński za powrót do rozmów proponował wymienienie Olszewskiego na jego brata, a w drugiej kolejności na Jerzego Eysymontta, ale się nie zgodziłem". Lech Wałęsa: „Nocna Zmiana to fałsz, urojenia Kurskiego i popaprańców. Premier Olszewski chciał pozostać przy korycie, nie mając szans, uruchomił teczki po to, byśmy się tak podzielili". Te głosy to też znak czasu. Nie jest to dobry czas.

•

Polska dyplomacja dokonała cudu, za jednym zamachem skłóciła nas z Izraelem i z Iranem. Było ciężko, ale dali radę. Okazało się, że ta warszawska konferencja, prezent od Trumpa, to był prawdziwy koń trojański. Premier Izraela powinien osobiście swoje słowa sprostować. Nie zrobił tego. Zaraz potem Israel Katz, nowy p.o. minister spraw zagranicznych, zajął się mlekiem polskich matek. To ssanie antysemityzmu z piersi to obraz obrzydliwy, stawiający ofiary na równi z oprawcami.

Moja znajoma z Jerozolimy pisze: „Netanjahu dba o swój stołek, a zaraz wybory. Był atakowany przez prawicę i lewicę, że zgodził się na poprawkę polskiej ustawy, i dlatego atakuje teraz Polskę, chodzi mu tylko o głosy, a ten nowy minister jest jego pudlem, a poza tym głupcem. Zresztą u nas wszyscy teraz najbardziej są zajęci konkursem Eurowizji, który odbędzie się w Izraelu w maju". No właśnie, w Izraelu mało kogo interesuje „temat polski", gdy w Polsce „temat żydowski" jest tak dramatyczny, jakby w naszym kraju nadal żyło 3 mln Żydów. Tak, ale Netanjahu i jego Likud to nieszczęście dla tego kraju, jak Kaczyński dla Polski. Obaj ci fundamentaliści narodowo-prawicowi postrzegają naród jako byt niepokalany. Liberalni Izraelczycy mają wobec swojego premiera takie same emocje jak my wobec prezesa. A żydowska autodestrukcja podobna do polskiej, tylko tam ma wymiar ostateczny, ze względu na sytuację tego kraju. Dwa słonie w jednym składzie porcelany to stanowczo za dużo. Jedno pewne – w Polsce z głupoty skutecznie rozmontowano gmach relacji polsko-żydowskich. Izrael w tym pomógł. A polskim antysemitom zafundowano ucztę. Mają czym się obżerać przez lata. Tysiące wpisów w internecie aż pulsuje od antysemityzmu, wiele w stylu hitlerowskim. Jakby rzesza ludzi pracowała w pocie czoła, by potwierdzić, że Katz miał jednak rację.

Polska dyplomacja dokonała cudu, za jednym zamachem skłóciła nas z Izraelem i z Iranem.

By załagodzić w puencie złe emocje, zacytuję pisarza Amosa Oza. Gdy rozmawiałem z nim przed laty, powiedział mi: „Byliśmy małżeństwem przez tysiąc lat, nie było szczęśliwe, chociaż zdarzały się lepsze i gorsze okresy. To małżeństwo skończyło się wielką tragedią dla Żydów i dla Polaków, ale są z tego dzieci, żydowskie geny w polskiej kulturze i polskie geny w naszej żydowsko-izraelskiej kulturze. Warto dbać o te geny".

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3127a0922e

DRENOWANIE FUNDUSZY CELOWYCH

Rząd z premedytacją wykorzystuje Fundusz Pracy do finansowania pomysłów legislacyjnych, na które nie znajduje pokrycia w budżecie

Bogdan Grzybowski

Do funduszy celowych zaliczamy m.in. Fundusz Pracy i Fundusz Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Główne zadanie Funduszu Pracy to przeciwdziałanie bezrobociu oraz wypłata zasiłków dla osób bezrobotnych. Plan Funduszu Pracy na 2019 r. został ustalony przy założeniu, że wysokość obowiązkowych składek wynosić będzie 2,45% podstawy ich wymiaru. Przychody funduszu w 2019 r. zaplanowano na ponad 13,75 mld zł (w tym składki od pracodawców – 12,3 mld zł).

Zgodnie z zapisami art. 108 Ustawy o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy fundusz ten powinien być przeznaczony na aktywizację zawodową, łagodzenie skutków bezrobocia oraz promocję zatrudnienia. Ponieważ od kilku lat następuje systematyczna poprawa na rynku pracy i rośnie przeciętne zatrudnienie w gospodarce narodowej, czemu towarzyszy istotny spadek stopy bezrobocia, na koncie Funduszu Pracy powstały pewne oszczędności. I choć jest to fundusz celowy, rząd z premedytacją wykorzystuje jego środki do finansowania pomysłów legislacyjnych, na które nie znajduje pokrycia w budżecie. W 2019 r. zaplanowano pokryć z Funduszu Pracy koszty rozwoju instytucji opieki nad dziećmi w wieku do trzech lat (200 mln zł) i dopłaty do pracowniczych planów kapitałowych (600 mln zł), a także sfinansować wsparcie kobiet w ciąży i rodzin w ramach programu „Za życiem" (10 mln zł). Natomiast z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych postanowiono sfinansować koszty związane z wynagrodzeniami lekarzy rezydentów, z realizacją staży podyplomowych oraz specjalizacjami lekarzy, lekarzy dentystów, pielęgniarek i położnych w kwocie ponad 2,2 mld zł czy wynagrodzenia i składki za młodocianych pracowników w kwocie 337,5 mln zł.

Tego typu wydatkowanie środków z funduszy celowych niepokoi Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, na co wiele razy zwracaliśmy uwagę w trakcie posiedzeń zespołów problemowych Rady Dialogu Społecznego. W przypadku Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych sygnalizowaliśmy, że pieniądze są odkładane przez pracowników na inny cel (gwarancje płacowe na wypadek bankructw firm), ale – jak się okazuje – nie ma to dla rządu żadnego znaczenia. W wyniku jego decyzji w ciągu dwóch lat (2018-2019) z FGŚP zostanie wydrenowanych 4,6 mld zł. Na koniec przyszłego roku będzie w nim już tylko 0,64 mld zł wolnych środków. To kwota, która wystarczy na wypłaty pensji dla pracowników upadających firm, jeśli utrzyma się obecna sytuacja ekonomiczna. W razie kryzysu pieniędzy może zabraknąć. A już dzisiaj wiele wskazuje, że od przyszłego roku czeka nas pogorszenie koniunktury.

Natomiast jeżeli chodzi o Fundusz Pracy, nie możemy się doprosić, aby wysokość zasiłków dla bezrobotnych spełniała choć minimalne normy zabezpieczenia społecznego określone w Europejskiej karcie społecznej. OPZZ od wielu lat wskazuje, że Polska nie realizuje postanowień Europejskiej karty społecznej dotyczących zasiłku dla bezrobotnych, którego minimalny poziom wskazywany jest w Konwencji nr 102 MOP. OPZZ nie może tolerować sytuacji, że w Polsce natychmiast wprowadzane są tylko te umowy międzynarodowe, które przynoszą oszczędności budżetowi państwa. Inne są ignorowane i odsuwane w czasie.

To celowa strategia, która prowadzi do systematycznej degradacji praw pracowniczych i społecznych, na co zwraca uwagę w raporcie opublikowanym 29 stycznia 2014 r. Komitet Niezależnych Ekspertów (zwany także Europejskim Komitetem Praw Socjalnych). W dokumencie tym stwierdzono wyjątkowo dużą liczbę naruszeń Europejskiej karty społecznej, którą nasz kraj podpisał w 1997 r. W obszarze związanym z rynkiem pracy wytknięto Polsce dwie nieprawidłowości: niskie zasiłki dla bezrobotnych oraz skrócenie czasu ich pobierania z 18 do 6 miesięcy.

W Polsce natychmiast wprowadzane są tylko te umowy międzynarodowe, które przynoszą oszczędności budżetowi.

Nie możemy też się doczekać znacznego zwiększenia środków na podnoszenie kwalifikacji pracowników. Polski rynek pracy cierpi z powodu luki kompetencyjnej, która wynika zarówno z niedostatków systemu edukacji, jak i z niskiej aktywności szkoleniowej osób pracujących. Luka ta staje się coraz dotkliwsza wraz z rosnącym poziomem zatrudnienia, zmniejszającym się bezrobociem i coraz większymi trudnościami pracodawców z przeprowadzeniem satysfakcjonujących procesów rekrutacyjnych. Luka kompetencyjna dotyka także pracowników, ograniczając ich możliwości rozwoju zawodowego, znalezienia pracy czy podnoszenia jakości i dochodów z pracy. Dlatego efektywne i skuteczne funkcjonowanie oraz rozwój Krajowego Funduszu Szkoleniowego są coraz bardziej potrzebne. OPZZ od dłuższego czasu domaga się wydatkowania wspomnianych funduszy celowych na cele zapisane w ustawie. Zgodni z nami są także pracodawcy. Liczymy na to, że w przyszłych projektach budżetowych rząd zahamuje swoje zapędy w drenowaniu tych istotnych dla świata pracy funduszy.

Bogdan Grzybowski jest dyrektorem Wydziału Polityki Społecznej, Rynku Pracy, Ubezpieczeń i Zdrowia OPZZ

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3127a0922e

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

KRESY

W „Polityce" (4/2019) ciekawy artykuł Daniela Korbela przypominający ośmiodniową (23-30.01.1919) wojnę polsko-czeską o Śląsk Cieszyński. Tu i ówdzie pokazały się małe wzmianki na ten temat. Nieco wcześniejszą rocznicę, 2 października 1938 r., kiedy to Polska wbijała nóż w plecy Czechom, „przywracając macierzy" Zaolzie, dość dokładnie przemilczano, ale nie z tego, miejmy nadzieję, względu, że ona nieco haniebna, tylko po prostu mniej okrągła. Niestety, znacznej części Polaków z tymi właśnie militarnymi wydarzeniami Zaolzie i cały Śląsk Cieszyński najbardziej się kojarzą. Szkoda. Jest to bowiem kawałek ziemi o specyficznej i wyjątkowo pięknej historii. Trochę smaku miejscowego liznąłem, bo mama mojej pierwszej żony, Maryna Kobzdej, miała w Wiśle dom, do którego często z Kasią przyjeżdżałem.

Zacznijmy od tego, że naprawdę rzadko się zdarza, by tak mały region wydał tylu wybitnych ludzi. Dzisiaj znamy wszyscy Jerzego Pilcha (Marek Pilch, sędzia narciarski, też stamtąd), Adama Małysza, Michała Kempę. Za naszej pamięci umarli: Gustaw Morcinek, operator filmowy Karol Chodura (m.in. „Zakazane piosenki", „Piątka z ulicy Barskiej"), Józef Pieter – pedagog, psycholog, współtwórca Uniwersytetu Śląskiego. Wspomnieć też muszę Jana Sarnę, najbardziej pechowego piłkarza w dziejach krakowskiej Wisły. Zadebiutował w 1936 r. w meczu z Ruchem Chorzów (Ruchem Hajduki Wielkie). W ósmej minucie, gdy szarżował na bramkę przeciwnika, rzucił mu się pod nogi hajducki bramkarz Tatuś. Efekt: otwarte złamanie podudzia i zerwanie wiązadeł. Niecałe osiem minut na szczytach. Do sportu nigdy już nie wrócił.

Wcześniej etnografowie Andrzej Cinciała i jego zięć Jan Stanisław Bystroń, socjaliści Tadeusz Reger i Ryszard Kunicki, Paweł Bobek – poseł z PSL „Piast", patriotyczny działacz katolicki Karol Miarka i protestanccy Jan Traugott Bartelmus, Karol Samuel Schneider, Oskar i Franciszek Michejda, malarz Kascha vel Kasza, malarz i architekt Ignacy Chambrez, historyk Józef Londzin czy, jeszcze głębiej w studni wieków – nie wzmiankując nawet o Cieszce, który w roku 810 (*sic!*) spotkał się z Mieszkiem i Bolkiem przy Studni Trzech Braci) – pieśniarz Jerzy Trzanowski (1592-1637), kasztelan Mikołaj Rucki (zm. 1658), rycerz Czelo z Czechowic i Heinel Genel, kotlarz niezrównany. Wszyscy oni z życiorysami złożonymi i barwnymi. Pierwszy z brzegu – jezuita Leopold Jan Szersznik. W 1790 r. według własnych planów architektonicznych odbudował spalony kościół, był bibliofilem i kolekcjonerem osobliwości wydawniczych, badaczem regionu, a do tego hobbystą broni palnej, co zaowocowało założeniem przezeń w 1798 r. strzelnicy dla Cieszyńskiego Towarzystwa Strzeleckiego. Albo wspomniany już Jan Stanisław Bystroń – profesor uniwersytetów w Poznaniu, Krakowie i Warszawie, którego „Megalomania narodowa" obraża do dzisiaj narodowy ciemnogród. Przy okazji: w 1698 r. słynny piwowar z Cieszyna, Żyd Jakub Zyngier, wziął w arendę żywieckie browary i gorzelnię. Miejscowi, oburzeni taką ekspansją „nieprzyjaciół wiary świętej katolickiej", głosić natychmiast zaczęli, że jego piwo powoduje choroby, a Jurek Wróbel, młynarz stary spod Łyski, i Mateusz Kalfas z Milówki wręcz od niego pomarli. 29 października 1715 r. „ućciwy Aleksander Pawełkowic, mieszczanin i rzeźnik żywiecki", widział na własne oczy, że mały diabełek był w szklance żydowskiej gorzałki. Na takie *dictum*, wiedząc, czym to w Żywcu pachnie, przezorny Zyngier zrezygnował z arendy i wrócił do Cieszyna ku zadowoleniu jego mieszkańców i swojemu własnemu.

Miał rację. Cieszyńskie było przez wieki, w porównaniu z sąsiadami, rzeczywistą oazą tolerancji i swoistego kosmopolityzmu. Józef Pieter wspomina Skoczów (miasto rodzinne kontrreformacyjnego patrona, bł. Jana Sarkandera, a więc teoretycznie skazane na fanatyzm) z pierwszych dziesięcioleci XX w.: „Narodowościowo i wyznaniowo skoczowianie stanowili mieszaninę Polaków i Niemców; katolików, ewangelików, izraelitów i sabatystów (a byli także rodowici Czesi i Cyganie – LS). Zdecydowana większość mieszkańców mówiła na co dzień i w domu po polsku, ściślej – »po naszemu«, tj. gwarą, przypominającą język Wujka i Reja, z naleciałościami niemieckimi i czeskimi (morawskimi). Nie znaczy to, że przyznawała się do polskości; raczej – do narodowości »austriackiej«". Infrastruktura była przeważnie w rękach Niemców, ale „przy dość dużej konkurencji klienci, niezadowoleni z obsługi lub z aroganckiej na polu językowym postawy kupca czy restauratora, mogli zmienić lokal, co właścicieli uderzało po kieszeni". Starano się więc dostosowywać do innych. Nawet religijni Żydzi „na co dzień ubierali się zwyczajnie, tj. jak inni mieszkańcy Skoczowa. Tak zwanych chałaciarzy w Skoczowie nie widywałam". Natomiast w dni swoich świąt przywdziewali „specyficzny strój Żydów skoczowskich". W tej wieży Babel stwierdzenie, że Polak równa się katolik, czy judzenie na którąkolwiek grupę etniczną, religijną bądź językową musiało się spotkać z całkowitym niezrozumieniem. Czy ktoś pamięta, że Jerzy Pilch lub Adam Małysz są ewangelikami? Nie, bo ich własne środowisko nigdy nie dyskryminowało ani nie wytykało narodowymi paluchami. Doprawdy zadziwiający jak na Polskę światek.

Czemu o tym piszę? Nie dlatego, by wyjaśnić, dlaczego tę ziemię szczególnie lubię, bo nikt ode mnie takich tłumaczeń nie wymaga. Ileż razy słyszałem natomiast wyrzekania na utratę wielokulturowych Kresów. A tutaj niby co? Przez europejski most z Czech do Polski i odwrotnie. Zresztą po obu stronach i Czesi, i Polacy, a potomków Niemców też się odnajdzie; katolicy, ewangelicy... Przy czym, co jak co, ale na pewno ani pagórków leśnych, ani łąk zielonych, ani pól malowanych zbożem rozmaitem nie zabraknie. Dziwna ta Polska, która chwali się zabyteczkami, jakich we Francji tysiące, a o tym, że nadal ma urocze kresy, tak łatwo zapomina, choć może pamięć o tym dziś bardziej niż kiedykolwiek by się przydała.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3127a0922e

SZPIEG, KTÓRY PODSŁUCHUJE KAŻDEGO Z NAS

„Echelon" jest najpotężniejszym systemem podsłuchowym, obejmującym cały świat. Analizuje rozmowy telefoniczne, SMS-y, mejle, wypłaty z bankomatów, wszystko, co przeglądamy w sieci

Rozmawia Krzysztof Pyzia

BRUNO KOWALSKY

– polski szpieg, który nigdy nie zdecydował się ujawnić imienia i nazwiska, a nawet wystąpić publicznie. Ma na koncie pracę w służbach specjalnych w różnych krajach

Wieść niesie, że „Echelon" to superszpieg, który podsłuchuje każdego z nas, choć większość Polaków nic o tym nie wie. Co ty wiesz na temat „Echelonu"?

– Pierwszy raz usłyszałem o nim w trakcie jednego z moich pobytów za granicą. Darujmy sobie miejsce, to akurat musi pozostać tajne. To był czas, kiedy w Polsce jeszcze mało kto słyszał o „Echelonie". Zresztą do dziś na jego temat wiadomo bardzo niewiele.

Zacznijmy od wyjaśnienia, co to jest „Echelon".

– Najprościej tłumacząc, „Echelon" jest najpotężniejszym systemem podsłuchowym, obejmującym cały świat. To amerykański superszpieg, który analizuje rozmowy telefoniczne, SMS-y, mejle, billingi, wypłaty z bankomatów, cały ruch internetowy, wszystko to, co przeglądamy w sieci. Według moich informacji „Echelon" analizuje ok. 3 mld tego typu komunikatów na dobę! Superwydajne komputery mają zainstalowane słowniki, by na bieżąco tłumaczyć podsłuchiwane wiadomości, dokonywać selekcji i wyłapywać to, co wydaje się najciekawsze. Wyłapują komunikaty, które mogą być powiązane z organizacją zamachów terrorystycznych, morderstw politycznych, wielkoskalowej korupcji, działań karteli narkotykowych itp. Później te dane biorą pod obróbkę analitycy i dopiero oni wybierają to, co ich zdaniem jest najcenniejsze. Wstępu do siedziby „Echelonu", położonej w USA – nieprzypadkowo nazywanej Kryptocity – strzegą groźne psy, zasieki z drutu kolczastego i najwymyślniejsze zabezpieczenia, m.in. system rozpoznawania twarzy i odcisku palca.

Za tym superszpiegiem stoją tylko Amerykanie?

– Niekoniecznie tylko oni. W 1946 r. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania podpisały tajny układ dotyczący współpracy, nazwany UKUSA. W kolejnych latach dołączyły Kanada, Australia i Nowa Zelandia. Tym sposobem powstała grupa zwana „Five Eyes", czyli w wolnym przekładzie „Pięcioro Oczu". Pakt miał jeden cel. Stworzenie jednolitej, globalnej jednostki śledzącej i szpiegującej wszystko, co się da. Takie były początki superszpiega „Echelon". Dalej, w 1952 r., ówczesny prezydent USA powołał NSA, czyli Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. (…) Budżet NSA jest podobno wyższy niż budżet CIA i FBI razem wziętych. Nic dziwnego. Ponoć w samym amerykańskim oddziale NSA pracuje blisko 40 tys. osób, a i trzeba mieć budżet na nowe technologie. Wszak technika, którą oni dzisiaj testują, do naszych domów trafi dopiero za kilka, a może nawet kilkadziesiąt lat! (…)

„Echelonem" ponoć zarządzają dzisiaj właśnie ludzie z amerykańskiego wywiadu NSA! Choć oczywiście każde z pozostałych czterech państw może wrzucić tam swoje trzy grosze, podając słowa kluczowe, na które ma być wyczulony ten elektroniczny superszpieg. Czyli np. Wielka Brytania może zażyczyć sobie monitowania słów „Jarosław Kaczyński" i „premier Wielkiej Brytanii", by sprawdzać, co szef PiS będzie mówił w kontekście szefa albo szefowej rządu Wielkiej Brytanii. Oczywiście mogą też być inne wątki. Ot choćby przywołana tu Wielka Brytania może podsłuchiwać Argentynę, by się dowiedzieć, czy aby znów nie roszczą tam sobie praw do brytyjskich Falklandów, i wysłać zawczasu flotę.

Gdybyśmy mieli rozłożyć na czynniki pierwsze tego superszpiega, to co jest jego okiem i uchem?

– W skład „Echelonu" ma wchodzić ok. 10 stacji nasłuchowych rozsianych po całym świecie. Do tego dochodzi sześć satelitów telekomunikacyjnych i kilka satelitów szpiegowskich. To wszystko tworzy największego szpiega na świecie, który działa, by wiedzieć wszystko o wszystkich (…). Największa stacja nasłuchowa znajduje się w północnej Anglii, niedaleko miejscowości Harrogate. Oficjalnie leży na terenie bazy wojskowej Wielkiej Brytanii, ale część terenu jest dzierżawiona stronie amerykańskiej. Dzięki niej można podobno szpiegować wszystkich w UE.

Według raportu BBC „Echelon" może dzisiaj kontrolować nawet 90% całego ruchu internetowego.

09-48-51_przedruk_szpieg.indd 48 eprasa.pl 27a0922e 2019-02-22 21:37:52

Czyli Polaków również.

– Nie mam co do tego większych wątpliwości. Ten system szpieguje wszystkich, prawdopodobnie również Polaków. Zresztą potwierdziły to tajne dokumenty ujawnione przez Edwarda Snowdena, z których wynikało, że tylko w 2012 r. kontrolowano przez ten system od 2 do 4 mln komunikatów dziennie z samej tylko Polski! Zresztą mówiło się o tym, że planowana operacja umieszczenia tarcz rzekomo antyrakietowych w Polsce i Czechach miała mieć drugie dno w postaci zwiększenia zasięgu właśnie „Echelonu" i lepszego nasłuchu terytorium rosyjskiego! Poza tym co jakiś czas pojawiają się plotki, że jeden z ośrodków nasłuchowych ma być ukryty gdzieś na Warmii czy Mazurach albo i w przykabackich Pyrach, które awansowały na osiedle stołecznego Ursynowa.

W każdej plotce zwykle jest ziarno prawdy.

– Przypominam, że Warmia i Mazury to cenne tereny dla naszych służb. Coś w tym może być. Ale twardych dowodów nie mam, dlatego nie będę się nad tym rozwodził. Wiem natomiast, że nasze „prywatne" mejle na pewno zostały przez stosowne służby przeczytane. Zresztą pewnie „oni" już są po lekturze naszej książki, jeszcze nim została wydana.

Przecież zabezpieczałem ją hasłem.

– Takie zabezpieczenie może być skuteczne jedynie wobec małych dzieci. Pamiętaj, że jedna z teorii zakłada, że wiodące firmy *software* celowo zostawiają w swoich produktach luki, pozwalające na inwigilację oprogramowania. To powszechna praktyka. Pamiętam, niedawno instalowałem jakąś popularną aplikację na swoim komputerze. Nim kliknąłem „instaluj", zrobiłem coś, czego zwykle się nie robi, czyli przeczytałem umowę licencyjną. I co wyczytałem? Jeden z paragrafów zakładał, że wyrażam zgodę na to, by bez mojej wiedzy producent mógł robić *upgrade*. Nie trzeba tutaj chyba nic dodawać. A co do naszych kontaktów, powiem ci, że gdybyśmy, zamiast rozmawiać, pisali SMS-y, to już dawno by je czytali. Wszystko przez to, że w naszych wiadomościach używaliśmy wrażliwych słów, takich jak „bomba", „podsłuch", „terroryści", „szpieg". Jak to się mówiło w PRL, nie wierzycie – sami sprawdźcie, poesemesujcie sobie z kimś o „bombach", a „Echelon" z pewnością was namierzy i przeczyta, jakie to sekrety kryje wasza komórka.

Ten system szpieguje wszystkich, również Polaków.

***À propos* telefonów komórkowych. Kilka lat temu było głośno o dziennikarzach niemieckiego „Der Spiegel", którzy twierdzili, że Amerykanie podsłuchiwali m.in. prywatny telefon Angeli Merkel. Sprawę skomentował rzecznik niemieckiego rządu, podtrzymując te oskarżenia.**

– Pamiętam. I co zrobili Amerykanie? Biały Dom wydał oświadczenie, w którym zaprzeczył wszystkiemu, a prezydent USA Barack Obama zapewnił kanclerz Angelę Merkel, że USA jej połączeń nie kontrolowały, nie kontrolują i nie będą robiły tego w przyszłości. Ot, typowe działanie służb specjalnych, w myśl którego nawet jeśli złapią cię na kradzieży za rękę, mów, że to nie twoja ręka. Poza tym Amerykanie mieli też podsłuchiwać byłego kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera, nawet gdy przestał być kanclerzem i pracował już dla Gazpromu. Pisał o tym niemiecki dziennik „Bild am Sonntag", powołując się na źródła powiązane z amerykańskimi służbami specjalnymi.

Wcale mnie to nie dziwi, w końcu ręka rękę myje. Gerhard Schröder chwilę przed opuszczeniem fotela kanclerza Niemiec podpisał przecież z Rosją umowę dotyczącą budowy Gazociągu Północnego. Co więcej, zaraz po zakończeniu pełnienia funkcji rządowej zajął istotne stanowisko w radzie nadzorczej konsorcjum Nord Stream, budującego ten gazociąg. A jeśli chodzi o Amerykanów i światowych przywódców, to nie koniec. Prezydent Obama musiał się tłumaczyć prezydentowi Francji François Hollande'owi, po tym jak dziennikarze „Le Monde" ujawnili, że między 10 grudnia 2012 r. a 8 stycznia 2013 r. amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) nielegalnie nagrała 70 mln rozmów telefonicznych prowadzonych we Francji, nie wspominając już o SMS-ach. Wierzysz w to?

– To nie jest kwestia wiary, ale logiki i wiedzy. Jeszcze nie tak dawno jednym z konsultantów amerykańskiego wywiadu był Edward Snowden i wiele doniesień było przez niego potwierdzanych, m.in. te o podsłuchiwaniu Francuzów. Snowden ujawnił konkretne dokumenty. Co więcej, „Le Monde" opisał jedną z metod podsłuchiwania stosowanych przez amerykańską Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, mającą na celu zdobywanie sekretów, ale i opracowanie profilu psychologicznego podsłuchiwanych Francuzów.

09-48-51_przedruk_szpieg.indd 49 eprasa.pl/27a0922e 2019-02-22 21:37:58

Zasada była prosta. Polegała ona na wybieraniu numerów telefonicznych, które aktywowały sygnał odebrania połączenia i automatycznie rozpoczynały nagrywanie rozmów. Do tego inwigilowano SMS-y na podstawie słów kluczowych. Oczywiście NSA zapisywała historię połączeń podsłuchiwanych osób. Cała afera zresztą nie tyczyła się tylko Francji. Przecież z powodu inwigilacji obcokrajowców przez USA wizytę w Białym Domu odwołał prezydent Brazylii, a kolejne rewelacje Snowdena dobitnie pokazały, że Amerykanie prawdopodobnie podsłuchiwali nie tylko europejskich polityków, ale i prezydenta Meksyku czy pracowników centrali ONZ.

To nie wszystko, NSA inwigilowała, znów nad Sekwaną, sektor gospodarki, i dziwnie ich interesowała branża motoryzacyjna, zwłaszcza największe koncerny. Co więcej, WikiLeaks przekonywało, że od 2002 r. przez następne 10 lat NSA miała śledzić rozmowy wszystkich firm francuskich, których umowy i transakcje przewyższały 200 mln dol. Częścią tych informacji Amerykanie mieli się dzielić z Kanadą, Nową Zelandią, Australią i Wielką Brytanią, czyli z najbliższymi sojusznikami.

Co na to Amerykanie?

– Dyrektor amerykańskich służb wywiadowczych James Clapper twierdził, że USA zbierają tylko informacje, by chronić własne interesy. Oficjalnie chodzi oczywiście o walkę z terroryzmem. A nieoficjalnie? Po co podsłuchuje się ludzi biznesu i polityki? Tu wchodzimy na grunt wywiadu gospodarczego.

Ale na to nie ma żadnych dowodów.

– I tak, i nie. Przede wszystkim Parlament Europejski potwierdził, że istnieje „Echelon", chociaż dotychczas nigdy do tego władze amerykańskie oficjalnie się nie przyznały. W parlamencie powstała 36-osobowa specjalna komisja do zbadania działalności „Echelonu". Członkowie polecieli do Ameryki, gdzie mieli zaplanowane spotkania w NSA, czyli w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Dziwnym trafem do wizytacji NSA nie doszło, bo zaplanowane spotkania zostały odwołane przez rząd USA. Ale wizytatorów nie pozostawiono samym sobie. Ktoś się z nimi spotkał i zapewnił, że NSA działa zgodnie z prawem, według demokratycznych zasad i pod pełnym nadzorem Kongresu. (…) 5 września 2001 r. ukazał się na ten temat specjalny raport, zawierał m.in. sugestie, że część działań „Echelonu" powinno się zakwalifikować jako szpiegostwo przemysłowe. To by też potwierdzało inną aferę wokół „Echelonu", którą można by właśnie tak zakwalifikować… Chodziło o to, że jeden z największych koncernów zbrojeniowych na świecie dzięki informacjom pozyskanym z „Echelonu" mógł wygrać przetarg na dostarczanie systemów radarowych dla Brazylii. W grę wchodził sprzęt wart ok. 1,5 mld dol. – niebagatelna sumka. Tym sposobem miała wygrać amerykańska firma zamiast konkurencyjnej z Francji, która – bo oczywiście pojawił się kontrolowany przeciek – miała Brazylijczykom przy okazji wręczać łapówki. Ale czy naprawdę wręczali, wie tylko „Echelon".

Kopuły systemu „Echelon" w Bad Aibling w Niemczech.

Spójrzmy na „Echelon" z drugiej strony. Czyli na jego pozytywy. O ile jesteś w stanie je wymienić.

– Oczywiście, że tak. Jest pewne doniesienie na temat francuskiego Airbusa. Chodzi o to, że „Echelon" miał się przyczynić do bezpośredniego rozwiązania kontraktu z Arabią Saudyjską na samoloty Airbus, wartego 6 mld dol. Dzięki „Echelonowi" na światło dzienne miały wyjść informacje o tym, że podobno pracownicy Airbusa proponowali łapówki urzędnikom z Arabii Saudyjskiej w zamian za wygranie przetargu. (…)

To, co mówisz, brzmi, jakby było żywcem wyciągnięte z filmu szpiegowskiego. Jak w takim razie można chronić się przed „Echelonem"?

– Oczywiście zaleca się szyfrowanie poczty elektronicznej. Jeśli używać telefonów, to tylko tych zaszyfrowanych. Ale… Czy ktoś dzisiaj korzysta z takich technicznych cudeniek? Na pewno polski premier ma taki telefon. Pytanie, czy w ogóle zrezygnował z używania prywatnej komórki. Raczej nie, a to już daje duże pole do popisu „Echelonowi". Zresztą skoro budżet i liczba pracowników jest tajna, to nie wierzę, że możemy się przed nimi uchronić. Podobno komputer jest bezpieczny w 99% dopiero wtedy, gdy nie jest podłączony do internetu i, co więcej, gdy nigdy do internetu podłączony nie był. Który normalny komputer chociaż raz w życiu nie był podłączony do sieci? Ile takich maszyn znajdziemy, jakieś oldskulowe commodore czy atari z lat 80., które dożywa na strychu swych dni? Co więcej, według raportu BBC „Echelon" może dzisiaj kontrolować nawet 90% całego ruchu internetowego. Nie da się przy tak wysokiej kontroli uciec od inwigilacji. Zresztą przy okazji mam jeszcze kilka ciekawych informacji dotyczących właśnie „Echelonu". Wyobraź sobie, że w 1993 r. podobno prezydent Bill Clinton nakazał swoim służbom, czyli CIA i NSA, by przed jakąś konferencją w Seattle zainstalować w ponad 300 pokojach hotelowych aparaturę podsłuchową. Dzięki temu udało mu się zyskać cenne informacje. Jakie? Już tłumaczę.

Chodziło o negocjacje dotyczące kontraktów na wydobycie ropy naftowej i budowę elektrowni wodnych w Wietnamie. Co do tego miał demokratyczny prezydent spod gwiaździstego sztandaru? Tak się przypadkiem złożyło, że o te kontrakty starały się firmy, które w poprzednich wyborach wspierały finansowo Partię Demokratyczną, tę samą, której przedstawicielem był wspomniany Clinton… Oczywiście mógł być to tylko dziwnym trafem przypadek.

Wybacz, ale brzmisz jak wyznawca jakiejś zaraźliwej teorii spiskowej, a co więcej – zaczynam ci wierzyć.

– Chcesz więcej, proszę bardzo. Opowiem ci o czymś, co jest nazywane Świętym Graalem Inwigilacji,

09-48-51_przedruk_szpieg.indd 50 eprasa.pl 27a0922e 2019-02-22 21:38:03

a we wszystko było zamieszane polskie SB.

Zamieniam się w słuch.

– To miano, Święty Graal Inwigilacji, wzięło się nieprzypadkowo. Otóż są tacy, którzy twierdzą, że system globalnego monitoringu w ogóle nie istnieje, jak nigdy miał nie istnieć kielich, w który zebrano krew Chrystusa. Choć w obliczu dokumentów Kongresu USA na temat systemów inwigilacji ja co do tego nie mam wątpliwości, że wszystko jest prawdą. Mianowicie chodzi o tajny system, który był nazwany „PROMIS". Został on wykreowany w latach 70. na wyraźne życzenie Departamentu Sprawiedliwości. Twórcą „PROMISA" miał być ekspracownik NSA, czyli agencji, która dzisiaj zarządza „Echelonem".

Czym zajmował się ów „PROMIS"?

– Potrafił śledzić ludzi na całym świecie. To nawet dzisiaj wydaje mi się trudne do wyobrażenia, ale już wtedy było możliwe. Jak by ci to najprościej wytłumaczyć? Hm… Wiem! Wyobraź sobie, że przeprowadziłeś się z Warszawy do Krakowa do znajomych. W tym momencie w twoim byłym warszawskim mieszkaniu – jeżeli zakładamy, że wyprowadziłeś się tylko ty – zmniejsza się ilość wody, za to w krakowskim u przyjaciół zwiększają się wydatki o podobną kwotę. Tak samo jest z prądem i gazem. To trochę uproszczony schemat, ale właśnie na takich obliczeniach opierał się „PROMIS". Później rozpętała się afera. Twórca programu wydzierżawił go tylko Departamentowi Sprawiedliwości, ten złamał warunki umowy i zaczął go nielegalnie kopiować. W końcu zaczęły z niego korzystać inne państwa świata, nawet te dość egzotyczne jak RPA czy Gwatemala.

Wspominałeś o polskim wątku. Co z nim?

– Otóż ten program był wykorzystywany przez polską bezpiekę. Korzystać z niego miały też chociażby Irak, Jordania, Syria, Turcja, Brazylia, Kolumbia, Chile, a nawet Kanada, Australia i Wielka Brytania. Podobno Sowieci korzystali z tego tajnego programu jeszcze w 1991 r.! I najlepsze na koniec. Powszechnie znana w środowiskach wywiadowczych wieść niesie, że „PROMIS" zostawił pewną furtkę. Otóż dzięki niemu i wsparciu izraelskich służb specjalnych istniała możliwość niewykrywalnego włamania się do każdego komputera, na którym był zainstalowany ten program. Warunki były dwa. Komputer musiał być połączony z internetem, a poza tym trzeba było wpisać sekretne hasło. Tym sposobem Amerykanie mogli wpuścić razem z Izraelem inne służby w maliny. Podrzuciły im program, który był współczesnym koniem trojańskim. Z zewnątrz wydawał się świetnym wsparciem, a w środku czekała niemiła niespodzianka.

Dzisiaj pewnie są stosowane podobne numery. Potrzebujemy tylko czasu, żeby ujrzały światło dzienne.

– Z dokumentów, które ujawnił Edward Snowden, jasno wynika, że giganci internetowi zgodzili się przekazywać informacje władzom. Chodzi o takie firmy, jak Google, Yahoo, Facebook, Skype, YouTube, Microsoft czy Apple, które jako ostatnie podpisało porozumienie. Chodzi o system „PRISM".

O jakich danych mówimy?

– Chodzi np. o treść naszych wiadomości na Facebooku czy mejli wysyłanych z kont gmail.

Poza Snowdenem ktoś to potwierdził?

– Nie zaskoczę nikogo, mówiąc, że nikt wprost tego nie potwierdził. Jedynie jakiś dyrektor wywiadu odniósł się do tej rewelacji, wskazując nieścisłości, co przecież oznacza w praktyce, że potwierdził istnienie tego systemu! Ale co tu potwierdzać? Wystarczy szerzej otworzyć oczy. Taka statystyka, jakże przydatne narzędzie. Otóż 87% telefonów na świecie korzysta dziś z darmowego systemu operacyjnego Android. To, że on jest bezpłatny, to nie przypadek. Ostatnio pojechałem do sklepu, w którym zazwyczaj robię zakupy. Wziąłem telefon. Funkcja lokalizacji nie była włączona po ostatnim użytkowaniu nawigacji. Pojechałem do sklepu bez jej włączania. Zrobiłem zakupy, wróciłem i co widzę? Telefon rozpoznał, gdzie pojechałem, mimo że nie szukałem w internecie żadnej informacji o tym sklepie ani nie wklepywałem jego adresu! Co więcej – telefon pokazał komunikat: „Oceń sklep", wyobrażasz sobie? Za darmo wystawiamy się im jak na strzelnicy, podajemy najcenniejsze informacje dosłownie na tacy. Wiedzą o nas wszystko – gdzie robimy zakupy, gdzie mieszkamy, ile czasu spędzamy w pracy.

Podobnie jest z popularnymi *cookies*, czyli ciasteczkami, które zapisują ślady naszej aktywności w internecie.

– Jeżeli będziemy szukać w sieci z dwumiesięcznym wyprzedzeniem biletów lotniczych dajmy na to do Portugalii, to niech nas nie zdziwi, gdy powiedzmy za tydzień wznowimy poszukiwania… że wycieczka nam zdrożała. Trik polega na tym, że strona, przez którą szukamy biletów na naszym komputerze, odczytuje te ciasteczka i wie, że już szukaliśmy biletów, czyli jesteśmy nimi zainteresowani. Właśnie dlatego daje nam wyższą cenę niż na innej maszynie, na której dotychczas nikt nie szukał biletów do Portugalii w okazyjnej cenie.

Na szczęście przed ciasteczkami można się uchronić.

– I wcale nie jest to skomplikowane. Wystarczy je wyłączyć. Możemy też przestawić przeglądarkę na tryb *incognito* lub tryb prywatny, będzie spokój z ciasteczkami i śledzeniem historii odwiedzonych stron. Ale coś za coś, w trybie *incognito* każde odwiedzenie np. Facebooka przypłacimy wymuszonym logowaniem, każdorazowym mozolnym wklepywaniem nazw użytkownika i haseł, to bowiem właśnie za sprawą tych ciasteczek komputer pamięta nasze preferencje, dane, witryny itp. Mimo wszystko nikt w internecie nie jest anonimowy, a co za tym idzie, bezkarny. O tym musimy pamiętać.

Tylko w 2012 r. kontrolowano przez „Echelon" dziennie od 2 do 4 mln komunikatów z samej tylko Polski!

Fragmenty książki *Ile oni wiedzą o tobie. Szpiedzy i podsłuchy w Polsce*, Bruno Kowalsky w rozmowie z Krzysztofem Pyzią, Prószyński i S-ka, Warszawa 2019

FOT. EAST NEWS, WIKIMEDIA

09-48-51_przedruk_szpieg.indd 51 eprasa.pl 27a0922e 2019-02-22 21:38:10

Maciej Polkowski

MILIONY NA BOISKU

Kulisy futbolowych transferów

Doskonale wiemy, o czym śni wielu dorastających chłopaków. Ich marzenie to być drugim Robertem Lewandowskim, Leo Messim, Cristianem Ronaldem, a ostatnio Krzysztofem Piątkiem. Nadzieja na olśniewającą karierę, popularność oraz konto bankowe z sumą niewyobrażalną i nieosiągalną dla przeciętnego śmiertelnika. Jednak nawet będąc obdarzonym nieprzeciętnym talentem i nawykłym do systematycznej ciężkiej pracy, niczego wielkiego nie osiągniemy bez łutu szczęścia i odpowiedniego menedżera. To on może zadbać o właściwy rozwój zawodnika i przebieg jego kariery lub je zniweczyć; to on, mając na względzie także osobisty interes, wywalczy intratne apanaże. Dochodzimy do fazy, która fascynuje miliony sympatyków futbolu na całym świecie – a więc do zmiany pracodawcy przez graczy i coraz bardziej zawrotnych sum, jakie fruwają między zainteresowanymi piłkarzami, menedżerami oraz klubami. Ta faza to transfery.

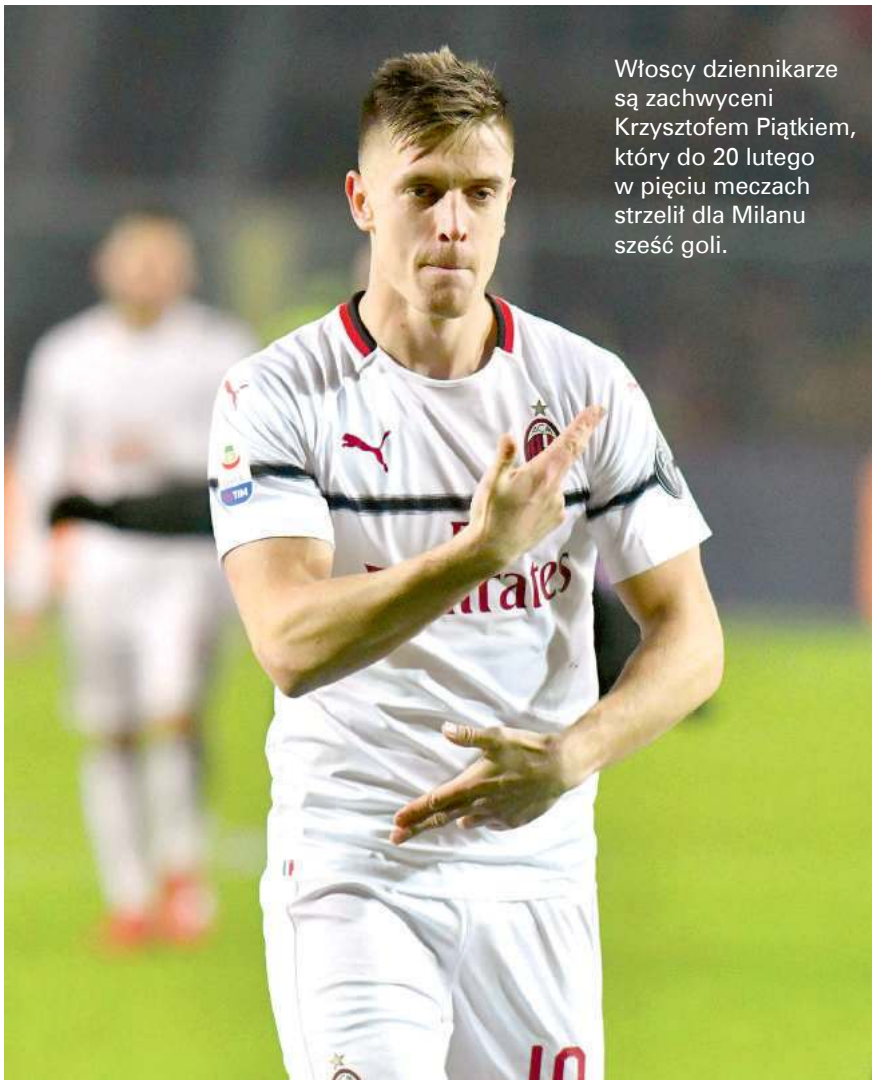

Włoscy dziennikarze są zachwyceni Krzysztofem Piątkiem, który do 20 lutego w pięciu meczach strzelił dla Milanu sześć goli.

BANG, BANG!

Nie przypominam sobie tak oszałamiającego i błyskotliwego początku kariery żadnego polskiego piłkarza. Sekwencja zdarzeń z Krzysztofem Piątkiem w roli głównej przebiega w iście ekspresowym tempie. Przed rokiem o tej porze był zawodnikiem Cracovii i zgodnie z kalendarzem rozgrywek odwiedzał kolejne stadiony naszej Ekstraklasy. Sprawdziły się prognozy trenera krakowskiego zespołu Michała Probierza, który twierdził, że niebawem po napastnika będą sięgać znane kluby, a jego wartość transferowa zacznie się zbliżać do 30 mln euro. Z Probierza pokpiwano, a już dzisiaj gracz zwany „Il Pistolero" robi furorę we włoskiej Serie A. Po każdym strzelonym golu prezentuje tzw. cieszynkę, krzyżując dłonie niczym pistolety na wysokości piersi. W minionych tygodniach o polskim napastniku napisano praktycznie wszystko, a może nawet więcej. Włoscy dziennikarze wpadli w charakterystyczny dla nich amok. Brylowała „La Gazzetta dello Sport", w której przez kilkanaście kolejnych dni na pierwszej stronie zamieszczano tytuły w rodzaju: „Il Pistolero del Milan incanta San Siro. Piatek – bang, bang".

Gwoli przypomnienia – Krzysztof Piątek urodził się 1 lipca 1995 r. w Dzierżoniowie. Dzięki najbardziej dociekliwym wiemy, że rozpoczynał karierę nie w Lechii Dzierżoniów, lecz w Niemczance – klubie z maleńkiej Niemczy (15 km od Dzierżoniowa). Jego pierwszym trenerem – jeszcze jako sześcioletniego brzdąca – był ojciec Władysław, były piłkarz m.in. Lechii Dzierżoniów i B-klasowej Niemczanki. Dopiero potem Piątek został dostrzeżony przez trenera Andrzeja Bolisęgę z Lechii Dzierżoniów. Wraz z formą sportową wzrastała wartość transferowa. W 2013 r. przeszedł z Lechii do Zagłębia Lubin (12 tys. euro), w 2016 r. z Zagłębia do Cracovii (700 tys.), w 2018 r. z Cracovii do Genoi (4,5 mln) i w 2019 r. z Genoi do Milanu (35 mln). Przy okazji ciekawostka: w 2016 r. zamiast do Cracovii mógł trafić do (wyjątkowo niezdecydowanej) Legii, ale jak przyznał, nie chciał „iść do klubu, który może mnie chce, a może nie".

Do 20 lutego Piątek strzelił już sześć goli w pięciu meczach Milanu. W tym sezonie ma na koncie 17 trafień, a także debiutancką bramkę w reprezentacji – w 18. minucie

FOT. IPP/REPORTER/EAST NEWS, IMAGO SPORT AND NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl 3127a0922e

spotkania z Portugalią w Chorzowie (11 października 2018 r.). To był dopiero jego drugi i na razie ostatni występ w biało-czerwonych barwach. Jest na początku snajperskiej drogi w kadrze narodowej i ma jeszcze dużo czasu, by próbować przegonić trójkę najskuteczniejszych. Oto ich spojrzenie na poczynania Krzysztofa.

Robert Lewandowski (55 bramek): „To chłopak, który ma duży potencjał i chce się rozwijać. Już podczas pierwszego treningu w kadrze było widać, że może grać na wysokim poziomie. Jeśli tak dalej potoczy się jego kariera, to z pewnością na dłużej zagości w reprezentacji".

Włodzimierz Lubański (48 bramek): „Jest napastnikiem, który wyczuwa i wykorzystuje sytuacje bramkowe. Życzę mu, aby jak najdłużej zachował ten spryt pod bramką i strzelał gole. Już teraz pokazuje, że jest nietuzinkowym zawodnikiem. Ponadto umie grać kombinacyjnie: odegra piłkę, wyjdzie na wolną pozycję. Jak się potocznie określa, potrafi »czytać« grę. W naturalny sposób będzie to kolejny napastnik, który może poprowadzić reprezentację Polski do dobrych wyników".

Grzegorz Lato (45 bramek): „Oglądałem go ostatnio w kilku spotkaniach. Robi się coraz mocniejszy. Zdobywa piękne gole, potrafi się znaleźć w korzystnych sytuacjach na boisku. Podoba mi się, że gra we wszystkich meczach i – co bardzo ważne – omijają go kontuzje".

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIBIEGO WSKAZANE

Znany dziennikarz Marek Wawrzynowski napisał: „Tuż po transferze Krzysztofa Piątka z Genoi CFC do AC Milan polscy agenci z »Fabryki Futbolu« zamieścili na Twitterze zdjęcie z ludźmi Milanu. Prezes PZPN, Zbigniew Boniek, skomentował to: »Brakuje na zdjęciu pana GG, wykonał wielką robotę«. Dla kibiców mogło być to nieczytelne, ale większość ludzi futbolu od razu zrozumiała, że chodzi o Gabriele Giuffridę. Kim jest agent i dlaczego jest na tyle ważny, że publicznie upomina się o niego sam Zbigniew Boniek, prezes PZPN?

Zbigniew Boniek ma duży wpływ na transfery polskich piłkarzy do włoskich klubów.

Po raz pierwszy na polskim rynku pojawił się przy sprawie transferu Thiago Cionka. Włoski agent szukał dla Brazylijczyka klubu i wtedy właśnie pomógł mu Zibi, wówczas jeszcze niezwiązany z PZPN.

– Włoski agent Gabriele Giuffrida wiedział, że mam szansę zdobyć polskie obywatelstwo, i umieścił mnie w Polsce z pomocą Bońka – powiedział Cionek w rozmowie z włoskim portalem. Do transferu doszło w 2008 r.

Oczywiście Giuffrida nie jest jedynie specjalistą od rynku polskiego. (...) Dziś we Włoszech jest uznawany za jednego z topowych agentów, choć najbardziej znany jest ze swoich miłosnych podbojów. Ten właściciel kilku dyskotek na hiszpańskich Balearach często gości na łamach stron plotkarskich. (...) Trzech piłkarzy »Fabryki Futbolu« (Linetty, Bereszyński, Kownacki) gra w Sampdorii dzięki GG i ZB. Gdy Karol Świderski przechodził do PAOK Saloniki, Boniek zadzwonił do menedżera Mariusza Piekarskiego i nakłaniał go do odstąpienia od transferu, przekonując, że pomoże umieścić Świderskiego we włoskiej Serie A. Filip Jagiełło, zawodnik »Fabryki Futbolu«, przechodzi za 2 mln euro z Lubina do Genoi. Inny piłkarz młodzieżówki, Szymon Żurkowski, przechodzi za 4 mln euro z Górnika do Fiorentiny. Boniek pośredniczy przy transferach Polaków do Włoch wbrew przepisom mówiącym, że prezes federacji piłkarskiej nie może angażować się w handel zawodnikami i pomagać agentom. Ot, taka futbolowa rzeczywistość".

Zapytałem Cezarego Kucharskiego, czy miał kiedyś do czynienia z Bońkiem przy ewentualnych transferach do Włoch. Odpowiedział:

NAJDROŻSZE PRZENOSINY

1. **Neymar** (FC Barcelona – Paris Saint-Germain, 2017 r., 222 mln euro)
2. **Kylian Mbappé** (AS Monaco – Paris Saint-Germain, 2017-2018 r., 180 mln euro)
3. **Philippe Coutinho** (Liverpool – Barcelona, 2018 r., 125 mln euro)
4. **Cristiano Ronaldo** (Real Madryt – Juventus Turyn, 2018 r., 112 mln euro)
5. **Ousmane Dembélé** (Borussia Dortmund – Barcelona, 2017 r., 105 mln euro, ale może wzrosnąć do 147 mln)

•

1. **Krzysztof Piątek** (Genoa – AC Milan, 2019 r., 35 mln euro)
2. **Arkadiusz Milik** (Ajax Amsterdam – SSC Napoli, 2016 r., 32 mln euro)
3. **Grzegorz Krychowiak** (Sevilla – Paris Saint-Germain, 2016 r., 27,5 mln euro)
4. **Piotr Zieliński** (Udinese Calcio – SSC Napoli, 2016 r., 14 mln euro)
5. **Wojciech Szczęsny** (Arsenal – Juventus Turyn, 2017 r., 12,2 mln euro)

eprasa.pl 3127a0922e

– Kiedyś Boniek dzwonił i chciał „Lewego” do Włoch, do Romy.

– Czy potwierdzisz to oficjalnie?

– Ja o Bońku i Romie mówiłem publicznie, więc to nie jest żadna tajemnica.

– Czy mówi ci coś nazwisko Gabriele Giuffrida?

– To włoski wspólnik Bońka, on robił transfer Kapustki, Piątka…

– Coś jeszcze?

– Wiem, że Boniek wbijał się Tomkowi Suwaremu w sprawie transferu Sebastiana Walukiewicza do Włoch (transfer uzgodniony, latem przejdzie do Cagliari Calcio – przyp. red.). Kiedyś agent Sebastian Pańtak opowiadał, jak Boniek wydzwaniał do rodziców młodych piłkarzy. Szczegółów nie znam.

My także ich nie znamy, ale jedno jest pewne – jak wynika z wypowiedzi wielu menedżerów, bez „błogosławieństwa” Zibiego trudno o poważny transfer do włoskiego klubu.

Z KLUBÓW POLSKICH DO WŁOSKICH

Już teraz wiadomo, że tego lata polska grupa we Włoszech powiększy się do co najmniej 18 piłkarzy. Wprawdzie Dawid Kownacki odejdzie z Sampdorii do Fortuny Düsseldorf, ale na włoskich stadionach pojawią się Sebastian Walukiewicz (Cagliari), Szymon Żurkowski (Fiorentina) i Filip Jagiełło (Genoa). Włosi chętnie penetrują polski rynek, co sprawia, że pod względem liczby zawodników w Serie A jesteśmy trzecią nacją po Brazylijczykach i Argentyńczykach. Polski gracz jest tani i raczej nie zawodzi. Ma opinię solidnego, zaangażowanego, profesjonalnego i utalentowanego pracownika, za którego warto zaryzykować kilka milionów euro. Zwłaszcza jeśli zdarza się trafić na Krzysztofa Piątka.

Na futbolowej giełdzie ruch nigdy nie zamiera. Co prawda, obowiązują tzw. okienka transferowe, ale są one jedynie okresem dopinania tego, co udało się wynegocjować w pozostałych tygodniach i miesiącach. Takie błyskawiczne przejścia z klubu do klubu jak ostatnio Piątka należą do rzadkości. Z reguły zawodnika obserwuje się przez dłuższy czas, potem szczegółowo bada – skończyło się kupowanie kota w worku. W Polsce zarejestrowano 82 agencje menedżerskie, z tego 55 ma oficjalne licencje. Nastąpiło więc odwrócenie ról – to nie zawodnicy szukają agentów, ale agenci wynajdują (przechwytują, podkupują) przyszłych podopiecznych. W przypadku młodocianych piłkarzy roztacza się baśniowe wizje przed rodzicami. Naszą Ekstraklasę rozkupują agenci z Zachodu i ze Wschodu. To zjawisko już nie do odwrócenia, które zapewne nasili się po rozgrywanych w tym roku, z udziałem Polaków, finałowych turniejach młodzieżowych mistrzostw Europy do lat 21 i mistrzostw świata do lat 19. Jeśli naszym się powiedzie, pewnie większość zmieni pracodawców.

•

Czasami życie na walizkach („Dla chleba, panie, dla chleba…”) nie przeszkadza zawodnikom, którzy ambicje sportowe odłożyli na bok. Przykładem jest 41-krotny reprezentant Adrian Mierzejewski. W ostatnich latach zdecydował się na wyjazd z Europy i występy na innych kontynentach. Po opuszczeniu tureckiego Trabzonsporu w 2014 r. wyjechał do Arabii Saudyjskiej, gdzie został zawodnikiem Al-Nassr. Kolejnym przystankiem był klub Al-Sharjah w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. W latach 2017-2018 bronił barw australijskiego Sydney FC. W ubiegłym roku z Australii przeprowadził się do Chin i został piłkarzem Changchun Yatai. Teraz na Twitterze poinformował, że jego nowy klub to Chongqing Dangdai Lifan.

To ci dopiero kariera u schyłku. I nikt mnie nie przekona, że transfery nie mają niezwykłego uroku!

Maciej Polkowski

eprasa.pl 3127a0922e

Nowe znaki sprzeciwu

Edward Mikołajczyk

Przedłuża się ogólnopolskie poszukiwanie chętnego do przesłuchania najważniejszego dewelopera w kraju. Nikt do tej pory się nie zgłosił, mimo że upływa właśnie miesiąc od zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa i są już spisane zeznania cudzoziemca, który postanowił szukać sprawiedliwości w polskim sądzie. Dziwne, że nie pali się do tej roboty prokurator generalny, który dostał do ręki wymarzony materiał do pokazania, jak mocno sam wierzy w to, co mówi, a mówił do niedawna, że w Polsce nie ma i nie będzie świętych krów. Prawda, że o świętych deweloperach nie wspominał, ale niby dlaczego akurat tę grupę zawodową miałby wyjąć spod paragrafu?!

Trzeba przyznać, że sprawa jest paskudna i źle pachnie. Poszedł smrodek, którym już zalatuje cała polska demokracja i jej nadzwyczaj oryginalna egzekutywa. Za chwilę będą nas rozpoznawać na odległość. Pilnie potrzebna jest tama, która utrzyma wstyd w granicach administracyjnych naszego kraju i zapobiegnie ewentualnym plamom na honorze Polaków. Trzeba pamiętać, że to na naszym patriotycznym rodaku chce dochodzić krzywd człowiek, który w swoim domu mówi po niemiecku!

Dr Victoria Bateman pokazała Brytyjczykom skutki brexitu.

Prokuratorowi generalnemu różowieją policzki, kiedy słucha o Srebrnej. Tak go ona brzydzi, że dla wyrównania ciśnienia w organizmie najchętniej w ogóle umyłby ręce. A mógłby sobie ulżyć inaczej. Na przykład ogłosić casting wśród zawodowych oskarżycieli i wyznaczyć nagrodę dla śmiałka, który wygra prawo do rozpoczęcia śledztwa i przesłuchania dewelopera. Może powołać wolontariat studentów starszych lat prawa, którzy powinni protokołować, co kto mówi, nawet niepytany. Należy zapisać, co mówią prominenci, bo odnosi się wrażenie, że coś wiedzą, a to może się przydać w śledztwie i w sądzie. Na przykład aktualny (luty 2019 r.) premier rządu RP Mateusz Morawiecki domagał się od pokrzywdzonego wystawienia faktury, skoro się upiera, żeby mu zapłacić za robotę. Faktura pojawiła się tak szybko, że nie można wykluczać celowego powiązania tych wydarzeń.

Prokurator nie wykorzystał ani jednej okazji do kontynuowania albo choćby symulowania aktywności w przedmiocie międzynarodowej awantury o pieniądze na najwyższym szczeblu rodzinnym w Polsce. Widocznie skalkulował, że nicnierobienie i tym razem pozwoli mu ocalić oba stołki, na których siedzi jednocześnie – i w rządzie, i w prokuraturze. Wiadomo, że nie wyśle żadnej trzyliterowej służby w kominiarkach w celu obudzenia prezesa o szóstej rano, bo prezes lubi pospać. Ma też dość wyobraźni, żeby przewidzieć, że prezes będzie szybszy i za jednym zamachem wyleje go z obu posad.

To się zmieni, gdy premierem zostanie Robert Biedroń. Dopiero wtedy. Chyba że wcześniej zawiąże się jakiś bunt w mediach, jak wszyscy bezradnych w dzisiejszym kryzysie i w oczach opinii publicznej jednakowo bezsilnych w kontrolowaniu władzy i krytyce opozycji.

Zapanował u nas jałowy bezczas, bardzo podobny do angielskiego w wigilię brexitu. Każdą wolną odrobinę przestrzeni dźwiękowej wypełnia jednopoziomowy szum mediów i równie nieczytelny zgiełk parlamentarny. Efekt jest taki, że Brytyjczycy miesiąc przed opuszczeniem Unii Europejskiej nie wiedzą, czy wyjdą z torbami, czy w samych skarpetkach. Publicyści nie wiedzą, jakiego użyć języka, by skutecznie przemówić do rozsądku politykom.

Pani dr Victoria Bateman, ekonomistka związana z Cambridge, nabrała przekonania, że skoro nikt nie chce wysłuchać jej przesłania, że *brexit leaves Britain naked*, czyli że Brytyjczycy wyjdą z Unii nawet bez skarpetek, powinna to pokazać na sobie i tak dotrzeć do widza. Wystąpiła naga w porannym programie ITV i jeszcze w BBC Radio 4. Po niej, w poważnym programie „The Pledge", w geście solidarności Rachel Johnson zdjęła bluzkę, pod którą nie było bielizny.

> To na naszym patriotycznym rodaku chce dochodzić krzywd człowiek, który w swoim domu mówi po niemiecku!

Namawiam panie z pierwszej linii frontu TVP: Danutę Holecką, Edytę Lewandowską i Annę Popek, aby uczyniły to samo; jeśli nie wszystkie, to rzućcie monetę. Uciekająca demokracja i pełznący polexit domagają się wyrazistych znaków waszego sprzeciwu i poświęcenia *à la* lady Godiva. ■

FOT. TWITTER.COM/GMB

eprasa.pl 3127a0922e

Brzydź się grzechem jak wężem

Służąca jest bez szans w starciu z możniejszymi

Służące z warszawskiej szkoły dla sług pod wezwaniem św. Kingi, 1907 r.

Joanna Kuciel-Frydryszak

Z aktu oskarżenia sądu w Suwałkach:

Na początku roku 1925 mieszkanka wsi Smolniki gminy Kadaryszki Michalina Ż. oddała 13-letnią swą córkę z pierwszego małżeństwa Mariannę J. na obowiązek do gospodarza z sąsiedniej wsi Jedoziory Józefa M. Wiosną tego roku Marianna J. wypowiedziała się wobec rodziców, że nie będzie dalej służyć u M., bo jest tam niedobrze. W pierwszych dniach maja Marianna znów przyszła do matki swej i oświadczyła, że więcej na służbę nie pójdzie, bo gospodarze nie dają jej chleba. Atoli matka ją skrzyczała i odprowadziła ją z powrotem do M.

Parę dni później Marianna Służyńska, dowiedziawszy się od Michaliny Ż., iż ta córkę swą Mariannę odprowadziła z powrotem do M., oświadczyła:

– Wyście chyba nie jej matka.

I oznajmiła, że żona Józefa M. mówiła jej, Służyńskiej, że mąż Józef dobiera się do dziewczynki Marianny, zaczepia ją i szarpie.

Zaraz po tym Michalina odebrała swoją córkę Mariannę od M. i zapytała się jej, czy to prawda jest, co ludzie mówią.

Okazało się, że tak. 27-letni Józef M. dwa razy próbował dziewczynkę zgwałcić.

Pierwszym razem było to wiosną 1925 r. Marianna zamiatała podłogę w kuchni. W pokoju obok siedziała gospodyni z dziećmi. „Józef M. powalił Mariannę przemocą na łóżko w kuchni, położył się na nią, zadarł spódniczkę i zaczął grzebać się palcami między jej nogami. Gdy na jej krzyk przybiegła gospodyni, M. puścił ją. M. zaczęła wymyślać na męża, a ten powiedział jej: »Jak zechcę, to jej zrobię dziecko. To nie twój interes. Ty je chować będziesz«".

Po kilku tygodniach zaatakował dziewczynkę, gdy żony nie było w domu. Ale był trzyletni synek. Gdy usłyszał płacz służącej, płakał, wołając:

– Tatuś Manię bije!

Józef M. puścił dziewczynę.

Marianna powiedziała gospodyni, co się stało, ale wstydziła się rozmawiać o tym z matką. Tymczasem cała wieś huczała, że M. molestuje 13-letnią swoją służącą.

Kiedy matka dowiedziała się od znajomej, że jej córka jest napastowana seksualnie przez gospodarza, poszła z córką od razu na komisariat i do lekarza. Badanie wykazało, że dziewczynka nie straciła dziewictwa.

M. przed sądem zaprzeczał wszystkiemu, twierdząc, że matka dziewczyny oskarża go, bo zabrała ją przed czasem i boi się, że to on złoży skargę do sądu. Sędziowie nie uwierzyli mu. Miał na wsi reputację kobieciarza i człowieka niemoralnego, a jego poziom umysłowy i kulturalny uznano za niski. Został skazany na rok więzienia – po sześć miesięcy za każdy czyn.

•

Nieznana jest skala napastowań seksualnych ze strony chlebodawców. To ciemne liczby, zdarzenia rozgrywające się z dala od obcych oczu. Jeśli nie ma świadków lub śladów, a tylko słowo przeciwko słowu, to rzadko walka jest wygrana.

eprasa.pl 3127a0922e

13-letnia Stanisława L. została przez rodziców oddana na służbę do Antoniego C., gajowego we wsi. Był początek 1929 r. W maju – zeznała potem Stanisława L. przed sądem – gajowy „podszedł do niej, obalił ją przemocą na łóżko i pomimo iż Leszczyńska opierała mu się i wzywała pomocy, dokonał z nią wbrew jej woli stosunku płciowego".

Dziewczynkę poddano badaniom ginekologicznym i biegły stwierdził, że „naddarcie błony dziewiczej nastąpiło przed pół rokiem przez wprowadzenie do pochwy organów płciowych członka męskiego". Tym samym potwierdził wersję służącej.

Sąd jednak zakwestionował wiarygodność dziewczynki. Stwierdzono, że nie jest możliwe, aby Antoni C. zgwałcił służącą, wiedząc, że w kuchni obok znajduje się jego żona i jeszcze kilka osób. Ponadto według biegłego, wbrew zeznaniom Stanisławy L., musiała ona współżyć częściej niż raz. A to zasiało wątpliwości wśród sędziów. Sam oskarżony zaprzeczył gwałtowi, twierdząc, że to matka dziewczyny ukartowała sprawę. Sąd uniewinnił Antoniego C.

Sprawa była dla dziewczyny przegrana już od początku. Słowo służącej przeciw słowu gajowego. Żadnych świadków, jedynie opinia biegłego, w dodatku niezbyt klarowna. Wyrok nie okazał się zaskoczeniem.

Czasem jednak sprawa jest tak ewidentna, że zeznań poszkodowanej nie da się zakwestionować. Tak było w przypadku ohydnej zbrodni popełnionej przez przemysłowca Białasa na 19-letniej służącej Stanisławie N. „Przystojna służąca zwróciła uwagę pryncypała, który też zaczął zalecać się do niej. Na zalecanki Białasa dziewczyna odpowiadała pogardliwą obojętnością, co donżuana skierniewickiego doprowadzało do wściekłości", relacjonował „Dziennik Białostocki" w 1923 r.

Stanisława, dziewczyna skromna i dobrze wychowana, została zatrudniona przez tę rodzinę pół roku wcześniej. Ponieważ na wszystko patrzyła żona, Białas wywiózł służącą na letnisko pod Skierniewice i próbował coraz nachalniej uwodzić, wręczając prezenty i proponując pieniądze. Pozostała nieugięta.

Czwartkowego wieczoru Stanisława N., kładąc się spać, barykaduje drzwi. Przeczucie jej nie myli. Białas tylko przez chwilę puka. Potem wyważa drzwi, związuje jej ręce i okręca głowę prześcieradłem. O świcie Staszka dzwoni na policję. Odźwierny, który ją widzi, przeraża się. Policja aresztuje Białasa natychmiast. Ten chce wpłacić 20 mln kaucji, aby pozostać na wolności, ale prokurator się na to nie zgadza. (...)

•

W przypadku Szajndli nie wiadomo, jak było naprawdę. Z aktu oskarżenia przeciwko Abramowi Gotliebowi, lat 28, oskarżonemu o zgwałcenie:

Częstochowa, 5 sierpnia 1918

W styczniu 1918 roku służyła u Abrama Dawida G. w Częstochowie przy ul. Targowej 12 18-letnia Szajndla Moneta. Pewnego wieczoru tego miesiąca pod nieobecność swej żony wszedł do kuchni, w której spała Szajndla Moneta, oskarżony Abram Dawid G. i położywszy się do łóżka Szajndli Monety, zatkawszy jej usta, żeby nie krzyczała, rozerwał jej nogi i zgwałcił, przy czem groził jej oskarżony biciem na wypadek, gdyby krzyczała. Przestraszona tem Szajndla Moneta przeleżała spokojnie do rana i dopiero nazajutrz zawiadomiła swych rodziców o zgwałceniu jej przez oskarżonego.

Janina Wrembel w stroju pokojówki, 1936 r.

Początkowo usiłował ojciec Szajndli Icek Majer Moneta pogodzić się z oskarżonym Gotliebem przed rabinem Majerem Henochem Izrajewiczem, przy czem Majer Moneta zażądał tytułem odszkodowania złożenia kwoty 700 mk. dla swej córki na wiano przez G., lecz G. złożył 300 mk. Pertraktacje ugodowe między stronami nie doszły do skutku.

Sprawa wydawała się ewidentna, a do tego oględziny lekarskie potwierdzały wersję Szajndli. „Błona dziewicza została rozerwana, jednak żadnych zadraśnięć ani niezagojonych powierzchni nie znaleziono. Na zasadzie powyższego opinia lekarska stwierdziła, że *coitus cum introductione penis* był dokonany", twierdził lekarz.

Nieznana jest skala napastowań seksualnych ze strony chlebodawców.

Przesłuchany jako oskarżony Abram Dawid G. do winy się nie przyznał i twierdził, że Szajndla Moneta źle się prowadziła, a następnie, że w dniach 17-20 stycznia był w Oświęcimiu. Choć prokurator oskarżył Gotlieba, sąd wykazał wiele niejasności w tej sprawie. Po pierwsze, rabin potwierdził, że ojciec Szajndli, Icek Moneta, zażądał od niego sądu rodzinnego w tej sprawie. Ale pod przysięgą zeznawać nie chciał. Po drugie, Gotlieb starał się wykazać, że Szajndla źle się prowadziła. Na jego wniosek zgłosili się świadkowie, którzy mieli to potwierdzić. Była wśród nich sklepikarka, 46-letnia Bajla Wierzbicka. Zeznała, że Gotlieb jest pobożny, a Szajndla bezwstydna. „Przychodziła nieraz do sklepu, gdy tylko tam byli mężczyźni, bez bluzki, aż niemiło było patrzeć z tego względu, że widać było dużo gołego ciała. Pewnego razu jeden młody człowiek u mnie w sklepie pytał się jej, czy będzie czekać u niego w sieni", mówiła. Zeznawała też Ita Szajewicz, lat 45:

Szajndla jest nieporządną dziewczyną. To widać zaraz po jej słowach. Używa na przykład w mowie takie wyrazy: kurwa i tym podobne.

A także żona G., Ruchla, lat 25:

Ze służby wygoniłam ją, bo się źle prowadziła. Jak gdzie wychodziłam, musiałam ją zamykać na klucz, bo wychodziła na ulicę za chłopakami.

eprasa.pl 3127a0922e

Według jej wersji mąż nie mógł zgwałcić służącej w kuchni, bo spała ona w pokoju z dziećmi. Potwierdziła też zeznania męża, że był wtedy w Oświęcimiu.

Sąd bardzo pobieżnie badał sprawę. Ojciec Szajndli twierdził, że poprzednio pracowała ona przez siedem lat u Salomei Fiszof przy ul. Krakowskiej 4, ciesząc się opinią uczciwej i nieskazitelnej (co oznacza, że zaczęła pracę, mając lat 11). Sędziowie jednak nie są ciekawi opinii byłych pracodawców Szajndli, dają wiarę świadkom wskazanym przez G. i uznają, że jest on niewinny. Trudno ten wyrok przyjąć bez zdziwienia, zwłaszcza że oskarżony przy rabinie proponował dziewczynie pieniądze, wprawdzie nie tyle, ile żądał jej ojciec, ale chciał płacić.

Wydaje się, że służąca jest bez szans w starciu z możniejszymi. Sprawa Szajndli pokazuje coś jeszcze: wspólne zamieszkanie i brak autonomicznej przestrzeni służącej mogą być bronią obosieczną. Otwarta kuchnia z łóżkiem służącej; powroty paniczów i panów kuchennymi drzwiami; wołanie służącej, aby zdjęła panu buty – to rodzi patologię. Czasem dziewczyny ulegają pracodawcom bez nacisku z ich strony. Zainteresowanie panicza im imponuje.

Ferdynand Hoesick, pisarz, wydawca i kobieciarz, już jako dorosły mężczyzna wspominał swoją fascynację erotyczną służącą Marysią Klimkówną, którą poznał na letnisku w Starszkówku, dokąd pojechał jako młody chłopak w 1916 r.:

Dorodna blondynka o ciemnych brwiach i rzęsach nad kocimi, zalotnymi oczyma, rosła, wspaniale zbudowana, jędrna jak rzepa, w ogóle wspaniały typ polskiej piękności wiejskiej, posiadała wyjątkowy powab cielesny. Gdy przychodziła do naszego pokoiku w oficynie czy to posprzątać rano, czy posłać łóżka wieczorem, zawsze była narażoną na różne ataki z naszej strony, na które jednak narażała się z widoczną ochotą. (…)

•

Kolejne zagrożenie: wyjazdy pań i pozostawienie służącej w domu z mężczyznami. (…) Z cyklu „Rady dla kucharek" Walerego Wielogłowskiego służące mogły się dowiedzieć, gdzie i jakie czyha na nie niebezpieczeństwo. W mieście, wiadomo, ale i w domu trzeba być czujną, „bo w szynku są dyabły-obdartuchy, a w kamienicy są dyabły-eleganty, w kusym fraku lub kurteczce, albo w liberyi z galonami". Tak jedni, jak i drudzy mają te same zamiary, ale „diabeł-obdartuch daje ci wypić grzech w prostej anyżówce, a diabeł-elegant w likierze albo w miodzie". Dlatego, ostrzega autor artykułu, jeśli służysz w domu kupieckim – szanuj panów subiektów, ale z daleka. „Niechaj sztukę mięsa i pieczeń znajdą miękką, a ciebie twardą", zaleca Wielogłowski. Dziewczynie służącej w domu rzemieślnika mogłoby się wydawać, że zbałamuci pana, a on się potem z nią ożeni. „Oj nie, moja kochana! Czeladź rzemieślnicza wysoko teraz patrzy, a pyta się, czy panna ma kamienicę, a przynajmniej dom na Kleparzu lub grunt w Czerwonym Prądniku".

Romana Rzepecka z córkami i służącą, ok. 1907 r.

Niektóre panie zostawiają służącą do pilnowania domu, ale o pensji nie ma mowy.

„I z paniczami na pensjach trzeba być bardzo czujną", przestrzega Wielogłowski.

Zwłaszcza z paniczami!

Gdy Iza Moszczeńska, publicystka i feministka, pyta w 1903 r. studentów Politechniki Warszawskiej o ich praktyki seksualne, okazuje się, że chłopcy najczęściej doświadczali inicjacji seksualnej ze służącymi. Większość rozpoczęła życie seksualne między 15. a 19. rokiem życia. Duża część twierdziła, że „za namową kolegi ze służącą", inni, że „w warunkach pospolitych, ze służącą moich rodziców". Kilku wspomniało o oporze służących, ale niektórzy pisali, że „nie dała się długo prosić".

Jeden z ankietowanych pytany, z iloma kobietami utrzymuje stosunki, odpowiedział, że to zależy, jak często zmienia się służąca w domu. 15 ankietowanych zaznaczyło, że „utrata niewinności" nastąpiła w domu rodziców, kilku było wtedy podchmielonych, jeden wracał z operetki, a wielu było „podnieconych rozmową z kolegami o tematach erotycznych". Niektórzy uzasadniali, że uważają tego rodzaju kobiety za najprzystępniejsze i zarazem za najpewniejsze pod względem higienicznym. (…)

•

Teodora Męczkowska, feministka, która zajmowała się problemem prostytucji służących, zwracała uwagę na nagminny w Polsce zwyczaj „wracania do domów późno i przez kuchnię". Oraz na to, że służąca jest wzywana do sypialni, „gdy pan lub panicz kładą się do snu; nieraz zmuszona jest ściągać im buty, przypinać kołnierzyki". Męczkowska apelowała też o rozsądek do kobiet zatrudniających służące: „Każdy z nas wie, że mnóstwo pań wyjeżdża na lato, pozostawiając w domu mężów, braci, dla których16-letnia młoda dziewczyna będzie zawsze pożądaną zdobyczą".

Co sprytniejsze uciekają póki czas. Marianna Z., służąca rodziny Wajdorfów z Nowolipia 63 w Warszawie, porzuca służbę. Razem z nią znikają precjoza o wartości 15 tys. zł. To du-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2), Z ARCHIWUM KATARZYNY MĘCZYŃSKIEJ

eprasa.pl 3127a0922e

żo, jej miesięczny zarobek to około 50 zł miesięcznie.

Policja odnajduje służącą w Łodzi. Przyznaje się, że uciekła i że ukradła. Ale wyjaśnia, co ją do tego skłoniło: Wajdorf zmuszał ją „do ulegania swoim zachciankom", a nawet wyprawiał z domu żonę i dzieci, a ona musiała być „mu powolna w obawie utracenia posady". W związku z tym Marianna postanowiła uciec, zabierając pieniądze i biżuterię jako zadośćuczynienie. W momencie zatrzymania nie miała niczego. Wajdorf postanowił się z nią dogadać i nie wniósł sprawy do sądu.

Pisarka Zofia Nałkowska jest już od jakiegoś czasu nieszczęśliwa w małżeństwie. Wie doskonale, że Leon Rygier ją zdradza. Kiedy przychodzi do niej ich służąca Andzia i zaczyna płakać, Nałkowska domyśla się, co się stało. „Jak on mógł?", pyta swoją panią Andzia. „Wątła była i urocza. Matka jej, gospodyni wiejska, oddała mi ją pod opiekę. Nie byłam o nią zazdrosna, to było takie ludzkie, siostrzane współczucie. Taka żałość nad jej krzywdą", opowiadała pisarka swojej znajomej, Zofii Zhartowej. To doświadczenie okaże się bardzo istotne. „Nie zapomniałam, to był początek Justyny z Granicy", opowie po latach koleżance, mając na myśli jedną z ważniejszych swoich powieści. (...)

•

Kolejny zwyczaj – oddalanie służącej na czas lata. Niektóre panie zostawiają służącą do pilnowania domu, ale o pensji nie ma mowy. „Co ma robić dziewczyna, która wśród lata, gdy o pracę trudno, pozostała na bruku, albo w najlepszym wypadku bez kawałka chleba? Innej pracy podjąć się nie może, bo nie ma odpowiedniego przygotowania, a rodzina nie zawsze może jej dopomóc. Niejedną uczciwą dziewczynę zgubiły takie bezczynne wakacje i tacy panowie, którzy mają zbyt dużo współczucia dla młodych i głodnych dziewcząt. Służąca zeszła na bezdroża, ale pani, jej »moralna opiekunka«, zaoszczędziła 20 rubli na jej życiu i 10 rubli na pensji".

Co sprytniejsze uciekają póki czas. Marianna Z. porzuca służbę. Razem z nią znikają precjoza.

Wydaje się, że droga do prostytucji dla służącej była dużo krótsza niż dla robotnicy. Praca bez środowiska, samotność, brak oparcia i niepewność przyszłości w łatwy sposób wykolejały dziewczyny. Czasem decydowały przypadek i brak roztropności. A przebiegłość stręczycieli prostytutek i handlarzy żywym towarem bywała bardzo skuteczna. Ukrywali się często pod ogłoszeniami w prasie: „Samotny wdowiec szuka gospodyni" lub „Szkoła dla młodych dziewcząt przygotowujących się na scenę". Proceder działał w całej Europie.

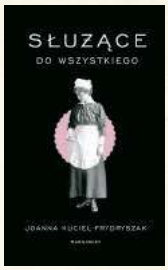

Fragmenty książki Joanny Kuciel-Frydryszak *Służące do wszystkiego*, Marginesy, Warszawa 2018

eprasa.pl 3127a0922e

Jak to z Se-ma-forem było

W artykule „I tylko Uszatka żal" (PRZEGLĄD nr 51/2018) znalazła się ocena mojej pracy jako producenta filmów animowanych i byłego prezesa Se-ma-fora. Ocena bardzo jednostronna, nieprawdziwa, zawierająca pomówienia i fałszywe informacje. Autor przytoczył w nim anonimowe wypowiedzi moich byłych współpracowników, ale nie zadał sobie trudu skontaktowania się ze mną i sprawdzenia, czy to, co jego rozmówcy powiedzieli, jest prawdą, czy tylko pretensjami być może sfrustrowanych osób.

W tekście pada stwierdzenie: „Podpiął się pod sukces »Piotrusia i wilka«, w którym miał niewielki udział, a następnie uwierzył, że jest fantastyczny…". Przy tej produkcji pełniłem funkcję polskiego producenta filmu. Nie jest to z pewnością funkcja nieistotna.

Autor sugeruje również, że za pieniądze z dotacji przeznaczonej na produkcję filmu „Serce w murze" wysyłałem duże delegacje do Japonii czy Ameryki Południowej. Rzeczywiście, w ramach działalności Fundacji Filmowej Se-ma-for twórcy ze studia wyjeżdżali do wielu krajów świata, nie tylko do Japonii czy Ameryki Południowej, także do Chin, Meksyku, Hiszpanii, Francji, Belgii, Anglii, na Ukrainę. Wyjazdy były finansowane z dotacji celowych otrzymywanych z Ministerstwa Kultury, Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i urzędu marszałkowskiego w ramach akcji promocji polskiej prezydencji w Unii Europejskiej oraz akcji promujących polską kinematografię. Imprezy nosiły wspólny tytuł Se-ma-for Film Festival On Tour. W spotkaniach za granicą uczestniczyło kilkadziesiąt tysięcy widzów, niejednokrotnie po raz pierwszy stykających się z polskim filmem.

Nieprawdą jest stwierdzenie, że lalki i dekoracje do serialu „Parauszek i przyjaciele" wykonywane były ze śmieci i patyków znalezionych wokół studia i że oszukiwałem na fakturach za materiały, których naprawdę nie było.

Nieprawdą jest sugerowanie, że instruowałem innych producentów, jak oszukiwać udzielających dotacji, aby otrzymać jak najwięcej pieniędzy.

Nie jest też prawdą, że przy drugiej serii „Parauszka" defraudowałem pieniądze, bo „lalki i dekoracje były już gotowe". Za mało tu miejsca, abym się rozwodził na temat technologii produkcji serialu lalkowego. Powiem jedno: lalka animacyjna wytrzymuje tylko kilka minut animowania (do 4 min), potem trzeba robić dublerów. Co do dekoracji,

KRAJ

I TYLKO USZATKA ŻAL

Upadek łódzkiego Se-ma-fora to wielka strata dla polskiej kultury, ale nie koniec rodzimej animacji lalkowej

Michał Sołoczyń

DWA OSCARY I DWA UPADKI

to powstawały nowe do nowych odcinków, a istniejące wymagały renowacji.

Stwierdzenie, że zatrudniałem „bardzo dużo ludzi, nieraz nie wiadomo po co: asystenci, asystenci asystentów, sekretarki", to także oczywista nieprawda. Większość współpracujących z Se-ma-forem była zatrudniona na umowach o dzieło – do wykonania konkretnych zadań, na które uzyskiwaliśmy odrębne dotacje.

Prawdą jest, że znakomity film „Ichthys" miał premierę prawie dwa lata po zakończeniu zdjęć, ponieważ szukaliśmy koproducentów na etapie postprodukcji cyfrowej. Natomiast nieprawdziwa jest informacja, że nie wysłałem tego filmu na żaden festiwal. Był w oficjalnych konkursach na 42 festiwalach, w tym na największych światowych festiwalach, i zdobył na nich 10 nagród. Informacja o sześciu nagrodach znajduje się chociażby na portalu www.filmpolski.pl, więc autor artykułu mógł to bardzo łatwo sprawdzić.

Nie są prawdziwe stwierdzenia dotyczące mojego zastępcy, że „zaczynał pracę w firmie jako kierowca, a kończył jako dyrektor finansowy – tylko dlatego, że w międzyczasie poślubił i obdarzył potomkiem córkę pana Żmudzkiego. (…) nie miał doświadczenia w branży filmowej, wcześniej zarządzał restauracją KFC, jednak jego najcięższym grzechem była nie głupota, tylko mobbing i notoryczne wymuszanie na pracownikach pracy za darmo". Mój zastępca zaczynał pracę jako koordynator produkcji w filmie „Piotruś i wilk", ukończył dwa fakultety, ekonomię w Krakowie (Akademia Ekonomiczna) i studia podyplomowe organizacji produkcji filmowej w łódzkiej szkole filmowej. Nigdy nie zostały mu przedstawione zarzuty mobbingu czy też zmuszania do pracy za darmo. Natomiast stwierdzenie o „obdarzaniu potomkiem" nie nadaje się do komentarza.

Autor artykułu powiela opinię, jakobym nie potrafił znaleźć pieniędzy na produkcję filmu, a kiedy już znalazłem, wydawałem je na różne rzeczy, ale nie na filmy. Na portalu www. filmpolski.pl lub w Wikipedii można sprawdzić, ile filmów powstało z moim udziałem jako producenta lub koproducenta w latach 2000-2015. W spółce Se-ma-for Produkcja Filmowa – 34 tytuły (plus 26 odcinków serialu „Parauszek i przyjaciele"), w Fundacji Filmowej Se-ma-for – cztery tytuły. To chyba dosyć znaczący dorobek.

Anonimowi informatorzy piszący o „spadochroniarzach" do studia Trefl w Gdyni nie zdążyli powiedzieć, że większość animatorów lakowych została wyszkolona na zorganizowanych przeze mnie kursach animacji lalkowej. Dzięki temu kilkanaście osób może wykonywać ten zawód i ma kto robić w Polsce filmy lalkowe.

Zbigniew Żmudzki

Założyciel spółki Se-ma-for Produkcja Filmowa, Fundacji Filmowej Se-ma-for i Muzeum Animacji Se-ma-for. Były prezes tej spółki i fundacji, aktualnie, od czterech lat, na emeryturze

eprasa.pl 3127a0922e

Samotny biało-czerwony żagiel

Najbardziej dojmującym wrażeniem po stwierdzeniu p.o. ministra spraw zagranicznych Izraela, że Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki, było poczucie osamotnienia Polski.

Wszyscy nabrali wody w usta. Co oczywiście świadczy o pozycji Polski w świecie, jej znaczeniu i skuteczności obecnej dyplomacji.

Milczała Ameryka. Oczywiście trzeba docenić miłe słowa pani ambasador Mosbacher, ale nie czarujmy się – nie jest to wystarczająco wysoki szczebel.

Milczała Unia Europejska. Pewnie z cichą satysfakcją, bo dla państw Unii (tej starej) konferencja bliskowschodnia była elementem rozbijania jedności europejskiej.

A Grupa Wyszehradzka? Jak wiemy, premier odwołał swój wyjazd do Izraela na szczyt Grupy Wyszehradzkiej. Nie pojechał tam też minister Czaputowicz. *De facto* szczyt został więc zerwany. Polska liczyła jednak na coś więcej – na solidarność państw V4.

O tym pisała zresztą na Twitterze rzeczniczka PiS Beata Mazurek: „Odwołanie spotkania V4 + Izrael to wyraz solidarności państw Gr. Wyszehradzkiej! Po interwencji PMM pozostali premierzy podjęli dec. o odroczeniu szczytu z Izraelem".

Wiemy więc, że sam premier Morawiecki dzwonił i namawiał swoich partnerów z Węgier, Słowacji i Czech, by do Jerozolimy nie lecieli.

Wiele by to ich nie kosztowało – można było ogłosić, że ponieważ szczytu nie ma, premier do Izraela nie leci… A byłby to jednoznaczny sygnał, że państwa regionu solidaryzują się z Polską.

Cóż, siła przekonywania Mateusza Morawieckiego została zweryfikowana. Premierzy Węgier, Czech i Słowacji polecieli do Jerozolimy. Tam wszyscy się spotkali z premierem Netanjahu. I debatowali, co uwieczniła pamiątkowa fotografia. Wyszło tak, jakby w Izraelu odbył się szczyt V4, ale bez udziału Polski. A w dodatku Viktor Orbán nie omieszkał pouczyć Morawieckiego, że zrobił błąd, odwołując przyjazd. „Byłoby lepiej, gdyby Polacy byli tutaj", mówił.

Tak oto zaprezentował się rzekomo największy przyjaciel Polski i pisowskiego rządu.

Zobaczyliśmy, jakimi pisowska Polska dysponuje wpływami i jak się z nią liczą.

To o tyle istotne, że jedną z głównych koncepcji polityki zagranicznej PiS jest koncepcja Międzymorza. Zakłada ona, że uda się stworzyć grupę państw między Niemcami a Rosją – od Estonii po Chorwację. I ta grupa, wspierana przez Stany Zjednoczone, będzie działać pod przywództwem Polski. Takie rzeczy na polskiej prawicy się wymyśla i na dodatek w nie wierzy.

No więc pierwsza z brzegu sytuacja pokazała, na ile taka konstrukcja może być realna. Nie mówiąc już o miejscu Polski.

I jest jeszcze jeden element ilustrujący osamotnienie Polski. Panowie Netanjahu i Katz nie wygłosili swoich filipik w próżni – w Izraelu trwa właśnie kampania wyborcza i nacjonalistyczna prawica wciąż szuka okazji, by podbijać emocje.

A opozycja? Teoretycznie powinniśmy się spodziewać, że premier i szef MSZ zostaną przez opozycję skrytykowani za słowa, które zaogniają itd. A tu cisza…

Nie wystawia to najlepszego świadectwa polskiej polityce wobec Izraela, polskiemu MSZ, ambasadzie itd. I to nie tylko za działania w ostatnich trzech latach.

Attaché

„Tak wyrażamy troskę o dobro wspólne. Osądźcie nasz czyn", napisali w manifeście mężczyźni, którzy w nocy z 20 na 21 lutego powalili pomnik prałata Jankowskiego stojący niedaleko kościoła św. Brygidy w Gdańsku.

FOT. WWW.YOUTUBE.COM

eprasa.pl 3127a0922e

JOLKA

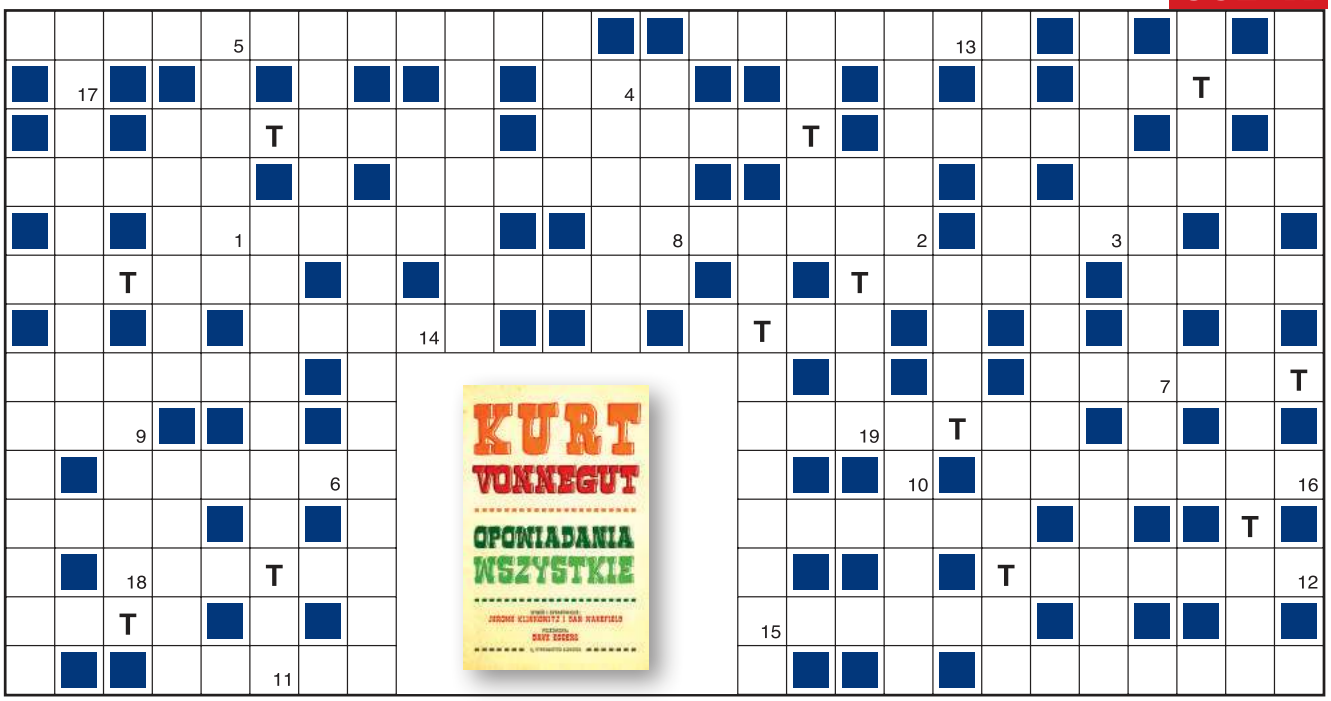

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- był siedzibą tymczasowego rządu de Gaulle'a
- żelazne nie do podważenia
- urządzenie do badania np. dźwięku, widma
- brat św. Piotra
- wyrabiano tam tkaniny dekoracyjne
- miasto przy pierwszej katarakcie na Nilu
- herod…
- wołowe lub cielęce w sosie
- czule o niemowlęciu
- dawniej człowiek doświadczony, przebiegły
- samochód zwany ropniakiem
- zdrobniale o Tusku
- luźna kurtka z luźnymi spodniami
- polski zawodnik w japońskim sporcie
- remontowa, przeprowadzkowa
- część po zakończeniu właściwej fabuły
- książę humanistów z Rotterdamu
- imię Bejdy, szefa CBA
- w nim pelikan lub parker
- niejedna pożółkła w albumie rodzinnym
- ścierka albo łobuz
- manewr w szachach, ryzykowne działanie
- ścienna w szkole
- najsilniejsza figura w szachach
- potrzebna do akupunktury
- nieproszony gość
- siarkowy – gaz musztardowy
- smartfon z nadgryzionym jabłkiem
- „…malusieńki, leży wśród stajenki"
- monopolistyczna zmowa przedsiębiorstw
- tkanina jak kraina
- biblioteczny, znaczków, wystawy
- obszar górski z Czeczenią
- żałobny materiał
- puszysty ogon
- plama z atramentu
- drukarz w drewnie
- uniwersum, wszechświat
- uzależniony od medykamentów
- błędnik – …słuchu i równowagi
- amerykańska to wizon
- jak Wisła szeroka
- na oczach Temidy
- instrument w kieszeni
- dział geometrii badający własności figur płaskich
- śpiewaczka wykonująca główne role
- …postępowań – problem polskich sądów
- przyjęcie np. w ambasadzie
- Smarzowskiego scenariusz i ona w „Wołyniu"
- kasacyjna do wniesienia
- sam sobie nim jest Mickiewiczowski płaz w skorupie
- Hassanal Bolkiah w Brunei
- sport na fali
- śpi się twardo jak on
- zjazd biskupów
- obraz Podkowińskiego
- np. Dom Pérignon
- kuchenna z ostrymi ząbkami
- w pracy używa pacy
- ze Słupskiem tworzy Dwumiasto
- absolutna deprawuje absolutnie
- rycerz w średniowiecznej Polsce
- …Ptak w rosyjskich baśniach

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-898". Do rozlosowania „Opowiadania wszystkie" Kurta Vonneguta ufundowane przez Wydawnictwo Albatros. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 marca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-895" z 10 lutego: *Ambitny chce być wspaniały.*
Nagrody otrzymują: Anna Leonkiewicz z Kleszczel, Zenonna Łojewska z Legionowa, Adam Wnęk z Olsztyna.

eprasa.pl 3127a0922e

PENETRACJE

POLSKA

PROF. ŁUKASZ TURSKI,
FIZYK

Matura to jest test. Otóż ja jestem gotów ułożyć taki test, z którego wyjdzie, że choć ledwo chodzę, jestem sprawniejszy niż Justyna Kowalczyk. Te testy naprawdę nie mają sensu. Stworzenie testu, który naprawdę byłby obiektywny, jest bliskie niemożliwości. To jest jakieś szaleństwo. Ten ilościowy opis, który miało się uzyskiwać przez te testy, te wszystkie punktozy, nie pokazują prawdy. Człowiek jest zbyt skomplikowanym urządzeniem, żeby go opisywać w detalach.

TYGODNIK POWSZECHNY

JAN ŚPIEWAK,
DZIAŁACZ RUCHÓW MIEJSKICH

Ma pan przykłady na przenikanie się polityki i deweloperki?

– W radzie nadzorczej JW Construction zasiadali Barbara Blida i Józef Oleksy. We władzach Dom Development – senator PO Łukasz Abgarowicz, przewodniczący gminy Centrum, a więc w praktyce wiceprezydent stolicy. Senator PiS Stanisław Kogut miał – wedle CBA – wziąć łapówkę od jednego z największych deweloperów, ze spółki Griffin Real Estate, w zamian za pomoc przy zburzeniu hotelu Cracovia. Szef SLD Włodzimierz Czarzasty był zatrudniony w spółce Griffin. Andrzej Halicki, jedna z najważniejszych postaci PO, był sekretarzem Związku Firm Deweloperskich – po prostu lobbystą branży. Spółka Echo Investment przekazała pieniądze na kampanię prezydenta Katowic Marcina Krupy, a po wyborach ten prezydent pozwolił jej zbudować galerią handlową. W Krakowie Bogusław Kośmider, szef rady miasta, zasiadał w radzie nadzorczej spółki deweloperskiej KCI.

WO

SLAVOJ ŽIŽEK,
SŁOWEŃSKI FILOZOF

Dziś wygrywa wolność seksualna. W kontrze jest Kościół, który twierdzi, że seks służy prokreacji, można się nim cieszyć, ale tylko w małżeństwie, tylko gdy towarzyszy mu miłość. Osobiście nie jestem tak surowy jak Kościół katolicki i nie posunąłbym się do tego, żeby nakazywać ludziom, by przedstawiali certyfikaty, że się kochają. Kościół moim zdaniem dlatego chce kontrolować seksualność, że doskonale wie, iż pasja seksualna może mieć strukturę pasji metafizycznej. I że jest ona dla niej konkurencyjna. Kościół mówi, że seks ma sens tylko dla prokreacji, a jeśli jest celem samym w sobie, jeśli ma służyć tylko satysfakcji, to jest zwierzęcy. Nie rozumiem tego. To zwierzęta właśnie mają rytm spółkowania, ruję. To one robią to dla prokreacji. To właśnie ludzkie, że bierzesz biologiczny akt, jakim jest prokreacja, i zmieniasz go w intensywne duchowo przeżycie.

Prezydent Andrzej Duda i minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski podczas degustacji polskiej wołowiny, która przebiegała pod hasłem „Polska smakuje". Inauguracja Porozumienia Rolniczego 20 lutego w Warszawie.

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. JANUSZ REYKOWSKI O NOWYM OKRĄGŁYM STOLE

Z dwóch podstawowych przesłanek okrągłego stołu – woli dialogu i równowagi sił – jedna nie istnieje, a druga jest niepewna.

DANIEL PASSENT O LIŚCIE PISIEWICZE.PL

Zawiera już ponad tysiąc nazwisk osób wyniesionych na stanowiska przez „dobrą zmianę". To dzieci rewolucji, która je kiedyś zje.

ANNA JURKSZTOWICZ O ZNAJOMOŚCI PIĘCIU JĘZYKÓW

Fascynuje mnie gramatyka. Lubię w obcych krajach porozmawiać sobie z ludźmi.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO O ŻYCIU UMYSŁOWYM

Według badań co szósty magister w Polsce jest wtórnym funkcjonalnym analfabetą.

ILONA ŁEPKOWSKA O OJCU

Był surowy w ocenianiu. Bardzo krytyczny. Karanie fizyczne dziecka było dopuszczalne. Choć on tylko wydawał polecenia, a wyrok wykonywała mama.

PROF. MARCIN KRÓL O SMUTASACH

Doprawdy smutasów mam już dość. Czym innym jest radość i zabawa ludzi skupionych wokół Biedronia.

JAROSŁAW KUŹNIAR O OBIEKTYWIZMIE

To przecież bardzo subiektywne pojęcie. Lubię wyrażać swoje zdanie, bo wydaje mi się, że potrafię je obronić.

RAFAŁ DUTKIEWICZ O OFERCIE DLA GRZEGORZA SCHETYNY

Oferta została odrzucona słowami, których nie zacytuję.

JOANNA KULIG O POBYCIE W HOLLYWOOD

Poznałam więcej inspirujących artystów niż w ciągu całego mojego dotychczasowego życia.

DAWID PODSIADŁO O INTERNETOWYM HEJCIE

Nie było miło, ale jeden wpis mnie rozśmieszył: „parchata baba-jaga".

eprasa.pl 3127a0922e

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Wódka lepsza niż sanacja

Znamy najlepiej opracowane hasło w polskojęzycznej Wikipedii. Zdaniem jury konkursu Stowarzyszenia Wikimedia Polska, jest nim „wódka". Czytelnicy mogą poznać m.in. różnice w unijnej i amerykańskiej definicji tego trunku, historię jego przedstawień w tekstach kultury oraz szczegóły procesu produkcji. W finale konkursu zorganizowanego z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości wódka pokonała m.in. polską szkołę filmową, bielika oraz sanację.

Śmieciowy paragraf 22

Urząd Miasta Łodzi wysłał mieszkańcom listowne zawiadomienia o podwyżce opłat za odbiór śmieci. Ogłosił jednocześnie, że osoby, do których przesyłka nie dotrze do końca lutego, mają się stawić w wydziale finansowym i wyjaśnić, dlaczego jej nie otrzymały. Nie wytłumaczył tylko, skąd mieszkaniec ma wiedzieć, że miał dostać pismo, którego nie dostał.

Ofiara własnej inteligencji

W wybranych chińskich gminach działa system informatyczny typujący urzędników, których warto dokładniej prześwietlić. Rozwiązanie o wdzięcznej nazwie Zero Zaufania analizuje m.in. stany kont i wydatki funkcjonariuszy publicznych i ich rodzin oraz powiązania między administracją a biznesem. Przez niespełna siedem lat system pomógł złapać niemal 7 tys. osób dopuszczających się rozmaitych nadużyć. Sztuczna inteligencja nie przewidziała jednego: skuteczność systemu okazała się tak duża, że w wielu miejscach został on wyłączony, a kolejne opierają się jego wdrożeniu.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Kolej niedużych prędkości

Indyjski minister kolejnictwa, Piyush Goyal, z dumą zaprezentował na Twitterze wideo, na którym pociąg zbudowany niemal wyłącznie siłami rodzimych przedsiębiorstw „mknie jak błyskawica". Okazało się jednak, że promowany przez dygnitarza klip jest puszczonym w przyspieszonym tempie nagraniem pojazdu powoli przejeżdżającego przez stację. Zamiast kpić, warto przypomnieć, że już Oktawian August zalecał, by spieszyć się powoli.

Miłość od pierwszego wymazu

Nie brakuje innowacji także w e-swataniu *Homo sapiens*. Firma prowadząca portal randkowy Pheramor powołuje się na publikacje naukowe, które wykazały, że ludzie są dla siebie atrakcyjni, gdy ich geny HLA są inne. Dlatego za jedyne 29,99 dol. wysyła rejestrującemu się użytkownikowi zestaw do badania DNA, a następnie analizuje odesłany wymaz z jamy ustnej. Powstała w ten sposób baza danych pozwala zarekomendować każdemu trzy potencjalne obiekty miłości.

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE Warszawa 101 FM DAB+ RDC

eprasa.pl 3127a0922e

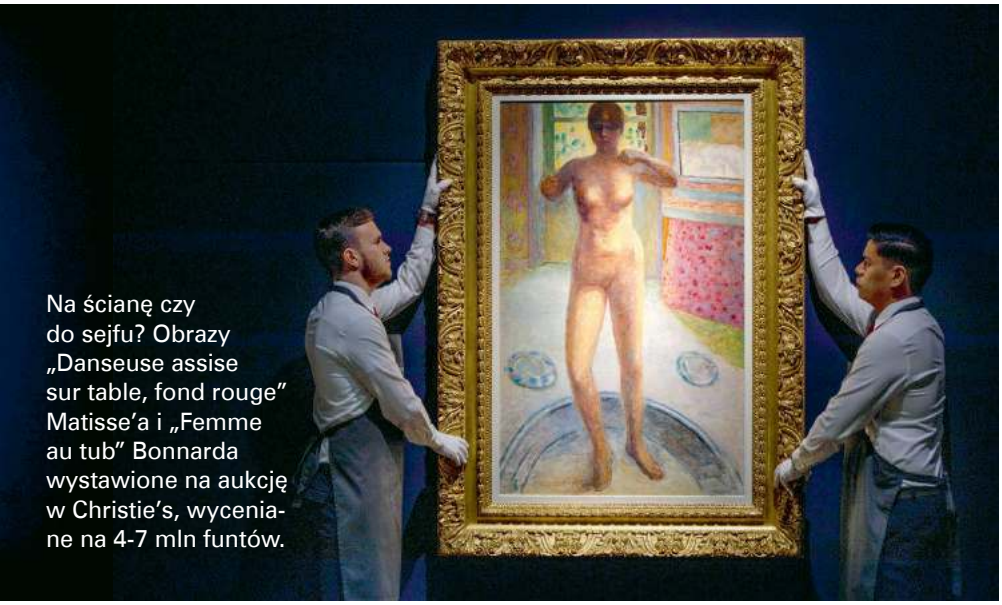

Na ścianę czy do sejfu? Obrazy „Danseuse assise sur table, fond rouge” Matisse’a i „Femme au tub” Bonnarda wystawione na aukcję w Christie’s, wycenia-ne na 4-7 mln funtów.

Na randkę z rogaczem

Brytyjski start-up Hectare wypuścił na rynek aplikację o nazwie Tudder. Działa ona bardzo podobnie jak Tinder, z tą różnicą, że jej celem jest łączenie w pary nie ludzi, ale… bydła. Fotografie i opisy pomagają rolnikom „zjednoczyć zwierzęta gospodarskie poszukujące bratniej duszy”, czy mówiąc bardziej przyziemnie – znaleźć odpowiednią krowę lub byka do rozrodu.

Nie ma mocnych na radykała

Zespół badaczy z University College London dowiódł, że osoby o radykalnie prawicowych lub lewicowych poglądach mają ponadprzeciętne problemy w dostrzeganiu swoich błędów. Do tego celu posłużył prosty eksperyment z wybieraniem obrazków z największą liczbą kropek. Okazało się, że osoby umiarkowane politycznie, które pomyliły się w ocenie, wykazywały mniejszą pewność siebie nawet po otrzymaniu podpowiedzi. Tymczasem radykałowie trwali przy podjętej decyzji, nawet gdy dowody wskazywały, że są w błędzie. Dodajmy, że podobnie jest ze stawianiem krzyżyków przy nazwiskach kandydatów.

FOT. FB/PISNAKSIEZYC (3), AFP/EAST NEWS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 3127a0922e

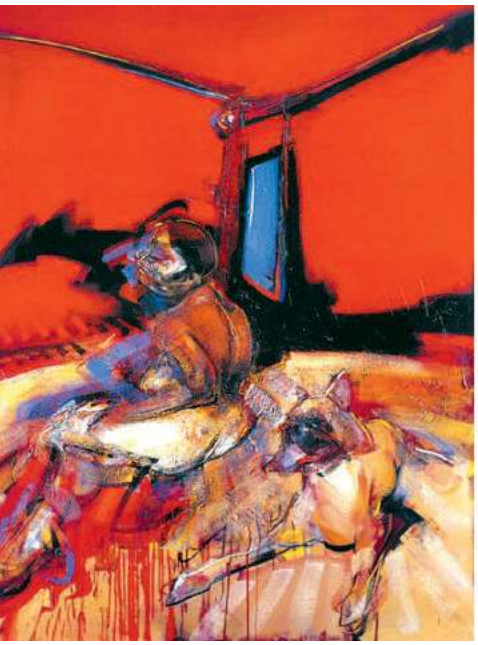

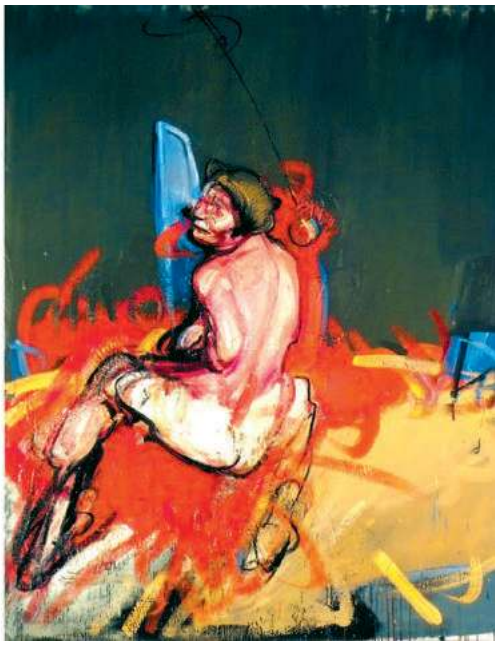

Andrzej Biernacki

Anatomia dla plastyków

Styl Andrzeja Biernackiego przyrównywany bywa do niepokojącego malarstwa Francisa Bacona. To anonimowe akty, ukazane w nieoczekiwanych skrótach perspektywicznych, wpisane w dynamiczne układy kompozycyjne, do tego działające na zmysły kolorem. Ekspresyjne pociągnięcia pędzla dyscyplinuje mocny kontur, impasty sąsiadują z partiami gładko zamalowanego płótna – to wszystko podbija siłę przekazu prac, które są zachętą do badania kondycji współczesnego człowieka – targanego emocjami, niepokojonego dylematami moralnymi.

Galeria Re:Medium
Łódź, ul. Piotrkowska 113
do 2 marca

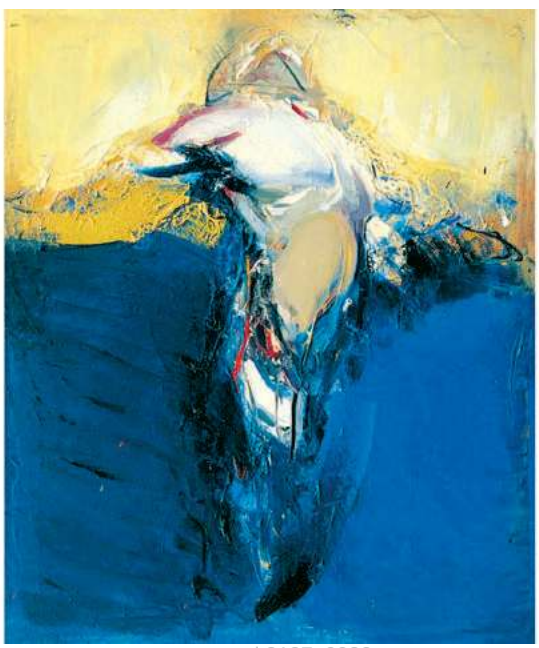

eprasa.pl 3127a0922e

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Akademia Humanistyczna
im. Aleksandra Gieysztora

Administracja

Historia

Pedagogika

Politologia

Bezpieczeństwo Narodowe

seminaria doktorskie
w dyscyplinie historii i nauk o polityce

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

INFORMACJE I ZAPISY

Dziekanaty właściwych Wydziałów
ul. Mickiewicza 36B, Pułtusk

www.ah.edu.pl

eprasa.pl 3127a0922e

DZIEWCZYNKA, KTÓRA PRZEŻYŁA

WIEDŹMA

W KINACH OD 1 MARCA

WARNER BROS. PRZEDSTAWIA

NAJNOWSZY FILM PARK HOON-JUNG "WIEDŹMA"

[illegible] MI, CHO MIN-SOO, PARK HEE-SOON, CHOI WOO-SHIK PRODUKCJA GOLD MOON FILM KOPRODUCENT PEPPERMINT&COMPANY PRODUCENT PARK HOON-JUNG REŻYSERIA I SCENARIUSZ PARK HOON-JUNG ASYSTENT REŻYSERA HWANG JAE-SEON KOPRODUCENT YEON YOUNG-SIK [illegible] KIM YOUNG-HO (C.G.K.), LEE TEO (C.G.K.) OŚWIETLENIE CHO YONG-JUN KIEROWNICTWO PRODUKCJI JO HWA-SUNG (HWASUNG GONGJAKSO) MONTAŻ KIM CHANG-JU MUZYKA MOWG POSTPRODUKCJA DŹWIĘKU KIM SIN-YONG (K.P.A.) OPERATOR DŹWIĘKU KIM CHANG-SUB (MONOCON) [illegible] CHO SA[illegible]YUNG (GOM GOM) CHARAKTERYZACJA KIM HYUN-JUNG (THE BEST OF DREAM) SCENOGRAFIA PARK JUNG-RYUL, KIM JUNG-MIN CHARAKTERYZACJA SPECJALNA HWANG HYO-KYUN, KWAK TAE-YONG (CELL) EFEKTY SPECJALNE CHUNG DO-AHN, CHEON LAE-HOON (DEMOLITION) OPIEKA VFX JANG MIN-JAE (WYSIWYG STUDIOS) KOLORYSTYKA KIM IL-KWANG (DEXTER THE EYE) SPRZEDAŻ FINECUT

COPYRIGHT © 2018 WARNER BROS. ENT. ALL RIGHTS RESERVED